KŁOPOTY STAREGO KOMENDANTA.

OBRAZKI NASZYCH CZASÓW.

OPOWIADANIE

ALBERTA WILCZYŃSKIEGO.

WYDANIE DRUGIE

z rysunkami E. Błotnickiego.

TOM I.

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
PLAC ŚW. DUCHA L. 10.
1879.

Z drukarni K. Pillera.

W roku jubileuszowym pięćdziesięcioletniej działalnośc literackiej

WIELMOŻNEMU

J. J. KRASZEWSKIEMU

zawdzięczając tę pierwszą pracę moją ojcowskiej zachęcie Jubilata, z uczuciem nieograniczonej czci

poświęca

Autor.

Do czytelnika.

Jakkolwiek minęła już moda zamieszczania półtomowych przedmów na początku każdej nieomal książki, jakkolwiek mało kto, prócz introligatorskich maszyn rozcina jej kartki, jednakże darujcie słabostce autorskiej, że on puszczając w świat ulubione dziecko swoje, chciałby na wzór troskliwej matki, otulić je ostatnią łzą swej miłości, błagalnem spojrzeniem polecić tym, z któremi żyć mu wypadnie, wybłagać odrobinkę jeżeli już nie współczucia, to szlachetnej litości.

Ja zaś przeciwnie: za surowy w sądach o sobie, choć niedobrym pokażę się ojcem, wszelako widząc olbrzymiejące coraz bardziej jego wady, przynajmniej z góry już uprzedzę czytelnika i przyszłe recenzje, jeżeli takowe miejsce mieć będą.

Na niby się tu nie przydały skromne wymówki, że różne a od autora niezależne

okoliczności były powodem niewykończenia, lub napisania mniej dobrze, niż on jest w stanie. Ja wam się przyznam, że wówczas pisałem tak jak mi się zdawało najlepiej, a jeżeli dziś dostrzegam liczne usterki, są one tylko pochlebnym niby dla autora dowodem, postępowego zapatrywania się na przedmioty i głębszego pojęcia o wymaganiu czytającej publiczności.

Pierwszy obrazek skreśliłem bez żadnej myśli drukowania, a tem bardziej bez planu na przyszłe. Lecz skoro po umieszczeniu go w Bibliotece warszawskiej, opinia publiczna wyraziła się o nim pochlebnie, ludzie uczciwi przyjęli go sercem i sercem do dalszej pracy zachęcili, czułem się w obowiązku pisania dalej — i ztąd powstał drugi i następne.

Tym więc sposobem wszedłszy raz na ową drogę autorstwa, kuleję jak mogę, składając owoce tej pielgrzymki, na wynudzenie cię drogi czytelniku i na ofiarę głodnej czasami niwy recenzentów.

Nie wszystkim przeznaczono błyszczeć, nie wszystkim wlał Bóg do duszy taką

siłę uczucia, a na czole wyrył znamię talentu, by mogli wstrząsać sercami współbraci. I drobne ziarnko czasami rozplenia całe pola, i okruszynka dorzucona na ogólną szalę pracowników, złe przeważyć jest w stanie, i wreszcie dla podniesienia wielkich potrzebni są mali. Dlatego więc czując wewnętrzny przymus pisania, oddaję wam wszystko co dać tylko mogę.

W niniejszych obrazkach, starałem się odwzorować społeczność naszą tak zwanej klasy średniej, dotąd prawie niczyjem piórem nie tkniętej. Nie szukajcie więc intryg, węzła powieściowego, lub dążeń mających wpływać na przetworzenie się pokolenia, ja opowiadałem zdarzenia i wypadki tak, jak one biegły w zwyczajnej kolei życia ludzkiego. Czytajcie zatem z dobrą wolą, czytajcie śmiejąc się z przygód starego komendanta, a jeśli wśród trosków powszedniego życia — chwilę jaką uprzyjemnić wam potrafię, już pół celu osiągnę — że praca moja bezskuteczną nie była.

Autor.

OD AUTORA

DO DRUGIEGO WYDANIA.

Kłopoty starego komendanta nareszcie doczekały się dwudziestopięcioletniego jubileuszu, i dzięki talentowi p. Błotnickiego ubrane w illustrowaną sukienkę, idą szukać dobrych życzeń czytelnika.

Należy się wdzięczność odemnie panom wydawcom, że podjęli się wyprawić tym staruszkom jubileuszową ucztę. O ile wiem, zaproszeń rozesłali mnóstwo, chodzi więc o to czy stary komendant wraz z całem otoczeniem nie znudzi już nowej generacji zaproszonych.

Świat i pojęcia przez te lat dwadzieścia pięć wielkim już uległy zmianom, a on licząc się do przeszłości, stoi na tym samym posterunku z którego Bóg już dawno powołał go do siebie.

Z tej przyczyny i w obawie aby nierozważna restauracja nie zepsuła z mło-

dych lat moich pamiątki, nie poprawiłem i nie zmieniłem nic w opowiadaniu, a licząc na dobrą moją zażyłość z czytelnikami, polecam ich przyjacielskiej pobłażliwości tę drugą edycję.

Lwów w Maju 1878 r.

A. Wilczyński.

PRZYKŁADNA KARA.

OPOWIADANIE.

I.

— A żeby on miljon fur beczek zjadł! Popamięta mnie teraz! Czy to nie istne skaranie boskie z tym człowiekiem. Mówił major, że to potulne, stare, dobre. Ślicznie mi potulne: całe miasto chce do góry nogami przewrócić! No! już ja mu się dam we znaki!

— Ale zreflektujże się mój mężu, nie furbeczkuj tak głośno; wiesz przecie, że ja tych wyrażeń znieść nie mogę — ozwała się krzątająca po izbie kobieta.

— E! co tam asani wtrącasz się w nie swoje rzeczy. Reflektuj się, reflektuj! A co to asani do tego? Ot pilnuj lepiej swych garnków i dzieci, aniżeli moich furbeczek. Jużto zawsze, jak się tylko baby w męzkie interesa wmięszają, to pewno na djabła się zda sprawa.

— Dajże pokój mnie przynajmniej: czyż ja komendantem jestem?

— A jużciż prawdę powiedziawszy, to ty. Ciągle mi kładziesz w uszy: a daj im pokój, to stare graty, a nie męcz ich, nie mustruj, niech sobie i wypoczną. Otóż masz owoce tych wypoczynków: ciągle się kłócą i biją z mieszczanami, a mnie tu u drzwi piszczą pokrzywdzeni: — „Panie kapitanie! Kownacki brewerje dokazuje, wąsy mieszczanom chce golić; a tu Gawlik w karczmie z parobkami się pobił.“ Tfu! do kroć djasków, i ja sobie z nimi rady dać nie mogę, jakbym jaką dywizją dowodził! Dziesięciu ludzi, i to zbieranina z różnych stron świata, ciury istne, i tylo kłopotów, jakich nigdy w życiu nie doświadczałem! Dwa lata jak jestem tym malowanym komendantem, a już mi to kością w gardle stoi. Nie chciałem, Bóg widzi, nie chciałem tego przyjąć; lecz major dowodzi: „To dla ciebie na stare lata odpoczynek: będziesz sobie siedział jak u pana Boga za piecem, bez kłopotów, bez tych prezentacyj.“ — I byłoby może spokojnie, ale ni ztąd ni zowąd djabli tu wnieśli tego Kownackiego. Dziad stary jak trzop, a ciągłe awantury wyprawia... Hum! co mu się zachciewa: — wąsy mieszczanom golić! Jaki mi balwierz! O poczekaj Kownasiu, odpłacę ci to sowicie!

Tak wykrzykiwał stary porucznik, obecnie komendant inwalidów, a mój ojciec, chodząc szybko po pokoju. Siwe oczy, choć bez blasku, sypały

iskrami gniewu; na czoło występowały zmarszczki i przebiegały po niem, jak chmury po niebie grożącem burzą. Ja z siostrą przytuliwszy się do siebie, nie śmiejąc i słowa przemówić, siedzieliśmy spokojnie w kąciku; nie widzieliśmy bowiem nigdy podobnego gniewu ojca. Matka, kobieta blizko czterdziestoletnia, z cierpliwością niezwykłą i prawie z obojętnością zdawała się nie słyszeć tego gorączkowego monologu ojca: siedziała z robótką przy oknie, nie spuszczając oka z swej pracy.

Po małym przestanku, ojciec zaczął chodzić wokoło pokoju; zdawał się czegoś szukać, upatrywać, bo okrążywszy tym sposobem kilka razy pokój, zatrzymał się przed matką, stanął i milczał. Matka nieznacznie się uśmiechnęła, podniosła głowę, i ręką na przyległy alkierzyk wskazawszy, powiedziała do mnie: „Jasiu, przynieś fajkę.“

Skoczyłem co żywo i podałem zazwyczaj przez ojca używaną fajkę węgierkę, na krótkim cybuszku, polaną sokiem tytuniowym, i dlą tego mającą niezwykłą wagę.

Było to bowiem słabością jego, że nigdy nie pamiętał, gdzie fajkę postawił po wypaleniu. Bywało, gdy matka się gniewa, że ciągle zadymione pokoje, i nie powie gdzie fajka się znajduje; ojciec chodzi z pół godziny wokoło pokoju, upatruje po kątach, szuka, ale znaleźć nie może: co bardzo naturalnem być musiało, albowiem w ciągu

takiego kołowego spaceru zamyślił się o czem innem, a oczami tylko z przywyknienia błądził po wszystkich zakątkach.

Tą razą nabiwszy ulubioną lulkę, zapalił w kominku, i rozpoczął na nowo swoją przechadzkę krokiem już wolniejszym; co oznaczało, według wyrażenia matki, opadanie gniewu. Wszelako puszczał gęste kłęby dymu, pukał głośno ustami, i coś z sobą rozmawiał.

Naraz zatrzymał się. Snadź myśl nowa przyszła mu do głowy, bo mruknął: — O poczekaj! na tydzień wpakuję do kozy, dalibóg na tydzień.

Matka podniosła głowę ze swojej roboty, spojrzała na ojca z tymże samym uśmiechem łagodności, lecz nieco ironicznie, i rzekła:

— A gdzie? a gdzie?

— Do kozy, ma się rozumieć, czyż asani tego nie pojmujesz?...

— Owszem, pojmuję doskonale, i tylko o miejsce się pytam; bo wiesz przecie, że stancję na areszt służącą, 'zajęłam oddawna na spiżarnię; chyba że go do piwnicy wsadzisz.

— Otóż tobie znowu! Widzisz, do czego twoja gospodarka doprowadziła: zrobiłaś ze mnie rolnika, zamiast komendanta. Śliczny też ze mnie komendant! Kartofle sadzę, jęczmień i żyto sieję, zamiast komendę mustrować, pilnować......i

— I do aresztu wsadzać — dodała matka.



— „Od dziś dnia chcę być komendantem, rozumiesz mnie?“ (Str. 17.)

— Proszę cię, już daj mi pokój z temi złośliwemi facecjami. Skończyły się czasy twego panowania: od dziś dnia chcę być komendantem, rozumiesz mię! — i przy tych słowach obie ręce wraz z fajką za siebie wyciągnął i nachylił się do samej twarzy matki.

— A bądź sobie komendantem, mój kochany, któż ci nim być broni.

— Więc natychmiast wyrzucić mi wszystko z tej spiżarni! — A obróciwszy się do mnie, rzekł: — „Zawołaj Małgosię.“

Pobiegłem do kuchni, i w moment ukazała się we drzwiach tłusta Małgosia z nożem w ręku, jako kucharka, bo w innych porach dnia, odmiennie, w miarę potrzeby odbywała czynności.

— Biegnij do miasta i zawołaj Duszaka, żeby natychmiast przyszedł: rozumiesz?

— Rozumiem, proszę pana; ale rosół mi wykipi...

— A niech przekipi nawet do milion furboczek! Czyście się sprzysięgli dziś na mnie, czy co! Ruszaj kiedy mówię.

Małgosia chociaż niechętnie, pobiegła jednak żwawo. Ojciec znów zapalił się gniewem i krzyknął do mnie: — Mundur mi podaj!

Zdumiałem się na taki rozkaz, bo już dawno nie widziałem ojca w mundurze, i wiedziałem, że

tylko w ważnych okolicznościach, jakoto w dni galowe, w czasie jakiej lustracji, lub chrztu którego z dzieci przywdziewał go. Zwykle bowiem ubierał się w szaraczkową krótką węgierkę, z czarnemi szamerunkami, na ogromne guzy zapinaną.

Przyniosłem natychmiast mundur z alkierzyka, ojciec zrzucił węgierkę, wziął podany mundur i zaczął na ręce wciągać. Lecz coś niesporo szła ta robota, bo ciągle się marszczył, sykał, wreszcie fuknął: — „Jużto imość zawsze winna, że i munduru włożyć nie mogę: opakowałaś mię temi kaftanikami, różnemi manatkami, i wmówiłaś żem chory, słabowity, że i mundur ciasny się zrobił."

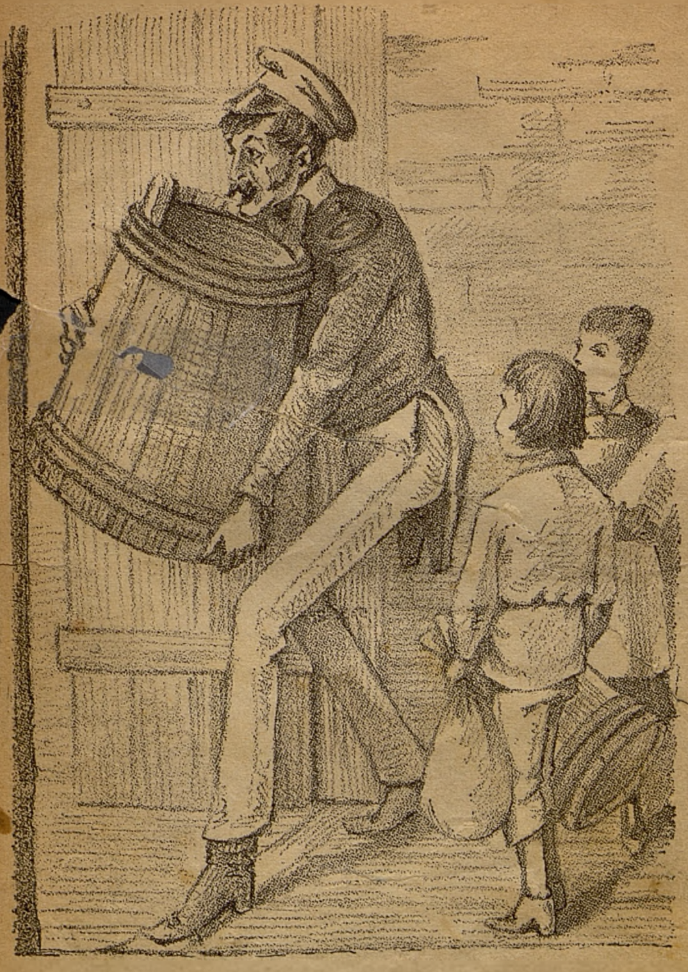
Nareszcie sykając ciągle, djabłując, zapiął si pod szyję, szlify przypiął, wąsa przykręcił, wsta żeczkę na piersiach przypiętą, chustką obtar wziął do ust fajkę; i spostrzegłszy dotąd siedzą spokojnie matkę, krzyknął:

— Co to? imość tu jeszcze! Nie słyszałaś co mówił, hę? Wyrzucać ze spiżarni!

— E! dałbyś pokój z tą komedją; co ci dziś zrobiło? Gdzież ja podzieję te faski, słoik inne rzeczy: miejsca nie mam podobnego.

— A mnie do milion bomb co do tego? dziej sobie gdzie chcesz. To nie spiżarnia, to za, rozumiesz — i znowu do matki przysunął twarzą i ręce za siebie wyciągnął.

Lecz matka nie ruszała się z miejsca, ani s



Pocieszna to była rzecz widzieć wojaka z pod Saragossy i Berezyny, w mundurze oficerskim, wynoszącego faski ze spiżarni. — (Str. 19.)

rzała na rozognione lica porucznika, tylko szyła dalej.

— No, kiedy i imość się buntujesz, to już źle, dalibóg źle — i obróciwszy się do nas powiedział: — Allons, dzieci za mną do sieni, zobaczysz, jaki ci tam porządek zrobię.

Otworzył drzwi z trzaskiem, wyszedł żywo do sieni, a my z siostrą mimowolnie za nim pobiegli.

Spiżarnia ta, a z przeznaczenia areszt, mieściła się na prost drzwi wchodowych z dworu. Była to mała, wilgotna komórka, z okienkiem zakopconem nade drzwiami, a w tej chwili zarzucona gratami, gracikami, faskami z mąką i zbożem: po ścianach wisiały potężne połcie słoniny, sadła, pełno woreczków z suszonemi owocami, kminkiem i różnemi leguminami: słowem, było to prawdziwe muzeum spiżarniane wiejskiej gospodyni.

Porucznik z trzaskiem i łoskotem otworzył małe drzwiczki, stanął na środku, i zdawało się, że rozmyślał od czego zacząć. Może też i determinacja odstąpiła, bo cofnął się ku drzwiom, potrząsając głową: lecz znowu nabrawszy energji, wstąpił na ławę, stojącą przy ścianie, i z największą ostrożnością zaczął zdejmować połcie, woreczki, składając je lekko na obok stojącym stole, a nam kazał inne drobiazgi wynosić do małego alkierzyka, z zaleceniem wszakże ostrożności. Pocieszna to rzecz była widzieć wojaka z pod Saragossy i

Berezyny, w mundurze oficerskim, zdejmującego ze ściany połcie, wynoszącego faski ze spiżarni; i choć to dawno już minęło i chociaż dziecięciem podówczas byłem, pamiętam, śmiałem się serdecznie z siostrą. Dziś jeszcze wspomniawszy tę chwilę, pomimowolnie uśmiech po ustach przebiegnie.

Przy tej czynności nadeszła i zadyszana służąca, tłumacząc się, że w polu Duszaka szukać musiała, dodając, że zaraz i on przybędzie; pomogła więc ojcu w tej drażliwej okoliczności przenosić rzeczy. Nadeszła i matka, a widząc tłuczące się nielitościwie słoiki konserwów, z rozpaczą zawołanej gospodyni musiała się do ogólnej roboty przyczynić.

Nareszcie wyprzątnięto stancyjkę, ojciec wrócił do pokoju, wprawdzie powalany kurzem, pokryty pajęczyną, zmęczony, lecz z miną zadowolnionego, że tą razą przynajmniej na swojem postawił.

W chwilę potem przyszedł Duszak, stary żołnierz, nizki, zgarbiony lecz krzepki jeszcze. Ubrany był w tak obszerny płaszcz, że w każdy rękaw jego mógłbym się podówczas swobodnie schować, a w garbie na plecach wydętym, ze trzy bochenki chleba pomieściłyby się; przynajmniej takie sobie wtedy dziecięca wyobraźnia robiła porównanie. Był to jeden z najpilniejszych w obowiązkach służby, i zarazem najtrzeźwiejszym; więc



— Przyszedł Duszak, stary żołnierz zgarbiony lecz krzepki jeszcze. — (Str. 20.)

też i faworyt ojca, który go perłą komendy nazywał. Może też i to przyczyniało mu względów ojca, że mi zawsze drewniane szabelki strugał, matce w rozmaitych gospodarskich zajęciach pomagał, najlepiej cybuchy czyścił i fiksatuar na wąsy przyrządzał.

Zaledwo stary próg przestąpił, i swojem zwyczajnem wyrażeniem: „Jezdem na rozkazy panie kapitanie“ oznajmił się, już ojciec wydał rozkaz pójścia na strych i zdjęcia dwóch karabinów, oddawna tam leżących, z zaleceniem pośpiechu i z zwykłem zakończeniem: „rozumiesz!“

— Rozumiem, panie kapitanie — odrzekł niespokojny żołnierz; że zaś nie rozumiał, widocznem było z całej jego postawy, bo chciał z jakiemś ale wystąpić i już usta otwierał, gdy ojciec powtórzył rozkaz, i starowina rad nierad potoczył się do sieni.

W kwadrans może powrócił, niosąc z wielką trudnością dwa karabiny zakurzone, w części zardzewiałe. Postawił je przy murze, i znowu „czekam rozkazów pana kapitana“ wymówił.

Ojciec spojrzał na karabiny, gorżko się uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć „to mi porządek“ i wyrzekł prędko:

— Weźmiesz z sobą Włodarczyka, pałasze przypasać i z temi oto karabinami pójdziecie i przyprowadzicie natychmiast tego opoja Kowna-

ckiego, żywego lub umarłego — i znowu na wspomnienie Kownackiego czoło zmarszczył i potarł czuprynę.

— Stanie według rozkazu, panie kapitanie — bąknął Duszak, ale z miejsca się nie ruszył; snadź nie był mu po myśli ten tajemniczy rozkaz. Lecz giest ojca i wyrazy: — Na lewo w tył, marsz! wyrwały go z osłupienia, podjął więc karabiny i wyszedł potrząsając głową.

II.

Upłynęło dobre dwie godziny, a ich jeszcze nie było. Ciekawością zdjęty wybiegłem daleko w ulicę na ich spotkanie i zdala dostrzegłem gromadę miejskich chłopaków, kobiet i innych ciekawych, postępującą ku naszemu mieszkaniu. W środku tej czeredy dominowały dwa karabiny z błyszczącemi bagnetami od odbitych promieni słońca, a pośród nich ujrzałem prowadzonego, a raczej niesionego pod ręce Kownackiego. Byłto sobie mały, szczuplutki starowina, z siwemi wąsami i takiemiż faworytami, które połączone z sobą w półkola, tworzyły na okrągłem jego licu dwa sierpy do góry zagięte.

Kiedy trzeźwy, najlepszym w świecie był człowiekiem. Usłużny dla każdego, duszęby mu oddał, gdyby jej kto zażądał. Pół miasteczka miał kmotrów i kumoszek, a chrześniaków co nie miara. Lecz całe jego nieszczęście było w tem, że miał słabą głowinę, i lada czem się podchmielił: co się dość często zdarzało, bacząc na tak obszerne jego i przyjacielskie z mieszczanami stosunki. Za-

wsze podobne upicie się nazywał słabością, a nie nałogiem. Podchmieliwszy sobie, robil się największym hałaburdą. Wtedy wszystkie kumy uważał za największe nieprzyjaciółki, prowadził z niemi kłótnie, ma się rozumieć bez doboru wyrażeń, a one też nawzajem, jako sąsiednie K..kowa mieszkanki, wcale mu nie ustępowały, i bardziej jeszcze jątrzyły starego. Czasami przychodziło i do czynnych obelg, których skutkiem były sińce po twarzy Kownackiego, świadczące o sile kumoszek, a które on zawsze czarnemi płatami kitajki zaklejał.

Drugim przedmiotem jego nienawiści były wąsy wszystkich bez różnicy mieszczan. Według niego, niegodni byli tego zaszczytu lyki, niewąchający prochu. A że był z powołania cyrulikiem owej sławnej komendy, więc dalejże do golenia, a przynajmniej do mydlenia wąsów; ztąd z licznemi skargami na niego przychodzili bezprzestannie gospodarze, i otóż teraz jego areszt był wypadkiem podobnych zażaleń.

Przyciągnęła wreszcie kalwakata przed odwach. Ojciec wyszedł do sieni i krzyknął: — do kozy pijaka! — Wnet wniesiono delikwenta do ex-spiżarni i na klucz zamknięto, a całe zgromadzenie ciekawych, postawszy niejaki czas przed sienią, rozeszło się powoli do domów, zatrzymując się po drodze. Kobiety podpierając brody rękoma, roz-

prawiały z giestami najdziwaczniejszemi, a im właściwemi o tym wypadku, który spokojność na chwilę całego miasteczka zakłócił; chłopaki zaś z kijami na ramieniu, naśladując żołnierzy, prowadzili drugich niby do aresztu.

Dzień ten zeszedł na ciągłych ze strony ojca gderaniach: że rosół przydymiony, że pieczeń przypalona, że dzieci się wałęsają a nie uczą, i tym podobnych, jakich nie braknie nigdy temu, który swój gniew na zewnątrz chce wylać.

Wcześniej niż zwykle spać poszliśmy, z niespokojnem oczekiwaniem jutra, które miało być świadkiem, jak ojciec się wyraził, przykładnej kary hultaja, wobec całej komendy.

Długo usnąć nie mogłem myśląc o tem jutrze, i późno w noc słyszałem, jak matka poleciła służącej zanieść do spiżarni siennik staremu, tylko cichutko, żeby pan nie słyszał.

III.

Nazajutrz ledwo świtać poczęło, już byłem na nogach. Uwijania się żołnierzy, rozmowy półgłosem prowadzone, i wreszcie ta posępność ich oblicza, w mojem dziecięcem wyobrażeniu przybierały jakąś barwę niezwykłą, tajemniczą i uroczystą.

Ósma wybiła na domowym zegarze, a ojciec się nie pokazywał. W tem oczekiwaniu każda godzina dniem mi się wydawała. Zniecierpliwiony, tom podchodził pode drzwi ojca, słuchając czy nie wstał, tom do okna zaglądał, nie zważając na przestrogi matki, krzątającej się około gospodarstwa.

Nareszcie około dziewiątej, ubrany w paradny mundur, wyszedł ojciec z pokoju i skierował się wprost do izby odwachowej. Przywitał uprzejmie zgromadzonych i kazał przywołać Kownackiego.

Na widok tego ostatniego, żal ścisnął me serce: chciałem już rzucić się na szyję ojcu i błagać przebaczenia, lecz marsowata twarz porucznika i nastrzępione od gniewu wąsy, wstrzymy-

wały zapał dziecięcej litości. Bo proszę wystawić sobie zgarbionego staruszka, ze śladami na twarzy wczorajszej uczty, wchodzącego wolnym krokiem i pochyloną głową, przygnębionego wstydem pośród zgromadzonych na odwachu kolegów! Cały ubiór w nieładzie, dodawał jeszcze więcej okropności temu obrazowi, a zarazem wzbudzał w przytomnych litość i zjednywał prawdziwe współczucie.

Ojciec z wyrazem największej spokojności, a może i żalu, spojrzał na niego i szyderczo się uśmiechnął; potem obracając się do zgromadzonych podwładnych, krótkim, lecz dobitnym głosem przemówił:

— Oto wasz kolega Kownacki, wstyd i zakała komendy, mimo tylokrotnych napominań, prośb nawet, nie może porzucić obrzydliwego nałogu pijaństwa. Miarka się przebrała, już dalej łagodnością nic wskórać nie mogę, już wreszcie uszy mię bolą sluchać ciągłych na niego zażaleń, więc raz skończyć trzeba. Włodarczyk! pal mu dwadzieścia!

Te ostatnie wyrazy tak wymówił głośno i z takim gniewem, że wszyscy żołnierze zadrżeli, a żaden z nich ruszyć się nie śmiał, aby wykonać wyrok.

— Czy słyszałeś? — powtórzył ojciec targnąwszy Włodarczyka za ramię: pal mu dwadzieścia!

Rad nie rad Włodarczyk, z komicznie wykrzy-

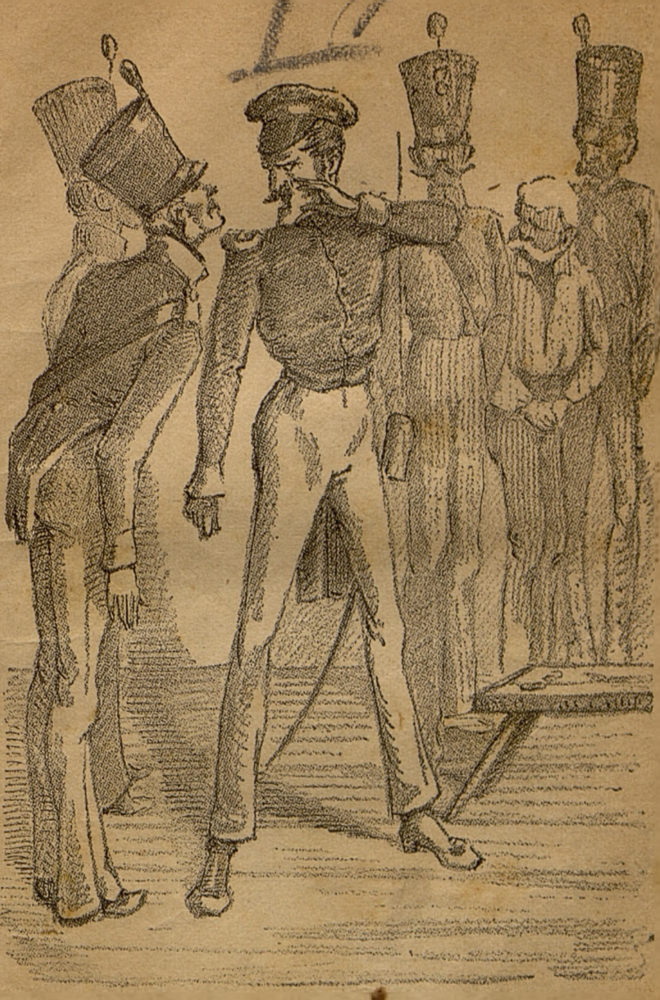
wioną twarzą zbliżył się do delikwenta. Ten nie rzekł ani słowa na swoje usprawiedliwienie, nie prosił, nie płakał, nie podniósł nawet oczu, ale z pochyloną głową i przygnębioną uległością zdjął mundur, obnażył plecy i pod uderzenia je nadstawił.

Wszystko to odbyło się w największem milczeniu. Spojrzałem na ojca; twarz jego dotąd chmurna przybrała właściwej łagodności wyraz: oko łzą zabiegło, widocznie więc litość obudziła się w sercu.

Żołnierze kolejno spoglądali to na delikwenta, to na ojca; lecz żaden nie śmiał i słowa przemówić. Rozdrażnienie umysłów doszło do najwyższego stopnia rzewności.

Wiedziałem, że gdyby który z nich odezwał się, nastąpiłoby przebaczenie. Ja, jako tam niepotrzebny wcale spostrzegacz, nie mogłem się odważyć prosić, a żołnierze jako znający karność; tymczasem ojciec, nie mogąc nagle spaść z tonu rozkazującego, z jakim wykrzyknął — pal mu 20 — do przebaczenia, płakał doskonale, i również mając wlepione oczy na obnażone plecy Kownackiego, stał milczący.

Nareszcie widząc zapewne, że już nikt z prośbami się nie odezwie, a nie chcąc tracić na swojej powadze komendanta, szepnął do najbliżej stojącego Duszaka, ale tak głośno, żem mógł dosły-



— „A proścież mnie gamonie za nim.“ —

(Str. 29.)

szeć: „A proścież mię gamonie za nim!“ — Ledwie domówił tych słów, aż ruszą się wszyscy ku ojcu z jaśniejącym wzrokiem i pomieszanemi wyrazami; nuż prosić, nuż całować po rękach: daruj, przebacz kapitanie! Tu i jam sobie już pozwolił, ojca uściskał i prośbę ponowił.

Ojciec przez chwilkę niby się wahał, niby namyślał; nareszcie udobruchawszy się zupełnie, przemówił:

— No, przybliż się pijanico i wstydź się, żeś niegodzien tak poczciwych kolegów. Widzisz, oni płaczą jak dzieci, te wiarusy z pod Kairu, Marengo i Berezyny, a tyś powodem ich płaczu! Pamiętaj, że jeżeli jeszcze raz coś podobnego wczorajszej awanturze zrobisz, daję ci najświętsze słowo, że sam pojadę do majora, i tyle dołożę starań, żeby cię jako kąkol niegodny z pszenicy, z naszej komendy oddalono.

— Kapitanie! kapitanie! — zawołał uklęknąwszy przed ojcem Kownacki, zakładając palec na palec — kapitanie! przysięgam na wszystko, na Boga jedynego w niebie, już nigdy a nigdy wódki do ust nie wezmę, a tylko daruj raz ostatni i przyjm do swojej łaski!

— Daruję, daruję — wymówił drżący od wzruszenia ojciec i podniósł klęczącego. — Bóg widzi, że was jak braci kocham, i chciałbym wam nieba przychylić. Wy stare graty, i ja z wami: kochaj-

myż się więc wspólnie, wypełniajmy do ostatnich chwil życia rozkazy władz naszych, a Bóg nas nie opuści w tem życiu, da spokojność i to błogie przekonanie, żeśmy Jego wolę świętą spełnili!

Tu dopiero nastąpił gwar nie do opisania, ściskania, łzy, urywane słowa: „poczciwy, dobry kapitan, niech mu Bóg błogosławi“, zlały się razem w jedno uczucie miłości, wdzięczności i rozrzewnienia. Weszła na to i matka, a widząc tak pomyślnie zakończoną katastrofę, uściskała męża, pogroziła łagodnie Kownackiemu, i wszyscy, uszczęśliwieni tą sceną, wróciliśmy do siebie.

Ojciec przez cały dzień był w najlepszym humorze, i wypalił ze dwadzieścia fajek jedna za drugą; nas całował, pieścił, jak gdybyśmy po długiej nieobecności do domu wracali, i mówił: że to najpiękniejszy dzień w jego życiu.

— A widzisz, moja Zosiu, że to przecie i ja mogę być komendantem i panem swej woli! Wiesz, starzy drżeli jak osiki, zwłaszcza ja krzyknąłem: pal mu dwadzieścia. Przyznam ci się, żem się nie spodziewał po sobie takiej energii, ale zawsze to ciury, bo musiałem im przypomnieć, żeby się za nim wstawili. Chwała Bogu, że się to wszystko dobrze skończyło: ale żeby na przyszłość podobne sceny miejsca nie miały, muszę na serjo więcej się zająć moją komendą, bo ot widzisz, z przeproszeniem twej go-

dności, zbabiałem. Gdzieby to człeku dawniej łza do oka nadbiegła, dzisiaj jak bóbr płakałem.

— Proszę cię, mój mężu, wolę stokroć żebyś płakał podobnie jak dziś, codziennie, aniżelibyś z marmurową twarzą pozwolił zrobić jakąś krzywdę tym biedakom. To stare...

— Tere fere kuku! już imość zaczynasz na dawną nutę. Uprzedzam cię kochanie, że to jak by groch na ścianę rzucał: ja chcę być komendantem. A teraz przypilnuj też objadu, bo ja jeszcze zajrzę do kartofli, czyby ich nie można okopywać.

I wyszedł w najlepszym humorze, poświstując jakiegoś marsza, a matka odprowadzając go wzrokiem do drzwi, szepnęła: „poczciwe człeczysko.“

Tak tedy skończyło się owo sławne i przykładne ukaranie. A co to w miasteczku było potem gadań, a domysłów, toby i na wołowej skórze nie spisał. Dość, że je dotąd jak najlepiej wszyscy pamiętają, pomimo, że kapitan i cała komenda już dawno tam, gdzie i nas kiedyś Przedwieczny powoła.

Warszawa, d. 1. Października 1853 r.

ODWET ZA SIOSTRZENICĘ.

OPOWIADANIE.

I.

Znany wam jest z przeszłego opowiadania stary komendant a mój ojciec; znana mniej więcej matka i waleczna komenda: pozostaje mi tylko, dla lepszego wyświecenia następującej sceny, opisać miasteczko, w którem mieszkaliśmy, przyjaciół i znajomych naszego domu, i wreszcie zwyczajny obraz życia domowego rodziców. Chociaż te opisy wydać się mogą rozwlekłemi, nudnemi nawet, jednak zdaje mi się, że pojęcie charakteru zawisło najczęściej od poznania najdrobniejszych zatrudnień domowych osób działających, ich nałogów, mieszkań i sprzętów, bo każdy prawie człowiek zostawia niejako w tych martwych przedmiotach cząstkę swej myśli i wyobrażeń. Każda epoka życia ludzkiego, jak równie każdy wiek życia narodów, mają odrębną i wcale odmienną, a sobie właściwą barwę. Typ osoby, którą zamierzyłem

opisać, już nie należy do dzisiejszych czasów: już on znika z horyzontu naszego, i za lat kilka ledwo ślad jego zostanie w książkach i opisach. Moim zamiarem jest przedstawić charakter exwojskowego, co to dzieckiem obtarł się o nieskażoną francuzkim wpływem cywilizację staropolską; młodzieńcem, podzielał pełne burz i czynności życie towarzyszów wypraw Napoleona; starcem połączył oba te wpływy spędzonego żywota, i bezprzestanną walkę obu przywyknień z nieubłaganą starością i objawiającą się nudotą, pochodzącą z braku czynniejszego życia. Nie będzie to powiastka, dykteryjka, lub gawędka; ot tak sobie, prosty opis rzeczywistych zdarzeń z życia starego komendanta.

Miasteczko W..... leży na wzgórzu, oddzielonem od Wisły rozległem i równem błoniem, które w czasie wylewów zamieniało się w nieprzejrzane okiem morze. Najkorzystniej przedstawiało się od strony Wisły. Począwszy bowiem od stóp wzgórza, coraz wyżej, ciągnęły się wązkie aż do szczytu sady, pooddzielane żywym płotem, ubarwione w lecie zielonością i wyniosłemi gruppami drzew, przerznięte gdzieniegdzie wijącą się jasną drożyną. Na szczycie pierwszej góry rozłożone było samo miasteczko w dość długiej przestrzeni, tak, że na oko większem i bardziej imponującem się

zdawało, niż było rzeczywiście. W istocie składało się ze stu kilkudziesięciu domów parterowych, prócz kilku nawet niepobielanych, gdyż z powodu trudnego nabycia wapna i kamieni, domy były drewniane, narzucone zewnątrz gliną z ponasadzanemi kawałkami palonej cegły, co nadawało miastu postać jakby ospowatą.

Dwie niebrukowane ulice wyciągnięte wzdłuż góry i dość symetrycznie zabudowane, składały całą osadę. Z jednej strony więc domy dotykały wyżej wspomnionych ogrodów, a z drugiej podnóżka wzgórzy jeszcze wyżej posuniętych. Te skrajane w różnych rozmiarach prostokątne łany, z których jedne szare, drugie zielone, inne jeszcze bardziej zielone z wałęsającem się gdzieniegdzie drzewkiem, cudnie odbijały na szarem tle miasteczka, i stanowiły że tak powiem, przylepiony obraz, umajony zielonością i doskonale w swych szczegółach widziany.

W pośrodku domów, jak stary ojciec w swem familijnem gronie, rozsiadł się drewniany kościołek. Swą wysmukłą i zgarbioną wieżyczką zdawał się czuwać nad drobniutką czeladką domków i błogosławić jej.

Dzwonnica mała drewniana, jak zmartwiona córeczka tuliła się do kościołka, szukając opieki i wsparcia: bo również swym szczytem chyliła się ku niemu. Pamiętam, ile razy dzwoniono we wszyst-

kie dzwony, trzęsła się w swojej osadzie, i to tak mocno, że obawiano się przechodzić tamtędy, gdyż zdawało się, że lada chwila runie. Ale, jak miejscowy dziadek opowiadał, trzęsła się ona podobnie od lat 50, a mocno jednakże stała, i według niego jej obalenie się połączone było z jakąś przepowiednią wcale niemilą dla parafian. Dla tego też ile możności podtrzymywali staruszkę, podpierając dylami wyżej i niżej: a stary dziadek mawiał: „że dzwonnica co rok nową laseczkę dostaje“.

Odwieczne lipy odgradzały szczuplutki cmentarzyk trawą zarosły, a niektóre z tytułu tak dawnej z kościołem zażyłości, ośmieliły się ciekawe gałązki przez wytluczone szyby wewnątrz zapuszczać.

Na prawo, niedaleko od kościoła, zbudowany magazyn solny stanowił jakby cytadellę miasta, a zarazem jego ozdobę. Dosć obszerny, oprowadzony niewysokim murem kwadrat, z dwiema na przekątni czerwonemi bramami, mieścił w sobie z jednej strony właściwy magazyn soli, po lewej ręce duży dom pisarza magazynu, z gankiem, czterma filarami podpartym, a na prost trzy symetrycznie rozłożone domki, z których środkowy był przez nas zamieszkały, dwa zaś boczne przeznaczono dla oficjalistów i pomniejszych urzędników magazynu solnego.

Cóżto znów za prześliczny widok odkrywał się z okien naszego mieszkania, wychodzących na Wisłę!... Najbliżej obszerna zielona równina, przerżnięta wężowatą smugą Wisły, ubraną w żywej świeżości wiklinę, kończyła się daleko w Galicji, a raczej łączyła małemi krzaczkami z pasem niepołomskich lasów. Spojrzyj na prawo i lewo: wszędzie gdzie okiem dosięgniesz ciągną się wiecznie zielone lasy, w wężykowatym jak Wisła kierunku. Nad nimi jeszcze splecione z niebem Tatry dumnie podnoszą czoła ubielone śniegami, zbruzdowane w różnych kierunkach szaremi smugami, obsiane bliżej podnóżka okiem dojrzanemi wioskami, z błyszczącemi kopułami świątyń.

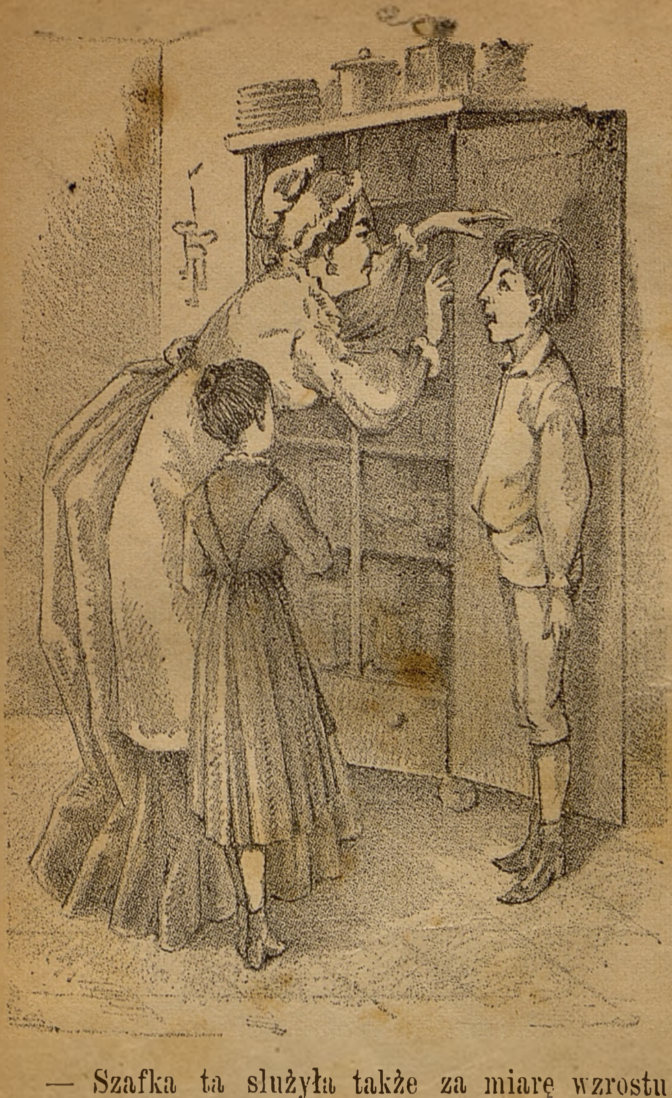
Tu na prawo Wieliczka; tu domki rozrzucone po wzgórzach, tam klasztor zakonnic w Tyńcu, a jeszcze dalej Niepołomice i komora celna. Na lewo, lecz nieco dalej rysuje się Bochnia; obok niej widzisz na odosobnionej górze wspaniałe mury kościoła w Uściesetnie, a wszędzie zieloność, kupkami osadzone wioski, folwarki, kościoły: wszędzie doskonała harmonia i wdzięk niewysłowiony.

Widziałem mnóstwo pięknych krajobrazów, widziałem wspaniałe cuda Ojcowa i Pieskowej Skały, widziałem zdumiewających rozmiarów góry Szwajcarji saskiej: lecz wyznam, widoki te nie mogły iść w porównanie z tym, jaki z okna pokoju mego się odkrywał.

Może to jest uprzedzeniem, może nawet nieprawdopodobnem, może wreszcie te cuda zasłabom opisał, żebym się mógł usprawiedliwić z takiego porównania; jednakże wspomnienie tych gór, tych lasów, tych wieżyczek i tych sinych wierzchołków Tatrów, napawa moją duszę jakiemś nieokreślonem uczuciem piękna i harmonii przyrody. Patrzałem na nie oczami i duszą dziecka, młodzieńca i człowieka; z ich widoku nauczyłem się poznawać nieskończoną wielkość Stwórcy, nauczyłem się kochać Go całem sercem; na przyszłą zaś drogę żywota, zasiliłem duszę pokarmem nieostygłej i niewyrugowanej żadną przeciwnością wiary!

Domek środkowy, jak powiedziałem, był przez nas zajmowany. Wchodząc ze dworu, wprost zaraz była owa śpiżarka, a raczej areszt; obok niej schody prowadzące na strych, a po lewej stronie duża izba służąca za odwach. Prawa strona zaś składała się z dwóch pokoi od frontu położonych, jednego znowu od tyłu, i kuchni z oknami na pola wychodzącemi.

W pierwszym zaraz pokoju, noszącym nazwisko jadalnego, była także i kwatera dziecinna. Na środku duży stół dębowy z podwójnym blatem, zawsze biało wymyty, kilka krzeseł prawdziwych inwalidów, powleczonych pokrowcami na białe tasiemeczki po rogach zawiązywanemi; sofa zszarzałym safianem wybita, szafa czarna na suknie i



— Szafka ta służyła także za miarę wzrostu dzieci. — (Str. 39.)

dwa dziecinne łóżeczka z czerwono malowanemi sztachetkami, wraz z stolikiem atramentem zbryzganym: — stanowiły zupełne umeblowanie. Szafka czy apteczka wmurowana w ścianę i pod osobistym nadzorem matki zostająca, służyła także za miarę wzrostu dzieci; na niej, co rok wyżej położony krzyżyk oznaczał z lewej strony wzrost mój, a z prawej strony młodszej siostry.

Drzwiczki tej szafki były dla matki znowu prawdziwym regestrem. Na nich kredą pisała wszystkie wydatki, notowała ważniejsze wypełnić się mające roboty: daty osadzenia kaczek, gęsi i t. p. Wprost drzwi wchodowych zawieszony był zegar, z dwoma dzwonkami po bokach, w które co godzina drewniane figurki, potężnemi młotkami uderzały. Zegar ten, co rano ojciec sam nakręcał i poprawiał; wszelako szedł on sobie samowładnie, i bił często zamiast dziesięciu, ze trzysta razy, za każdem uderzeniem sycząc przeraźliwie.

Nad łóżkami dzieci zawieszone były wizerunki świętych ich patronów, a nad mojem prócz tego, na dwóch gwoździkach położona rózga z drewnianą szabelką; pod niemi zaś tabliczka czarna, taka, jaką po szpitalach nad łóżkami zawieszają, z napisem wielkiemi literami ręką ojca kreślonemi: „Porządek jest duszą wszystkiego“.

Z tego pokoju wchodziło się do drugiego obszerniejszego nieco, o dwóch dużych oknach, nazywa-

nego bawialnym. I w rzeczy samej miał on więcej okazalszą postać niż inne.

Wprost drzwi stała jesionowa kanapka wąziutka, bez wyścielanych bocznych poręczy, przez co wyglądała ona jak jaka suchotnica. Przed nią stał stół okrągły na jednej nodze, z bukietem kwiatów na środku, latem naturalnych, a zimą sztucznych. Z jednej i drugiej strony kanapy stało w dwóch rzędach po kilka krzeseł również jesionowych, i podobnie jak kanapa zielonym merynosem pokrytych. Co teżto było zawsze sprzeczek z powodu ustawienia tych stołków! Matka chciała stawiać je z jednej i drugiej strony stołu, w rzędach na pokój posuniętych; ojciec znowu w podwójnych szeregach obok kanapy.

— Co tam Imość będziesz innych naśladować — mawiał często — niech sobie będą w szeregi jak wojsko, to jakoś lepiej wygląda, i bezpieczniej przez pokój przechodzić: człek się nie potknie...

— A jakżeż goście siedzieć będą? jak dzieci w szkole, jedni za drugiemi?

— Niech sobie siedzą jak chcą, kiedy ja Imości powiadam, że tak lepiej. — I przestawiał po swojemu krzesła w szeregi, na bokach umieszczał fotele, dodając, że to oficerowie skrzydłowi.

Każdego dnia wychodząc rano ze swojego pokoju, oglądał najprzód stołki, i jeżeli w innym

stały porządku, natychmiast do dawnych regulował je szeregów.

Z początku walka ta odbywała się codziennie, coś przez 3 lata: nareszcie znudzona matka ustąpiła, i krzesła już odtąd spokojnie sobie stały.

Między oknami umieszczono znowu także jesionową komodę, na której rozstawiono filiżanki z złoconemi brzegami, dzbanuszki różnokolorowe, flakoniki, miseczki szklanne, stoczki ozdobne. I ja tam cukrowe figurki stawiałem, tylko nie na długo, a ojciec koniecznie nalegał, aby i jego fajka piankowa z wyrobionym na wierzchu jeleniem, miejsce tam także znalazła; lecz matka stanowczo się sprzeciwiała, a fajka chcąc nie chcąc wróciła do biurka porucznika. Nad komodą zawieszone było duże w starych szylkretowych ramach zwierciadło, z potężną kokardą u góry, a nad nią jeszcze na długim przez oba okna ciągnącym się drążku, zarzucone w różnej wielkości festonach białe firanki, stanowiły główną oznakę bawialnego pokoju.

W oknach, na schodkach umyślnie sporządzonych, pełno było najrozmaitszych kwiatów, w większych i mniejszych wazonach, a nawet wiszących: matka bowiem szczególniej lubiła kwiaty, i te z największą starannością hodowała. Z tytułu tych kwiatów, wolno było czasami ojcu palić fajkę w salonie, żeby mszyce wyniszczyć. I gdybyście wi-

dzieli porucznika, z jakim tryumfem puszczał pomiędzy listki ogromne kłęby dymu, jak im się przypatrywał, jak je rozprowadzał po wszystkich załomkach zlekka podmuchując: tobyście uznali go wtedy najszczęśliwszym.

Nad kanapą wisiały portrety ojca i matki z poczerniałemi twarzami, wszelako odznaczające się podobieństwem; dalej Matka Boska Bolesna, kilka sztychów przedstawiających Napoleonowskie batalie, wizerunki w Bogu spoczywającego Cesarzewicza Konstantego i Napoleona, a w samym kącie odedrzwi mój ołtarzyk, wyklejony przez ojca złoconym papierem, z powyrzynanemi obrazkami świętych. Z tego pokoju, po narzuconej od wchodowych drzwi płóciennej ścieżce, wchodziło się do pokoju ojca, a razem sypialnego rodziców. Pokój ten dwojaką i wcale odmienną miał postać. Z lewej strony mieściło się łóżko matki; przy oknie ocienionem białą roletą, zastawionem wazonami kwiatów, stał mały stoliczek, na nim toaletka, a obok nizkie trzciną wyplatane krzesło. Tu to był najulubieńszy jej kącik, tu zawsze siadywała z robótką, tu się modliła co rano i co wieczór, tu czytywała książki i uczyła siostrę.

Wszystko, począwszy od obrazków zawieszonych nad łóżkiem i w framugach okien, aż do najdrobniejszych sprzęcików ustawionych na toalecie, oddychało jakimś gustownym ładem, miało coś ta-

kiego przyciągającego, schludnego, uroczego, iż świadczyło, że tylko kobieca ręka mogła to urządzić, zaszczepiając wszędzie piętno delikatności i uroku, właściwe kobiecej wyobraźni i tkliwości jej serca.

Cóż za odmienną, a nawet sprzeczną powierzchowność przedstawiała druga połowa pokoju dla ojca przeznaczona! Najprzód łóżko żelazne, flanelową kołdrą pokryte, nizkie z safianową poduszką, opierało się o prawą ścianę. Obok niego kuferek starym kobiercem nakryty, a z drugiej strony, lecz między oknami, biurko, a raczej duży stół ceratą wybity, z umieszczoną na nim szafką o trzech oszklonych półkach. Biurko to, niejako zaklęte muzeum rozmaitości, zawierało w sobie mieszaninę najrozliczniejszych przedmiotów, i było wszystkiem dla ojca. I tak, na pierwszej półce stały rzędem kapciuchy z tytuniem własnej fabrykacji; począwszy od pęcherzowego, aż do aksamitnego ozdobnego świecącemi paciorkami, wszystkie napełnione. Pomiędzy jednym a drugim zawieszone były fajki drewniane, porcelanowe, piankowe, małe, większe, krajowe i zagraniczne, a przed niemi leżało ze dwadzieścia par okularów, ale tak, że każda para na właściwej fajce opartą była.

Druga półka mieściła książki do nabożeństwa. Żywoty Świętych zbiór Pańskich, najdawniejszych

kalendarzy, książki popularne lekarskie, przez ojca przepisywane, roczniki wojskowe, a w środku najozdobniej oprawne życie Napoleona.

Najniższa półka była zbrojownią. Tu leżały trzy dawne pałasze, para pistoletów, szlify dawnych ułanów całkiem poczerniałe, pudełko kul, rożki z prochem strzelniczym, kilka szkieł palących, luneta i inne przybory myśliwskie: szrubsztaki, przetyczki, zamki od broni i t. p. Jako osobliwość, chował ojciec starannie obwinięty kawałek siarczyku żelaza, zczerniały i okrągły nakształt kuli karabinowej. Podług niego miała to być kula z czasów Kościuszkowskich, na polach pod Szczekocinami znaleziona. Trafiło się, że któryś z sąsiadów, więcej znający metale, oglądając takową oświadczył porucznikowi grubą jego pomyłkę. Stary w tej chwili zamknął szafkę z gniewem, i powiedział żywo:

— Asan się nie znasz, i żałuję, żem ci to pokazał. Teraz to ci powiem tylko, żem ją sam od włościanina tamtych okolic kupił za 2 złote polskie; ten zaś włościanin znalazł ją w polu gdzie była batalia, i kwita! Hum! kamień to ma być! Wy chcielibyście ze wszystkiego kamienie porobić! Kamień znowu!....

— Jeżeli mi nie wierzysz — odparł sąsiad — to popróbuj nożem, czy się da ukroić?

— Ej! daj Waćpan pokój z krajaniem! Co mi tam po próbach: chłop powiedział że kula, to kula, i ja od tego nie odstąpię; a zresztą czy to ołów nie może stwardnieć przez tyle lat? Weźno Waćpan kawałek gliny tylko, nie ołowiu, rozumiesz, gliny, i potrzymaj ją 40 lat: zobaczysz co się z niej zrobi. Hę?

Tak go obeszło to powątpiewanie, że nikomu potem mniemanej kuli nie pokazywał.

Na stole samym ustawił kałamarz z łańcuszkiem u korka, jak to uczniowie używają, porozkładał symetrycznie ołówki, pióra, papiery dotyczące komendy, i szereg krzesiwek najrozmaiszych kształtów i wielkości, porządkiem od najmniejszego do największego, każde krzesiwko na czworograniastym kawałku hubki ustawione, z odpowiednim krzemieniem. Ojciec bowiem był największym nieprzyjacielem zapałek. „Co to mosanie jakieś patyczki znaczą? — mawiał — wymysły pluderskie i nic więcej: aby pieniądze wydrwiwać, mosanie! To mi ogień: ciach, ciach i już się pali! Ojcowie nasi od wieków nie znali patyczków i ogień mieli i poczciwie żyli.“

Kiedy zdarzył się dzień słotny i ojciec z domu wyjść nie mógł, nie mając innej roboty, otwierał biurko, wyjmował przedmiot po przedmiocie, oglądał, obcierał, czyścił, rozkładając po wszystkich miejscach, gdzie tylko dało się położyć: po łóż-

kach, oknach, na podłodze, kuferku i znowu tym samym porządkiem ustawiał w szafce.

Mały czworobok uformowany pod oknem jednym bokiem łóżka i drugim biurka, nazywał swoim kącikiem. Tu dopiero był chaos narzędzi, jak w jakiem sklepie żydowskim: piłki, stolarskie piły, heble, pilniki, dłuta różnych wielkości, młotki, siatki na ryby, obręcze, i inne tym podobne przedmioty, w części leżały na podłodze, a w części umieszczone były w kątowej szafce o kilku półkach. Nigdy obca noga tu nie postała, bo porucznik strzegł skarbów sam, i żonie najsurowiej zabronił dotykać się świętości dla niego tylko przystępnych.

Nad łóżkiem wisiały dwie fuzje na krzyż na jelenim rogu z ogromnemi gałęziami, obrazek św. Andrzeja patrona ojca; pod nim w skórzanej torebce stary zegarek repetier, a obok w pudełku oszklonem i wybitem niebieskim aksamitem, krzyż legii honorowej, największą wartość w oczach jego mający. Niżej jeszcze wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, którą z Wilna sobie przywiózł i nowenny regularnie do Niej odmawiał.

Ledwo dzień zajaśniał, już komendant był na nogach: odmawiał pacierze, godzinki, litanje, a potem wychodził na mszą. Zimą czy latem, w pogodę lub słotę, zawsze musiał być na mszy: o ile zapamiętam, nie trafiło się nigdy, aby ją opuścił.

— Kto z Bogiem, Bóg z nim — mawiał. Jak my o Nim zapomnimy, i On o nas zapomni.

Po mszy zwykle wstępował do proboszcza na śniadanko i pogawędkę. Dziekan i proboszcz ówczesny, były kadet kaliski, a następnie skutkiem zbiegu wypadków, kapłan, byłto staruszek około 70 lat mający. Czerstwy jeszcze i krzepki, z posiwiałym i rzadkim włosem, prosto się trzymał i do chorych pół mili piechotą z wiatykiem chodził.

Ojca kochał bardzo, i nie było dnia w roku, aby się nie widzieli z sobą. Miał widać z dzieciństwa wpojoną żyłkę wojowniczego ducha. Bywało jak starzy rozgadają się na plebanji o dawnych czasach, jak sobie zaczną przypominać stare dzieje: pleban zawsze skierował rozmowę na korpus kadetów w Kaliszu podówczas będący i czas jego tam pobytu. Raz, pamiętam, po mszy wstąpiliśmy z ojcem do dziekana. Po małej przekąsce, ojciec zapaliwszy przygotowaną dlań fajkę, rozsiadł się w fotelu i dalejże w gawędkę. Zaczęli od pogody, zeszli następnie do zdrowia, znów powoli, powoli do dawnych czasów, a w końcu zjawił się korpus kadecki.

— Panie Andrzeju! — odezwał się stary proboszcz — wiesz, Bóg widzi, że jak sobie wspomnę owe lata, gdy człowiek drewnianym pałasikiem, siach, mach, na prawo i lewo wywijał, i tego starego instruktora Niemca, co to zamiast

pięć głównych cięci, komenderował: pięć cięci ręci: to aż stara krew się we mnie zagrzewa. Wtedy to było życie! hę?

Ojciec zdawał się nie słyszeć tego, bo otoczony gęstym dymem, siedział milczący.

— Nó i cóż ty na to Jędrusiu? Wiesz co mi na myśl przyszło?

— Cóż takiego? zapytał ojciec.

— Żebyś też spróbował mnie wyegzaminować, czy też pamiętam owe pięć cięci. — I przy tych słowach starowina pobiegł do kąta, wziął sporą laskę i stanął prezentując ją przed ojcem.

— Ale nie tak, nie tak dobrodzieju: rękę niżej! Ot tak — i podniósł się porucznik z krzesła, porwał jakiś cybuch i stanął przed księdzem.

— Ramiona opuścić, piersi naprzód, a brzuch schować! Ale bo to dobrodziej zagruby: na dobosza prawie, a nie na szeregowca! — i dalejże księdza popychać, prostować: starowina zaś silił się naginać członki i przymuszać, by przypomniały sobie dawniejszą giętkość.

— Teraz nieźle. Pięć głównych cięci pałaszami: naprzód, zastaw się!

I staruszek podniósł laskę, lecz ręka słuchać nie chciała, bo trzęsła się potężnie, kreśląc w powietrzu różne gzygzaki; gdy tymczasem oko czarne zabłysło dawnym ogniem, twarz się zarumieniła,



— „Ale nie tak, nie tak dobrodzieju: ręka niżej?“ — (Str. 48.)

żem nie poznał staruszka. Otóż jak silnem i prawie wskrzeszającem jest wspomnienie młodości!....

Ojciec z dziekanem tak się musztrą zajęli, pierwszy tak się gniewał, a drugi forsował wywijając kijem, że nie zważali wcale, jak gospodyni, również staruszka bezzębna, dość często zaglądała do drzwi: to śmiała się serdecznie, to marszczyła już i tak zmarszczone czoło, mrucząc do siebie: „Wystygnie, moi państwo, jagem rzekła wystygnie“.

Musztra szła ciągle. Skończono cięcia, zaczął się marsz. Gdy stary podniósł nogę do góry dla zrobienia kroku, trudno mu ją było w tym stanie utrzymać: porucznik zaś jak na złość przeciągał coraz tak długo, iż dziekan przemieniał co chwila lewą na prawą, i znowu prawą na lewą nogę, stojąc w miejscu. Niecierpliwiło to komendanta, bo zapominał zupełnie kogo musztruje, i to tak dalece, że zobaczywszy u księdza buty ogromne, wcale nieoczyszczone, fuknął z gniewem:

— Eh! do stu fur beczek! Chcesz Jegomość musztry, a butów sobie nie oczyściłeś. Tfu! mosanie, flejtuch z Waszecia: do smarowozów ruszaj, a nie do frontu!

Dziekan wcale na to nie zważał, tylko podkasawszy swój długi zaplamiony surdut, maszerował to w prawo, to w lewo, a ojciec stojąc pod oknem, świstał jakiegoś marsza, wybijając takt to

nogą, to uderzając dłoń w dłoń. Tymczasem zniecierpliwiona Kundusia (jak ją proboszcz nazywał) wysunąwszy głowę z kuchni, donośnym i piskliwym głosem zawołała: „Jagem rzekła, Jegomość, piwo wystygnie na nic.

Ksiądz usłyszał wezwanie, lecz widać nie śmiał przerwać musztry, bo trzymając ciągle kij na ramieniu, odezwał się do ojca:

— A co Jędrusiu, możeby już i przestać, bo słyszałeś! ta Kundzia gada coś, że piwo wystygnie. — Ale ojciec wcale nie słuchał, tylko komenderował dalej: — Na lewo w tył, marsz! Tak, tak: raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy — i takt już nie ręką, lecz całą postawą wybijał.

Tu Kundzia pozbyła się ostatniej dozy cierpliwości, wpada więc do pokoju z przekręconym na głowie czepkiem, i wyglądającemi z pod niego ciekawie siwemi kosmykami włosów, potrząsa z gniewu niesioną w ręku salaterkę z piwem, i oblewa dziekanowi suknię.

— Patrzcie państwo, kto widział szaleć na starość: a polewka jak stygnie, tak stygnie!

— No, no, daj pokój staruszko — odrzekł uśmiechając się dziekan, stawiając improwizowany pałasz w kącie i obcierając chustką najprzód pot z czoła, a potem zwalaną suknię.

— Staruszko, staruszko — powtarzała już w kuchni Kundusia — widzicie go, jużem sta-

ruszka. — I znowu pokazała we drzwiach głowę z zaczerwienioną twarzą, iskrzącemi oczyma. — Chociem niby staruszka, ale głupstw nie robię, Dobrodzieju! — zawołała.

— Ot Jędrusiu, zacznij z babą, to się już nie odczepisz. Trzy dni będę jadł przydymione potrawy za tę staruszkę, ale to swoja rzecz. Powiedz mi też mój drogi, pamiętam też, hę? bo to już tyle lat minęło, i coś ręka słuchać nie chce.

— Tak, tak, ujdzie — odrzekł porucznik siadając do polewki. — Zgadłeś dziekanie, przydymiona; ażeby ona miljon fur beczek...

— Nie klnijno Jędrusiu i daruj Kundusi. Ale, ale, zabałamuciłem się, a tu jeszcze muszę zajrzeć do Kudelskiego. Wiesz, biedaczek wybiera się pono na owsisko; dziś dodnia dysponowałem go i źle z nim było. Mój Boże! dzieci sześcioro, drobiazg bez matki. Panie! miej go w swej opiece!

Pominąwszy te dziecinne wyskoki proboszcza, jako nieodłączne starości wady, był to w całem znaczeniu tego wyrazu zacny i uczciwy człowiek. Wszyscy parafjanie kochali go jak ojca i opiekuna. Do niego udawali się o pomoc, radę i opiekę: on zaś nikomu nie odmówił, i czem mógł: datkiem pieniężnym, zbożem, pociechą religijną, radą, każdego obdarzał.

Pod jego okiem i zarządem całe miasteczko wzrosło. Wszystkich chrzcił, żenił i chował, wszyst-

kich znał po imieniu: znał ich stosunki familijne, pokrewieństwa, stan majątkowy i moralną wartość. Od lat przeszło czterdziestu zarządzał tą parafją, i tak przywykł do tych szarych ścian kościółka, tak miłą mu była poczciwa trzódka wiernych, że kilkakrotnych ofiarowań miejsca kanonika w kapitule nie przyjął.

— Ja już tu legnę — mawiał. — Lżej mi będzie umierać, gdy pomyślę, że pokryją mię ręce wnuków tych, których chrzciłem.

Pomimo dość znacznych przychodów z parafji, i korzyści z gruntów do plebanji należących, zawsze był bez grosza; albowiem często się trafiło, że po skończonej uroczystości pogrzebowej jakiego biedaka, gdy przyszli do niego z zapłatą, dokładał im po kilka złotych z swej kieszeni: „Weźcie tę trochę (mówił), ja sam jeden i niedługo mię na świecie: wyście potrzebniejsi. Nie dziękujcie wcale, bo Przedwieczny sowicie mi odpłaci.“

Mieszkanie też jego nie pokazywało wcale dostatków. Skromne, niemalowane nawet sprzęty, bez tych drobiazgowych wygódek, potrzebnych starcowi, zajmowały jeden pokoik w którym mieszkał; w innych zaś pomieścił kilkoro dzieci, sierot po zmarłych parafjanach. Te wychowywał swym kosztem, a gdy podrosły dawał do rzemiosła, lub do szkół w miarę zdolności wychowańców. Jak sam opowiadał, już dwadzieścia siedm dzieci tym spo-

sobem na ludzi wykierował, a jeden nawet był znakomitym doktorem w Paryżu.

Jako serdeczny przyjaciel ojca i w ogóle całego naszego domu, mnie z siostrą w wolnych chwilach uczył religji. W tym celu trzy razy na tydzień chodziliśmy do niego — „nie z książką, broń Boże! bo ja chcę was nauczyć czytać religję z serc waszych (mawiał); ztamtąd nic jej nie wyruguje, nic nie wymaże. Słowa ulatują, pismo niszczeje, a ziarno Boże zaszczepione na dobrze uprawnym gruncie, nie zgnije nigdy i plenne wyda owoce.“

Jeszcze teraz zda mi się, że widzę poważną twarz staruszka ocienioną siwemi promieniami włosów, spadających na ramiona; czuję, jak przyciska mnie do łona zżółkłą od starości ręką, i słyszę ten drżący głos, jakim przemawiał do dziecięcej duszy: „Kochajcie się dziateczki, kochajcie się jak nas Bóg umiłował. Wszyscy ludzie na świecie są jak wy, bracia i siostry wasze: oni was wspomogą w potrzebie, oni was przytulą do łona, gdy Bóg nieszczęścia na was ześle. Kochajcie przedewszystkiem Ojca, który jest w niebiosach; zlejcie się w jedno uczucie miłości, a powiadam wam, staniecie na opoce tak twardej, że burze świata tego nie dosięgną was. Prawda i cnota niech będą przewodnikiem waszym; dla nich poświęćcie światowe korzyści: one za nie wystarczą, bo da-

dzą spokojność sumienia, i błogie zadowolenie wewnętrzne, żeście wolę Pana spełnili“.

Wspomnienie tego cnotliwego kapłana będzie w mem życiu jedną z najmilszych pamiątek; dał mi bowiem więcej niż życie, więcej niż majątek, wlawszy niewygasłą nigdy iskierkę dobra w moją duszę: — religję i uczucie.

Z tem wszystkiem był nadzwyczajnie wesołym w towarzystwie, doskonałym ogrodnikiem i lekarzem; posiadał niewyczerpany zapas pociesznych dykteryjek, opowiadał je z całą naturalnością i żywością, bez tych rozwlekań starcom właściwych.

— Jakże ci też Jędrusiu tytuń smakuje? — zagadnął ojca, skończywszy śniadanie.

— Ot wcale niezły; dalipan lepszy od mojej litery *g*, i właśnie łamię sobie nad tem głowę, zkąd go Jegomość mógł dostać? Znamci ja wprawdzie wszystkie gatunki tytuniów, a tego coś rozpoznać nie mogę. Nibyto knaster, niby oławski, niby besarabski, ale nie! Mój dobrodzieju! powiedzno, zkąd ty go wziąłeś?

— O! z dalekich bardzo krajów, bo aż z pod stodoły — z mego ogródka.

— Co znowu, Jegomość tytuń siałeś? Chyba żartujesz sobie.

— Daję ci moje słowo, że nie. Miałem trochę nasienia, na wiosnę tedy posiałem dwie kwatery dla porucznika: pięknie się udały. Zebrałem przed

dwoma tygodniami, przyrządziłem jak się patrzy i kwita.

— To musi być jakiś szczególny gatunek; przez Boga, gadajże dziekanie!

— Drejkenig krajowy, kochanie, i nic więcej.

— Fe, proboszczu! Jakto można drwić ze mnie— zawołał z żywością ojciec i zerwał się z krzesła. — Waszmość dziekanie robisz mię głupcem, czy co? Czyż ja to nie znam drejkenigu, nie paliłżem go przez 20 lat w pułku? Wśród tysiąca dymów poznałbym go jak rodzonego brata.

— Starość nie radość, mój Andrzeju! Widać się nos nadwerężył, bo zaręczam ci, że to najczystszy drejkenig. A złapałem też dobrodzieja na jego rzemiośle: weź się mocium dobrodzieju do tabaczki kochanie, do tabaczki! — i śmiać się począł starowina.

— Oho! zmyślasz dobrodzieju, ale to nie ze mną; tabaczkę schowaj dla Kundzi i dla siebie: jam stary lis, co go nie łatwo siatką przykryć.

Widząc proboszcz, że ojciec na serjo się zaperzył, a nie chcąc go dalej jątrzyć, dodał:

— Wierz mi, to czysty drejkenig, a żeś go nie poznał, nie twoja w tem wina. Ten co sprzedają po sklepach, musi być fabrykowany z saletrą, uprawiany może inaczej, i cała w tem zagadka.

— A, w to mi graj! — zawołał udobruchany porucznik — tak, to co innego: bo wiesz kanoniku, że zarzucać mi nieznajomość tytuniów, jest to samo, jak powiedzieć: że wtedy wiosna, gdy liście z drzew opadają!

Muszę tu objaśnić owo mniemanie porucznika, co do znawstwa tytuniu.

Jeszcze w pułku będąc, jak mawiał, najulubieńszem jego zajęciem była lulka. Później to przyzwyczajenie zamieniło się w namiętność. Nigdy prawie fajki z ust nie wyjmował, czy jedząc, czy robiąc co, zawsze z fajką. Niechno tylko wyczytał w jakim nowym lub starym kalendarzu sposób przyrządzania lub ulepszenia którego gatunku tytuniu; niechno mu kto podal takowy, już nie wchodząc w to, czy podany środek możebny lub nie, czy kosztowny lub tani, całkiem się nim zaprzątnął. Kładąc się spać, rano wstając, myślał ciągle i mówił o wykonaniu swego zamiaru.

Zawsze był przekonany, że sztucznemi przyprawami można będzie z najordynarniejszych liści tytuniowych waksztaf przyrządzić. Nic tu nie pomagały przełożenia żony, nie zastraszały koszta i trudy: wszystko zwyciężał. Matkę łagodził jak mógł, garnki kupował i inne potrzebne przyprawy, i brał się do dzieła. Często różnych forteli używał dla oszukania matki, która stanowczo sprzeciwiała się wszelkim doświadczeniom.

I tak: zwykle rano w kuchni nie rozpalano ognia, bo kawę na maszynce przyrządzano. Gdy wybiła 9, a ognia w kuchni nie było. ojciec się uwijał po pokojach z swojemi garnkami, zaglądał do kuchni po kilkakroć, stawiał przyrządy w swoim pokoju, i z miną niby najpobożniejszą podchodził do matki pytając:

— Cóżto Zosiu, tak spóźniacie się z obiadem? Już jedenasta wybiła, a wiesz, mnie tak niedobrze: jabym się rosołu napił!

Matka doskonale znała tę udaną słabość — i wiedziała że tu idzie o ogień; to też uśmiechnąwszy się odpowiadała:

— To przejdzie, mój kochany! Widzisz, Małgosia jeszcze nie przyrządziła mięsa; ale jeżeli chcesz, każę ci rumianku zgotować.

— Co mi tam Imość z rumiankiem wyjeżdżasz! Czy ja to baba? — i odchodził skwaszony, pociągając niecierpliwie wąsa.

Po chwili zajrzał znowu do kuchni, udał się do służącej, i tu groźbą zwykle zniewalał ją rozniecić ogień.

Wtedy uzbroiwszy się w drewnianą łyżkę, gotował rozmaite liście z wiśni, gruszek, winogron, to z wodą, to z mlekiem i octem: dolewał rozmaitych olejków, znosząc cierpliwie gderania służącej, łajania matki. Nic już nie widział, prócz swoich garnków; nic nie słyszał, prócz purkotania

gotujących się przypraw: tylko cedził, przecedzał, wyżymał dopóty, dopóki przepisane cechy się nie okazały. Nie mogąc prędko całej ilości tytoniu wysuszyć, z niecierpliwości oddzielał zwykle małą cząsteczkę, i tę rozpostarłszy na papierze, starał się co prędzej przygotować do palenia. Ledwie że wilgotne liście parować zaczynały, już biegł po fajkę, oczyszczał ją z przeszłych resztek, przedmuchiwał po kilkakroć, i nakładał świeżo przyrządzonym tytuniem.

Przyszedłszy do swego pokoju, rozpoczynał próbę. Zwykle puszczał gęste kłęby dymu, cofał się o kilka kroków, i znów napowrót przybliżał, wąchając siny obłok zwolna się rozchodzący. Brał do ust i wyjmował zaczerniały cybuszek, smakował z zamyśloną twarzą i błędnemi oczyma, a w końcu wesoło się uśmiechał. Nie trafiło się bowiem nigdy, aby tytuń tak przyrządzony, złym uważał: i choć zapach stracił przymioty zapachu, choć sam krztusił się od dymu, tytuń wszelako wybornym był w jego mniemaniu.

Odbywszy tym sposobem próbę sam z sobą, udawał się do matki; a zbliżywszy się do siedzącej na krześle i zajętej swoją robotą, puszczał znienacka gęsty kłąb dymu prawie w same oczy:

— Widzisz kochanie, że ten przewyborny! A co, nie pachnie, hę?.... a sprzeciwiałaś się...

Matka ledwie odetchnąć mogła po takiej niespodziance, powiewała zwykle chustką dla odpędzenia dymu i prosiła na wszystko ojca, aby ją raz na zawsze od podobnych prób uwolnił. Czasami zgniewała się naprawdę, lecz porucznik wcale na to nie zważał, tylko wychodził z pokoju z uśmiechem litości na ustach, jakby chciał mówić: „albo ty znasz co dobre!“

Cały dom nasz, niewyłączając Małgosi i żołnierzy podkomendnych, musiał doświadczyć dobroci zapachu nowego przyrządu i dawać swoje zdanie. Jakiebądź były te oceniania, ojciec mało przywiązywał do nich wagi; tylko suszył tytuń, pakował w nowy kapciuch, przylepiał na nim karteczkę i naznaczał następującą z kolei literą. O ile zapamiętam, litera ta nieraz do *P* dochodziła.

Około dziesiątej godziny z rana, po odbytem już nabożeństwie, zaczynała się moja lekcja. Pomimo całej swej dobroci, ojciec małą posiadał dozę cierpliwości, i dla tego lekcja ta, pomimo nadzwyczajnej chęci do nauk, była dla mnie najprzykrzejszą. Szanowny rodzic, nie zważając wcale na prawa pedagogiki, chciał bym sam przez się wszystko wiedział, a przynajmniej trafnie przeczuwał; ztąd jak grad sypały się na głowę klapsy, a trzeba zamilknąć i śmiało rzecz dalej prowadzić, bo płacz lub najmniejsze skrzywienie się pociągało jeszcze gorsze skutki.

Co do posiadanych wiadomości, ojciec był bardzo zarozumiały. Wszelkie nowości w dziedzinie nauk stanowczo odrzucał, nie wchodząc w ich słuszność, pożytek lub lepszość. U niego łacina była pierwszą, inne języki niepotrzebne. — „Z łaciną, mosanie, świat przejdziesz od końca do końca, bo wszędzie znajdziesz księży lub doktorów, a z francuzkim językiem tylko Francję!“ Nie wiedział poczciwy, ani przewidywał, że teraz podobno z polskim językiem nawet trudno przejść Warszawę.

Pisownia stara była u niego najlepszą: joty nazywał piżmowemi ogonkami, a gdym mu raz powiedział że nauczyciel miejscowej szkółki każe pisać swym uczniom jotę zamiast *y*: obruszył się na mnie, i z gniewem zawołał: — „*y* malcze grunt! Tak pisał twój pradziad, dziad i ja tak piszę, a nie takie trutnie jak ten bakalarz czytali ich pisma i czytać będą! Ho! ho! co mi za mędrek! Chłopcze! zdaleka mi od niego i jego uczni, bo wypalę za każdą jotę, rozumiesz! Czy śp. Kopczyński pisał co o jocie, hę?“

— Nie wiem, proszę ojca.

— No to ja ci powiadam, że nie pisał, i kwita!

Dla lepszego okazania tej zarozumiałości, muszę tu nadmienić jeden nieco późniejszy wypadek. Kiedym już podrósł i czas było oddać mię do

szkół publicznych, matka pewnego wieczora wystąpiła do niego z tą propozycją.

— Co Asani mówisz? — zawołał powstawszy szybko z siedzenia.

— Oto żeby pomyśleć o oddaniu Jasia do szkół.

— Do jakich szkół, pytam: i po co? Czy Asani nie wiesz, że Pijarów nie ma?

— Ja też nie myślałam wcale o Pijarach, lecz o szkołach wojewódzkich.

— Co się też tym kobietom roi w głowach! No, no, widzę, Asani masz mię za głupca chyba: a to pięknego komplementu doczekałem się od ciebie. Cóżto Asani myślisz, że ja go sam edukować nie potrafię i wykierować na poczciwego człowieka, hę? Chcesz zapewne, żeby mu w tej modnej szkole głowę przewrócili, i żeby potem śmiał się ze starego, że niby głupszy od niego. albo go się wstydził? O! co z tego to nic nie będzie, moja Imość.

— Ależ mój kochany, cóż ty z nim zrobisz? Majątku nie masz dla niego, żeby próżnując mógł żyć; trzeba mu więc dać odpowiednie wykształcenie, aby sobie w świecie dał radę. Co zaś do wstydzenia się rodziców, jego miłość synowska....

— Daj pokój kochana z perorą; już ja to widzę, że cię zbałamuciła ta trzepalska burmistrzowa, bo to nie Imości pomysły. Niech ona sobie cieszy się niebieskim mundurkiem swego kanacz-

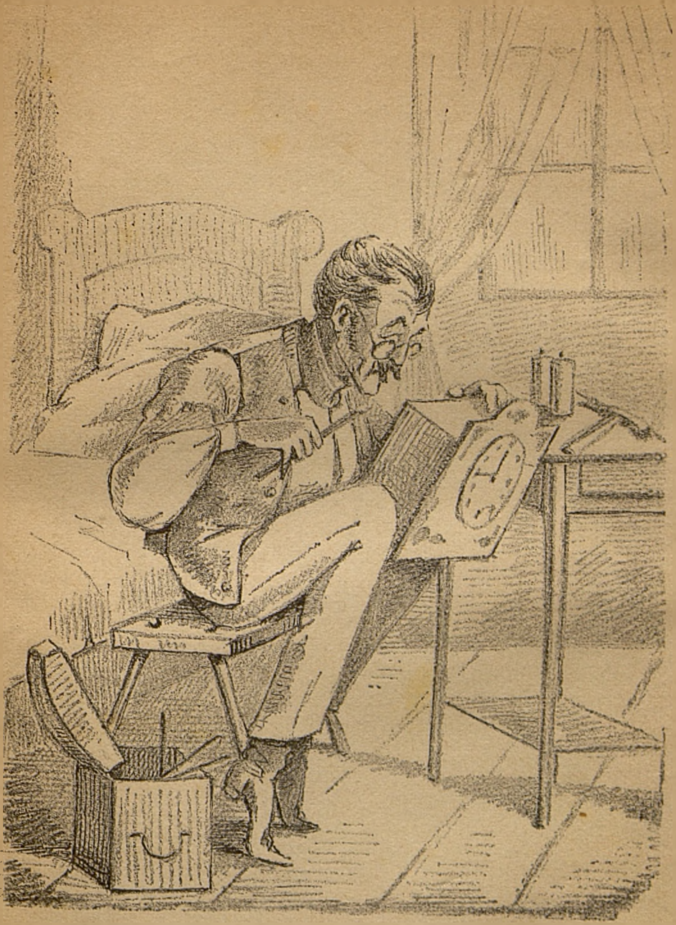
ka i jego cenzurami, ale on wszelako głupiuteńki jak mój kapelusz! Jak Jaś będzie umiał tyle co ja, będzie miał dobre serce i zdrowe ręce, dla niego dość: chleba mu nie braknie, świat dla niego otworem. Cóżto sobie myślisz, że ja już więcej nauczyć go nie mogę? O! poczekaj duszko! niech tylko dostanę zkąd Donata, to zobaczysz, jaki z niego będzie łacinnik. Na Węgrach, mosanie, pastuchy za bydłem łacinę znają na palcach: dlaczegożby mój syn, syn szlachecki, miał być od nich niższym!

Po tych słowach, nie słuchając dalszych przełożeń matki, zrobił lewo wtył, zaświstał jakiegoś marsza, i wyszedł do swojej sypialni.

Pomimo takich gniewów, pomimo usilnych starań o Donata, którego już nigdzie dostać nie było można; matka powoli wymogła jednak na ojcu, że mię wysłano do szkół publicznych. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Gdy nastąpiła zima, i gdy wycieczki na pola ustać musiały, ojciec przywykły do ciągłego ruchu i pracy, wynajdywał sobie najrozmaitsze zatrudnienia. Dla matki, ta pora roku była najprzykrzejszą. Z nudów wlazł w każdy kącik, do wszystkiego wtrącił, i gderał bezustanku.

Przedmiotem najczęstszego zajęcia był stary zegar wiszący w pierwszym pokoju. Zupełnie zdezelowany, często wypowiadał posłuszeństwo i wisiał



— Wystawcie sobie porucznika, siedzącego na małym stołeczku z zegarem w jednej ręce, a pilnikiem w drugiej. — (Str. 63.)

bez ruchu. Ojciec mający pretensję do zegarmistrzostwa, jak tylko dostrzegł ten jego spoczynek, porzucał natychmiast zaczętą robotę choćby najpilniejszą była, przystawiał stołek i zdejmował ostrożnie to klekoczące arcydzieło. Wziąwszy go już w ręce, pootwierał osłaniające drzwiczki, przeglądał, popychał ręką, mruczał sobie pod nosem i z zegarem prowadził rozmowę: — „Co ci się tryb złamał? a może i waga za lekka? Nie bój się kochanie, to się poradzi!“ Lecz gdy pomimo tych rozmów, popychań, nakręcań, wieszania woreczków z piaskiem, kluczów, gwoździ i t. p. ciężarów, zegar nie szedł, a ojciec nie mógł dojść przyczyny zepsucia: marszczył się, krzywił komicznie, i z tryumfem niósł go do bawialnego pokoju. — „Rozbierzemy się duszko, to się i choroba znajdzie.“

Właśnie tego rozebrania bała się najwięcej matka. Wystawcie sobie bowiem porucznika, siedzącego na małym stołeczku z zegarem w jednej ręce, a pilnikiem w drugiej, tak coś nakształt Kopernika na Krakowskiem - Przedmieściu, przeglądającego wnętrzności swojego instrumentu, z podwójnemi na nosie okularami, obojętnego i głuchego na wszystko. a będziecie mieli jakoweś pojęcie tej majsterki.

Ponieważ nie znał mechanizmu zegaru, a bojąc się, by rozebrawszy takowy mógł go napowrót złożyć, dobywał kredy z bocznej kieszonki kamizelki, kreślił na wywoskowanej posadzce kółka, naznaczał

porządkową liczbą i w miarę rozkładania, umieszczał w każdem z kolei następujące kółko. Obstawiał się przytem różnemi narzędziami, piłował, przyrzynał, smarował oliwą, nieodrywając się na chwilę od tej roboty. Gdy przypadkiem przechodziła matka przez pokój, i suknią wyrzuciła jakąś cząstkę z określonego miejsca; powstawał z furją na modę długich sukień: — „Już też te baby nie wiedzą co z sobą robić! Dalipan idzie jak fura z sianem. Ostrożnie imość, bo i mnie przewrócisz! Hola! ostrożnie!

Jeżeli przy tej czynności wypadło zapytać go o co, to potrzeba było ze trzy razy powtórzyć zapytanie, nim podniósł oczy do góry, albo i najczęściej nic nie odpowiedział, lub zbył lakonicznem t a k, lub n i e.

Nigdy zaś od razu nie kończył reperacji; i gdy potrzeba było powstać, a znowu tak rozrzuconych części na podłodze do następnego dnia zostawić nie mógł, składał napowrót zegar, wieszał go na właściwem miejscu, a nazajutrz przystępował do dzieła w zwykłym porządku.

Z tego już po części mogą czytelnicy mieć wyobrażenie o charakterze porucznika; dodam jeszcze, że w towarzystwie bywał wesoły, przyzwoity, dykteryjki i opowiadania sypał jak z rękawa. Sprzeczek nie lubił, szczególniej z kobietami, i zwykle

mu ustępował, pomrukując: „Djabełby ich chyba przegadał!“

Życie nasze, jak rok długi było jednostajne, prócz dwóch dni, to jest: imienin ojca i matki. Wtedy zapraszał uroczyście sąsiadów i przyjaciół, występował z sutą kolacją, a czasem sprowadzał muzykę, aby i tańce się przyłączyły do ogólnej zabawy.

Otóż w ostatnią niedzielę przed św. Andrzejem, jeszcze przed nabożeństwem, siedziałem przy stoliku i za dyktowaniem ojca najozdobniejszemi literami pisywałem listy zapraszające na przyszłą sobotę: adresowałem, pieczętowałem, a czekający obok posłaniec, z zaleceniem wszelkiej ostrożności takowe odbierał, dla doręczenia zaproszonym.

Po ukończeniu tej pracy, długich naradach z matką, o przysposobić się mających potrawach: zimnych, gorących, winie, galaretach, świecach i t. p. udaliśmy się do kościoła, a po mszy, jak zwykle, do dziekana. Tam zastaliśmy kilku znajomych i przyjaciół, to jest: byłego majora Wolickiego starego kawalera, hulakę i dowcipnisia: burmistrza miasta tłustego mężczyznę, wiecznie śmiejącego się krzykacza i plagę mieszczan; pisarza magazynu solnego, szczupłego, bladego, z zasępioną twarzą, jakby Piotrowina z grobu, człowieka bez woli, energji, chodzącego w spódnicy żony, z przydomkiem ciepłe piwko. Byli tam i dzierżawcy

sąsiedniej wioski Szklar, urzędnicy z komory celnej i kilku innych mężczyzn mało mi znanych.

Z tych wszystkich muszę opisać pana Wolickiego, jako blizki związek mającego z dalszym ciągiem niniejszego opowiadania.

Major przez grzeczność, a podobno tylko dymissjonowany kapitan, były legjonista, już od powrotu z Moskwy wojsk francuzkich retretowy, był mężczyzna dobrej tuszy, czerwony jak rydz, z szaremi oczkami, błyszczącemi jeszcze, z potężnym za ucho zachodzącym wąsem, wiecznie kręcący się i żwawy, pomimo lat 60 wieku: elegant prowincjonalny, żartowniś, wesoły i w ogóle lubiany.

Dzierżawil on mały folwarczek o pół mili tylko od miasteczka odległy. W nim nigdy nie siedział, chyba chorując na pedogrę. Stary wachmistrz z całym żołnierskim rygorem zarządzał gospodarstwem, bo jego pan bywał gościem w domu.

Przyjaciół liczył na tuziny i to na mil 6 w około; wszędzie bawił po dni kilka, polował, pił, grał, damom nadskakiwał, oświadczał się nawet, lecz to wszystko żartem tylko. Dowcipny, mając dobre ukształcenie, figlarz jakich mało, nie dziw, że wszędzie był lubiany, oczekiwany z upragnieniem i jak najdłużej zatrzymywany. Umiał się zastosować do każdego stanu, wieku, płci, wyobrażeń i nałogów. Z babkami grał w marjasza, odrabiał

przegrane symple i duble zdrowaśkami, pannom rżnął komplementa jak z kalendarza, kłócił się z niemi bezustanku, i prześladował urojonymi kochankami. Dzieciom znów przywoził cukierki, wymyślał zabawki, musztrował chłopaków, a z tatkami pił do upadłego.

Już to żadna zabawa w okolicy bez niego się nie obeszła. Tak dalece był znanym z swej towarzyskości, że go nawet nie proszono nigdzie, spodziewając się jego niezawodnego przybycia.

Gdyśmy wchodzili do księdza, opowiadał przytomnym jakieś zajmujące zdarzenie, z niezliczonemi giestami rąk i całego ciała. Burmistrz śmiał się jak najęty, a inni mu pomagali.

Ujrzawszy ojca zawołał: — Otóż i on sam! A panie Andrzeju! czy się to godziło takiego figla wypłatać mej siostrzenicy? Widzisz, choruje teraz biedaczka: przeziębiła się do szczętu. Pamiętaj, odpłacę ci, jak Boga kocham, odpłacę!

— No, no, płać majorze, to swoja rzecz — odrzekł ojciec, podając mu rękę i witając się z innymi: — bo też i nieostrożne, mosanie: a żeby też kto inny spotkał nie ja, hę? okradliby z kretesem. Trzeba młodych uczyć!

— Jakże to było majorze? — odezwał się proboszcz — powiedzno Wasze, bom ja nic nie uważał.

— Wystawcie sobie, że komendant sławny piecuch domowy, zdecydował się przed kilką dniami wyjechać na jarmark do miasteczka K., i co dziwniejsza jeszcze, wyjechał dodnia. Nieszczęście mieć chciało, że siostrzenica moja Kozerska z córkami i mężem wracały właśnie z imienin od sędziego z Górki. Zwyczajnie jak po balu, wszystko to było znużone; droga jak na złość piaszczysta, więc sobie wszyscy, zacząwszy od furmana aż do samego jegomości Kozerskiego, drzymali wyśmienicie, konie zaś noga za nogą wlokły starą landarę. Ujechali zapewne już z milę od miasta, aż tu nadnieśli djabli komendanta, i patrzcie panowie że mu się figlów zachciało. Cichuteńko zawraca konie, popędza przed sobą i ci zamiast do domu, wracają napowrót do miasta. Aż tu dopiero wjechawszy w ulicę, puk puk po bruku trochę im przerwał drzymkę. Przebudza się furman, patrzy — miasto; co u djabła! czy czary czy co, i splunął; dalej budzą się i państwo.

— Tomek! a gdzie my jedziemy?

— E! proszę pana, mnie się kaj zdaje, że my pobłądzili.

Tymczasem kapitan jak stary wyjadacz, wyskakuje ze swojej dryndulki, i jakby o niczem nie wiedział, przystępuje do powozu z powitaniami i zapytuje: — „A gdzie to tak rano? czy na jarmark do K....

Dopieroż domysły rozmaite zaczęły się snuć po głowie podróżnym: rozpoznali miasteczko i nie mogli pojąć, co się z niemi dzieje. Aż kapitan w śmiech i opowiada, że on im takiego figla wypłatał.

Zmitrężywszy sobie ze dwie godziny drogi, przeziębli, musieli wracać napowrót, a kapitan odprowadził ich z wiorstę, śmiejąc się z takiej śpiącej podróży.

— Ale Jędrusiu, czemużeś ich nie obudził — przerwał dziekan — jaki to bo z Waszecia złośliwy człowiek!

— Mój Dobrodzieju! żebym ja był z tem sercem co Dobrodziej, toby mię anieli żywcem do nieba wzięli, a ja mam ochotę i do czyśca zajrzeć, mosanie! Młodych trzeba doświadczeniem uczyć; drugi raz zaręczam nie usną podobnie.

— Oho, komendancie! z procentem oddam — zawołał Wolicki — tylko żebyś się nie ciskał, bo to będzie wet za wet: pamiętaj!

— Dobrze, mosanie, pozwalam! jeśli Waszeć tylko złapiesz, naprzód przebaczam. Nie tak łatwo starego lisa wziąść w sidła; a tymczasem jeśli łaska panowie, i kto mi dobrze życzy, proszę na gospodarski obiadek!

Kilku zaczęło się wymawiać, zabierając się do wyjazdu; kilku znowu, pomiędzy którymi był Wo-

licki, dziekan i miejscowy poczthalter, razem z nami przybyli na obiad.

Przez cały ciąg obiadu i potem już uważałem, że Wolicki coś z matką szeptał. Matka się uśmiechała, a major detailicznie rozpowiadał ze wszystkiemi dziwacznemi ruchami. Ojciec był w najlepszym humorze: żartował z majora, że mu Zosię bałamuci, zmyślał różne przygody myśliwskie, z księdzem się kłócił o korpus kadecki w Kaliszu, i gdy goście już około czwartej popołudniu wyprowadził, każdego najsolenniej na sobotę z familją prosił.

— Ja ci chyba starego wachmistrza jako familią przywiozę, komendancie! — wsiadając na bryczkę zawołał Wolicki. — Tylko też młynka nie zwiń, bo ja z pewnością z całą gromadą młodych, starych obojej płci zjadę: może i skrzypiciela wynajdę. Prawda, prawda, mam dalibóg jednego sprytnego chłopaka: gra jak Paganini, choć mu trzech strun brakuje. No, bywaj zdrów!

II.

Kilka następnych dni zeszły szybko na ciągłych przygotowaniach do sobotniej uczty, bo to w ubogim szlacheckim domku nie tak łatwo zadość uczynić wymaganym formom gościnności na wielką skalę, bez żadnych przygotowań. Goście prowincjonalni są więcej wymagającemi od miejskich. Tu lada czem ich zbędziesz, herbatką, tańcami. Na wsi to wcale inna rzecz: będą tacy, zwłaszcza kobiety, co obliczą wszystkie kieliszki wina, sucharki nawet; pomimo wystawności Lukullusa, znajdą coś do zarzucenia, lecz zawsze ze słówkiem litości dla gospodarstwa: — „Biedni, nakrzątali się porządnie, ale przyznam się, mogliby też większych i smaczniejszych pączków nasmarzyć; uważałaś pani, te były jak kule armatnie, twarde, suche“ i t. p. To też pod dozorem osobistym ojca, czyszczono staroświeckie sreberka, przyrządzano kinkiety, woskowano posadzkę; matka zajmowała się kuchnią, firankami i innemi więcej kobiecej staranności wymagającemi przygotowaniami.

Pamiętam jak dziś, była może 10 godzina wieczorem, już do snu zabierać się miano, ale ojciec jeszcze pacierze zwykłe odmawiał, gdy ktoś zapukał do drzwi od sieni. Ojciec wybiegł, i po chwili wprowadził za sobą pocztowego posłańca.

— Otóż i list! A dajno go tu, kiedy tak pilny. Jasiu! pójdźno przeczytaj!

Pobiegłem co żywo do sypialnego pokoju, przeczytałem naprzód adres, opisałem pieczątkę, a gdy tak z adresu jak i pieczątki ojciec dojść nie mógł od kogoby pochodził; otworzyłem takowy i głośno przeczytałem:

„Kochany mój kolego!

„Znając cię od dawna, i wiedząc, że twoja komenda zapewne nie w najlepszym porządku...

— A co jemu miljon bomb do tego! — wrzasnął porucznik — czytaj dalej!

....„pospieszam cię uwiadomić, że jenerał B. adjutant głównego sztabu....

— Co takiego? nie dosłyszałem. Kto, kto, jenerał!...

— Tak, adjutant głównego sztabu.

......„w sobotę niezawodnie w twojem miasteczku będzie, objeżdżając gubernię: przygotujże się należycie, bo on wielki rygorzysta.

— A to doskonale! a niechże cię miljon furbeczek kartaczów.... Czytajno dalej!

„Przy tej sposobności załączam życzenia najszczerszego przyjaciela, z powodu przypadających w dniu 29. listopada twoich imienin, i zostaję prawdziwie szczero-życzący, B u k o w s k i.“

Nie słuchał już ostatniej części listu, tylko zerwał się gwałtownie i krzyknął:

— Lustracja tedy! A to się wydarzyło, i to w sobotę, a dziś czwartek! Hej! hej! Małgosia! Małgosia!

— Cóż ty od niej chcesz tak późno?

— Milcz Imość! Nie słyszałaś, lustracja w sobotę!

— No, to wiem dobrze, ale późna godzina: gdzież ją chcesz posłać?

— Czego się Imość wtrącasz? Kładź się w swoje bety, a mnie daj pokój, rozumiesz! Że teżto Asani musisz swój nos wszędzie wścinbić.

Napół ubrana służąca wychyliła głowę z kuchni a ojciec do niej:

— Biegnij co żywo po Duszaka, niech natychmiast przychodzi; powiedz, że lustracja jenerała.

Matka zamilkła, służąca pobiegła, a porucznik wziął list odemnie, wyjął z biurka okulary, i zaczął czytać. Snadź niedobrze mu szła lektura, bo wyjął drugie okulary, wsadził na nos poniżej pierwszych, i cały list od deski do deski przeczytał.

— A to skaranie Boskie! Proszę, kto widział z lustracją przyjeżdżać w listopadzie? No, no, to chyba koniec świata! Dwa lata jestem tutaj komendantem, a jeszcze mi się nic podobnego nie trafiło. Czyby tam kto doniósł o mojej niedbałości, czy co?... He! Bóg to wie... Staram się przecież żyć ze wszystkiemi, ale djabeł się tam ustrzeże złego języka! Bądź co bądź, trzeba wystąpić należycie.

— Jasiu! mundur....

— Mój mężu, nie bądź też dziwacznym! Kto widział o północy stroić się w mundur...

— Imość! bo mi już braknie cierpliwości. Milcz! bo ci wyrznę verba veritatis, jakichś jeszcze odemnie nie słyszała. Takie rozkazy w mundurze się dają, a Imość kiedy nie znasz wojskowego strychtu, to mi się nie odzywaj. Mundur!

Przyniosłem mundur; stary się zapiął, uczesał, fajki nawet niedopaliwszy, a Duszaka jak nie widać, tak nie widać.

— Mazgaj jakiś, mosanie! To mi służba, dwie godziny czekać! Djablo się już zwlokła komenda; trzeba ich wziąć w strychtę; co to za żołnierze! Jak to dawniej o północy zawołali do pułkownika, w dwie minuty już człek był gotów. Tfu! do miljon djabłów....

Zniecierpliwiony porucznik to zaglądał do okna, to wychodził przededrzwi oczekując Duszaka; klął

aż się mury trzęsły, a w końcu wziął czapkę i sam poszedł na ich spotkanie.

W chwilę powrócił zagniewany, wiodąc rozespanego starowinę, i dał ze dwadzieścia rozkazów, jeden za drugim bez wytchnienia. Stary Duszak kiwał tylko głową za każdym i dodawał: „Stanie się wedle rozkazu, panie kapitanie.“

— No, pamiętaj, dodnia wszyscy żeby tu byli!

— Dobrze, panie kapitanie — odrzekł stary i wyszedł do sieni.

— Duszak! Duszak! — zawołał ojciec, i stary się wrócił — a pamiętaj żeby się pogolili.

— Dobrze panie kapitanie — i znów wyszedł.

— Ale, ale, słuchajno Duszak!

— Jestem na rozkazy.

— Żeby się postrzygli porządnie, krótko, rozumiesz! Efekta wszystkie poznosić: rozumiesz, wszystkie!

— Rozumiem, panie kapitanie.

Ledwo że kilka kroków uszedł, ojciec znów sobie coś przypomniał, pobiegł do okna, otworzył lufcik i zawołał:

— Duszak! wróćno się!

Stary znowu się wrócił pod okno.

— Pilnuj też Kownackiego, aby się nie upił. Przez miłość Boską weź go w swoją opiekę, bo któżby was pogolił.

— Dobrze panie kapitanie! Ale podobno Gomułka do młyna poszedł z żoną wczoraj.

— Masz tobie, to doskonałe: jak szare gęsi rozłażą się w okolicę. Żeby on sto furbeczek zjadł z tym młynem! Posłać po niego natychmiast, już ja zapłacę posłańca; a dalibóg to istne skaranie Boskie! — rzekł ojciec zamykając lufcik — że teżto nigdy wszyscy razem być nie mogą. Poczekajcie, wezmę ja was na ostro! To mi się podoba: do młyna błazen poszedł: dam ja ci młyn!

Wrócił do swego pokoju, chodził jeszcze czas niejaki wzdłuż i wszerz, rozmawiał z sobą rozkładając rękami; naraz zatrzymał się na środku, uderzył ręką w czoło i zawołał:

— Otóż dałem sobie chleba! Zosiu! śpisz ty?

Lecz matka ani się poruszyła. Ojciec powtórzył: — Zosiu! słyszysz? — I tą razą było milczenie. Przybliżył się więc do łóżka i poruszył śpiącą, szepcząc: Zosiu! — Zosiu!

Nie wiem czy spała istotnie matka, czy udawała tylko; dość, że przebudziła się jakby z twardego snu, i z gniewem odrzekła:

— Dajżeż mi pokój święty!

— Ale moja droga, wielkie nieszczęście nas spotkało!

— Jakie nieszczęście? — zapytała z zadziwieniem i przestrachem.

— I nie domyślasz się, że w sobotę moje imieniny.

— No i cóż z tego? W tem żadnego nie widzę nieszczęścia.

— A w sobotę lustracja, nie słyszałaś!

— Mój kochany, uwolnij mię od tej lustracji: idź spać i nie przeszkadzaj mi, jestem znużona.

— Z Imości istna przekora. Jak nie trzeba, to gada do znudzenia, a jak ją o radę proszę, ani słowa wymęczyć nie mogę. Cóż tu robić z gośćmi, których zaprosiłem: gadajże u Boga?

Matka milczała. — Zosiu! przez litość poradź bo już nie wiem co się we mnie dzieje! — i przybliżył się do łóżka, nachylił nad śpiącą, błagając: — Zosiu! a nie bądźże tak okrutną!

— A widzisz, panie poruczniku — odrzekła z uśmiechem matka — że i ja na coś się przydam. Fukałeś przed chwilą, radź sobie sam teraz: poco ja się mam mieszać w twoje sprawy.

— Przebacz kochanie, jam już taki gorączka: powiedz, co ja z gośćmi zrobię, a jeszcze ten szalaputa Wolicki obiecał fury gości pozwozić.

— Nie wiesz co się to z gośćmi robi, mój panie poruczniku? Przyjmiesz ich jak zwykle, i skończyło się.

— Ale jakże ich przyjąć? Coby to jenerał na to powiedział, tu lustracja, a tu u komendanta bal. Nie, to być nie może, znam służbę, natarłby uszu porządnie. Nie ma rady, trzeba popisać listy...

— Może odpraszające! — zawołała matka — tobyś się spisał mężulku. Raz w rok przyjmujesz, i jeszcze odpraszasz; dopierożby się śmiali! Zresztą już czasu nie ma, zapewne porobiono wszędzie wydatki na ubiory i inne przygotowania, posłaniec nie zdołałby o kilka mil zawieźć listu przed sobotą.

— O mój Boże! mój Boże! za cóż mię też tak ciężko karzesz! — wyrzekł z goryczą. — A ta lustracja, wiesz, połowębym oddał tego co mam, żeby albo lustrację, albo imieniny usunąć z drogi.

Matka śmiała się serdecznie z kłopotów komendanta, stary zaś lamentował i możeby zapłakał na serjo, ale wstydził się widocznie.

— Nie molestuj, mój mężu! — powiedziała matka zdjęta litością — wszystko się dobrze zrobi: ja ci zaręczam. Idź spać, a jutro obszerniej o tem pomówimy.

Ojciec uściskał żonę, i na pół już uspokojony solennem zaręczeniem matki, spać się położył, nie paląc fajki jak to zwykle robił; i długo długo w nocy słyszałem jeszcze ciężkie westchnienia wychodzące z sypialnego pokoju, które byłem pewny, że od ojca pochodziły.

III.

Jeszcze dobrze było ciemno, gdy mnie zbudził niezwykły ruch w domu. Ojciec krzątał się po wszystkich pokojach ze światłem, wydawał rozkazy, ubrany w swój mundur. I ja też jak to zwykle dzieci ciekawe robią, choć niewyspany, zerwałem się z łóżka, ubrałem się co żywo i dalejże na odwach.

Kilku żołnierzy, pomiędzy którymi był i Kownacki wcale trzeźwy, uwijało się żwawo: to znosili ze strychu zardzewiałe karabiny, to rozpakowywali przyniesione zawiniątka, to szeptali między sobą o nastąpić mającej lustracji.

Ojciec niecierpliwy, że wszyscy się jeszcze nie zgromadzili, gderał po swojemu, i każdego nowo wchodzącego, jakąś wymówką wcale nieprzyjemną obdarzał.

— A co to Gawlik takie tobołу niesiesz, do miljon furbeczek! Patrzcie, on gotów i pierzynę do torby wpakować. Pokaż, coś ty przyniósł.

— Każe pane powiedzieli, żeby wszystko znieść na lustracją, ja też wszystko zabrał.

— A niechże cię Bóg ma w swej opiece! Dość było trzy koszule, a tu ich z tuzin. Gdzież ty to włożysz? Jakie to pasy? Hejtuch, a stary mosanie: poczekaj, tylko po lustracji, odsiedzisz z tydzień na warcie!

— Cóż to znowu u djabła! Kto ci tak głowę skarbował? Nie skaranież to boskie! Człowieku! czyś ty zwarjował czy co? — zawołał z gniewem porucznik, oglądając ze świecą włosy Gawlika. I istotnie było się czemu dziwić: głowa jego bowiem przedstawiała piętrzące się coraz wyżej, znacznie pooddzielane schody.

— Kto cię tak zeszpecił? — krzyknął powtórnie, odskakując na kilka kroków — gadaj, kto?

— Katarzyna, panie kapitanie.

— Jaka Katarzyna, błaźnie?

— Ta gospodyni moja z pod przełazka. I powiedziała, że tak dobrze będzie.

— A żebyś ty miljon furbeczek zjadł! No patrzcież moi kochani, on wygląda jak niestworzenie Boskie. Kownacki, przez litość! Kownasiu, popraw jak możesz. A to dopiero mazgaj, Katarzynie dał się ostrzydz! 15 ci przylepię po lustracji! 15 mazgaju! Ja cię dopiero nauczę „że tak dobrze będzie“. Czemże ona cię tak pokrajała?

— Panie kapitanie! — odrzekł przelękły żołnierz — Duszak o północy nakazał, aby na rano

być ostrzyżonym; ja się biedził kto mnie ostrzyże, aż tu Katarzyna zlitowała się nademną i nożyczkami od owiec postrzygła. Jak Pana Boga kocham, panie kapitanie, ona powiedziała, że tak dobrze będzie, i....

— Milcz trutniu stary, bo żebym się Boga nie bał, i żeby mi nie było żal twych starych kości, tobym ci ze 40 przylepił, ażby w niebie było słychać!

— A gdzie Gomułka? Duszak, posłałeś po niego?

— A jakże, panie kapitanie, tylko tam bieda z nim, bo mu się syn podobno utopił.

— Co znowu? syn się utopił! Masz tobie teraz, on tu pewno nie przyjdzie, a i tak was mało. Ale biedak! i kiedyż to było, Duszak?

— Ot, wczoraj wrócił ze młyna parobek mej gospodyni i gadał, że w nocy szukali go ze świecami po wodzie, bo go nigdzie znaleźć nie mogli, i to panie kapitanie najmłodszy pono.

— Tfu mosanie, okropny wypadek... Jak się już zacznie rwać, to ani wstrzymasz; naraz lustracja, imieniny, topielec, i Bóg wie co jeszcze będzie: mnie tu chyba rozum przyjdzie stracić! Jaki też to głupiec ten stary Gomułka, dzieci brać do młyna: do czego to podobne?

— Jużto taki zwyczaj tych Litwinów, panie kapitanie — odezwał się Kownacki. — Gomułka jak idzie do młyna, to z żoną, z dziećmi, pie-

rzyną i z botwinką; tam trzy dni mielą zboże, śpią i połowę mąki zmełtej zjedzą: to też on prawie kwaterę ma we młynie.

— Muszę to wykorzenić, oho, muszę, bo on do djabła wytopi wszystkie dzieci, jak Herod w Betleem. Mój Duszak, żeby on mi tylko na tę lustrację przyszedł.

— A jakże, panie kapitanie, przyjdzie niezawodnie; ja tak kazał powiedzieć.

— No, teraz już wszyscy podobno jesteście: do dzieła tedy chłopcy, zacząć od karabinów, rozebrać, czyścić jak szkło, tylko żwawo.

Ruszyli się więc wszyscy, i z brzękiem, łoskotem porozbierali karabiny, porozkładali po tapczanach, roztarli kredę, cegłę, i nuż pucować z przeraźliwym skrzypem, jak w jakiej ludwisarni.

Ojciec przebiegał od jednego do drugiego, poprawiał, pokazywał, a nawet niektórym radził, aby porobili kółka na podłodze kredą i tam umieszczali części składające karabin, dla uchronienia się od pomyłek. Co wszakże zastosować się nie dało, z powodu szczupłego miejsca izby odwachowej.

Wśród tej roboty zupełnie się rozwidniło. Ojciec wyszedł jak zwykle do kościoła, a tymczasem wrócił Gomułka ze młyna, zbielony mąką, z ogromnem zawiniątkiem na plecach. Uwiadomiony przez kolegów o mającej nastąpić lustracji, wziął się

również do pracy. Niedługo potem wrócił komendant; już i u dziekana nie był, tylko zmierzał co prędzej na odwach. Pierwsze jego słowa przy wejściu były:

— Jest Gomułka?

— Jestem panie kapitanie! — odezwał się z kąta wysoki żołnierz i postąpił ku ojcu.

— No, i cóż z synem?

— Znalazł się, panie kapitanie, jeszcze wczoraj.

— A widzisz, jakiś ty nierozsądny! Jakto można z dziećmi chodzić do młyna, i jeszcze ich nie pilnować: masz teraz stratę i zmartwienie, bo to i duży chłopak, i ładny.

— Tak panie kapitanie, ładny, jużto wszyscy mówią, ale przecież żadnej mi straty nie zrobił. To takie małe głupie...

— Jakto? nie żal ci go? — zapytał z zadziwieniem porucznik — i ty masz tak kamienne serce! Patrzcież, utopiło mu się dziecko, a on powiada, że to nie jest dla niego stratą. Bydlę, ale nie człowiek taki!

— Broń Panie Boże! chłopak zdrów jak ryba ani się myślał utopić.

— Co znowu nie utopił się? Duszak! jak ty możesz takie baśnie roznosić? Widzisz, on powiedział, żeście go wczoraj w nocy w wodzie szukali.

— Tak panie kapitanie, to prawda, ale chłopak był w pierzynie, a nie w wodzie. Bo to my

biedni mamy jednę pierzynę dużą i razem sypiamy; chłopak wcześnie poszedł spać sam, zrobił otwór w poszwie i zakopał się w pierzu. Żona, jak to pan kapitan zna baby, Boże zmiłuj się, nuż lamentować, że się utopił i utopił. Szukają tedy, i ja szukam, bo mi go żal było; już i północek, a chłopaka nie ma. Aż tu naraz, snadź mu się jeść zachciało, dalejże płakać. Słucham gdzie? — w pierzynie; więc szukać i znajdujemy rozespanego, ale dzięki Bogu zdrowego.

— Cha! cha! to doskonałe, w pierzynie zginął! — zawołał wesoło kapitan — to wyborne! Niechże cię nie znam z takim topielcem, mój stary! Weźże się więc do roboty, tylko śmiało! Waszeć jako najwyższy, staniesz na skrzydle, to trzeba żeby się djabeł przejrzał w twym karabinie!

— Rozumiem, panie kapitanie, i przejrzy się, z pewnością przejrzy!

Zrazu dobrze szła robota: starzy się uwijali, skrobali, czyścili; ale tak około jedenastej z rana ręce ustały, widocznie się znużyli, pot obfitemi kroplami wystąpił na czoła, i co chwila siadali do odpoczynku. Ojciec kręcił się na wszystkie strony, klął, zachęcał, i już chciał ludzi najmować do czyszczenia, ale komenda obruszyła się na tę propozycję, i na nowo wzięła się do dzieła.

Z całej tej krętaniny najwięcej zadowolona była matka, bo ojciec nie miał czasu wtrącać się do

jej zatrudnień, i ja, bom lekcji nie miał, taka zaś rekreacja bardzo rzadko się zdarzyła.

Przed wieczorem ukończono w zupełności czyszczenie, pozostawało tylko ztroczyć płaszcze, to jest związać w mały wałek dla umieszczenia go na wierzchu tornistra; ojciec bowiem chciał aby w zupełnym uniformie wystąpiła komenda. To było już nad siły starych, znużonych całodzienną pracą. Wytężono wszystkie siły, aby choć jeden płaszcz zwinąć, lecz to się nie udało. Czem kto mógł, rękami, kolanami, ściskał i popychał dla mocniejszego i ściślejszego zwinięcia: wszystko było napróżno. Zwinięty wałek z grubego sukna miał wprawdzie okrągły kształt, lecz był tak wielki i gruby, jak dobry klocek drzewa, więc niepodobna go było na tornistrze umieścić. Ojciec sam cudów dokazywał, lecz to nic nie pomogło i musiano na drugi dzień tę czynność odłożyć.

— Przynajmniej dziś przymierzcie mundurów: zrobimy próbę musztry! — zawołał zrozpaczony porucznik. — Wypakować tornistry.

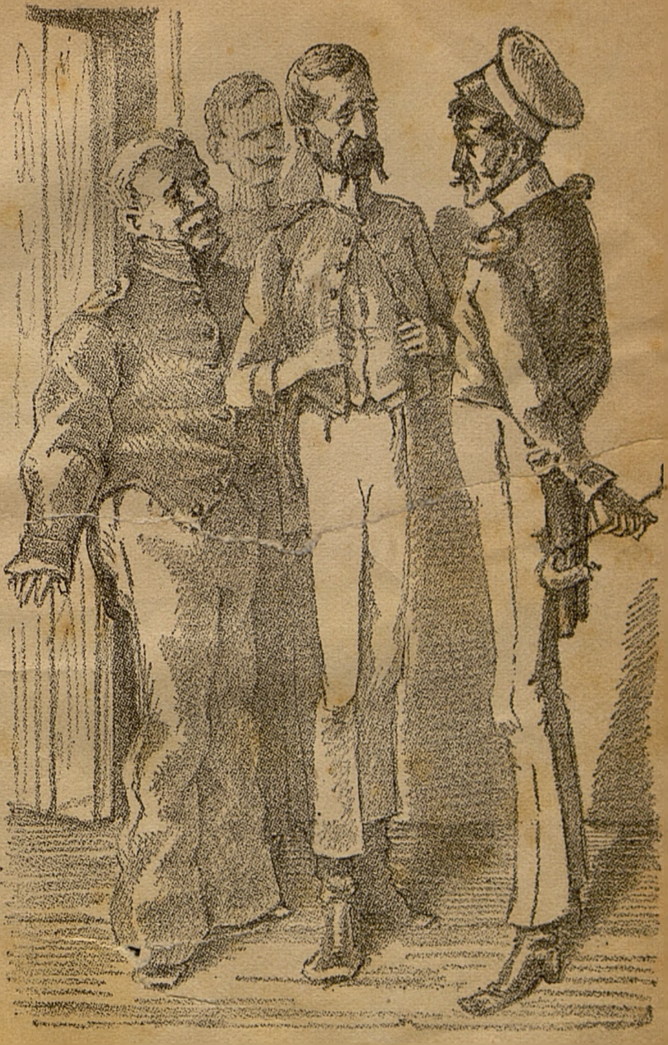
Wzięto się do tornistrów: lecz i tu nowa trudność. Każdy oszczędzając przez kilka lat, miał znaczny zapas bielizny, garderoby i innych przedmiotów; każdy więc chciał wszystko pakować. Oczywiście, że połowę zaledwo włożył, i już był pełny; musiał więc ojciec każdemu oddzielać pewną ilość przedmiotów, pakować, układać, i sam

prawie wszystkie tornistry własnemi rękoma zapełnił. Ale nie ustawał w pracy, bo już to taka jego była natura: gorączka wielki, przytem uparty, gotów był dwa dni nie jeść, nie pić, aby tylko ukończył rozpoczętą czynność. To też i owego dnia ani jednej fajki nie wypalił, objadu nie jadł, tylko wciąż krzątał się między żołnierzami.

Gdy przyszło do umundurowania, nowe trudności zwalczać trzeba było. Mundury były wprawdzie nowe, lecz szyte na ogólną miarę: ztąd jeden był zaobszerny, drugi zaszczupły, inny zakrótki, inny zadługi. Co się też naprzymierzano, naprzemieniano różnej części ubiorów wojskowych, a to wszystko na probę. Podobno nie wiele zostało zbytecznych rzeczy, bo znaczna część bielizny, chustek poszła na wypełnienie zaobszernych miejsc mundurów, dla nadania im właściwego kształtu. Bacząc więc porucznik na tę pracę, którą jutro trzeba było powtórzyć, kiedy spotkał matkę w dziecinnym pokoju, zapytał:

— Słyszysz Zosiu! poradź moja kochana: czyby nie było lepiej, żeby oni pozostali już tak ubrani do jutra, he?

— Co się też roi w twej głowie! — odrzekła matka — chcesz, żeby ci połowa zachorowała do jutra? Jakże można ludzi starych, tak zmordowanych całodzienną pracą, pozbawiać snu, dla tak błahej przyczyny?



— Jeden mundur za obszerny, drugi za szczupły, inny za krótki, inny za długi. (Str. 86.)

— Ależ moja kochana, jak jenerał rano przyjedzie, to nie zdążą się ubrać, a tu płaszcze nie potroczone...

— Rób sobie jak lepiej uważasz, i daj mi święty pokój! Co mię tam obchodzi twoja komenda.

— To bardzo źle, moja Imość, że cię nie obchodzi, źle, bo powinna obchodzić! Imość, moja żona, powinna podzielać kłopoty mężowskie. Dalibóg tyś mi się zupełnie zmieniła od niejakiego czasu; chodzisz taka obojętna na wszystkie moje nieszczęścia, i widocznie drwisz sobie! To nie moja żono, to niedobrze po dwudziestu latach pożycia!

— Mój mężu! nie dziwacz tak, bo ja ci znowu powiem, żeś tak stetryczał, znudział, jak starzec jaki. Proszę cię, gniewasz się jak co radzę, a potem robisz niezasłużone wymówki. Zresztą jam kobieta, nie komendant, pocóż się mam mieszać w twoje zatrudnienia? Chcesz, bym jak ty straciła głowę zupełnie? Mam pamiętać przecie o domu całym, i o jutrze: idźmyż więc każde swoją drogą, to będzie najlepiej.

— No Imość, gadasz jak nieprzymierzając ksiądz dziekan z ambony. Przepraszam cię tedy i pójdę wyprawić starych do domu.

Całą noc prawie porucznik nie spał, sposobiąc się do jutrzejszej lustracji; dodnia jeszcze wstał i z przybyłymi żołnierzami pozwijał płaszcze, ka-

żdego niemal ubrał, dopilnował by się postrzygli, pogolili, a szczególniej Gawlik. Niezmordowaną pracą i wytrwałością tyle dokazał, że przecie niezgorzej wyglądała komenda; i gdy już wszystko było w pogotowiu, gdy uprzątnięto izbę odwachową, kapitan ubrał się w swój paradny mundur z krzyżem legji na piersiach, i wygorsowany, wszedł na odwach dla zrobienia próby.

Żołnierze zaprezentowali broń, ale jak? Boże zmiłuj się! Dziesięciu staruszków, zbieranina z rozmaitych pułków: z artylerji, konnicy, piechoty i innych oddziałów armji, nie znali piechotnej musztry; to też gdy porucznik zakomenderował: „na ramię broń!“ ani dwóch jednocześnie nie zrobiło potrzebnego obrotu, podnosząc równocześnie karabiny; i gdyby komenda szła ciągle, byłby między nimi nieustający ruch, gdyż jak pierwszy zaczął, to ostatni dopiero w kilka minut ukończył obrót.

Potem wystąpił przed front starszy sierżant, i złożył w imieniu wszystkich życzenia imienin. Ojciec podziękował, każdemu poczestne udzielił, i odszedł do siebie, poleciwszy jednemu z nich wyjść na dach poblizkich stajen, aby dał znać, gdyby się jaki powóz na drodze pokazał.

— Tylko mosanie uważaj karety! Jenerał inaczej nie jeździ, rozumiesz!...

Zadowolony komendant tak szybkiem ukończeniem dzieła, w różowym był humorze; nas i matkę



— Czyś ty zwarjował czy co? zawołał z gniewem oglądając ze świecą włosy Gawlika. — (Str. 8[illegible])

ściskał serdecznie, dziękując za składane mu życzenia, i tylko się niecierpliwił, że nikogo ze znajomych i przyjaciól nie było z powinszowaniem.

— Czy zapomnieli, mosanie, czy co? A może też i dowiedzieli się o lustracji, poczciwcy nie chcą mi przeszkadzać. Tak, pewnie tak będzie. Niech im tam Bóg za to wynagrodzi — mówił do siebie porucznik. — Ale żeby to jeszcze i na wieczór nie zjechali!... Podobno nic z tego nie będzie; tu Wolickiego tylko patrzeć!

Korzystając z zajęcia porucznika i tak dobrego humoru, matka poprzestawiała stołki w bawialnym pokoju, na co teraz nie zważał tylko palił fajkę za fajką, zaglądał na odwach, komenderował i czekał niecierpliwie jenerała.

Już trzecia wybiła na domowym zegarze, a jenerał nie przyjechał. Żołnierze głodni, obciążeni wojennym rynsztunkiem, ledwie trzymać się mogli na nogach.

— Źle mosanie, źle! gotowi się poprzewracać na lustracji, a tu puścić ich nie mogę! Zosiu! Zosiu! — zawołał ojciec — daj im też co zjeść naprędce. A to skaranie Boże z tym jenerałem!

Podano im przekąskę, nabrali sił cokolwiek, a ojciec wyprowadził ich potem na dziedziniec, i wskazał miejsce przy wjazdowej bramie, gdzie się mieli prezentować.

Zaczęło się zciemniać, nawet już trzeci żołnierz z kolei zmienił się na czatach, a jenerała ani żadnego z gości nie było. Porucznik niecierpliwił się widocznie, wszystko mu stało na przeszkodzie: nawet i zapach z potraw wychodzący z kuchni był za mocny, bo z gniewem przybiegł do matki:

— Co tam Imość pitrasisz tak głośno, że w całej sieni i na podwórzu czuć osobliwsze zapachy? Wyrzucić mi to wszystko do djabła! Pięknieby było, żeby jenerał na odwachu poczuł zapach pieczeni.

— To może go apetyt weźmie, a upewniam cię, nie powstydzę się zajęcy! — odparła z uśmiechem matka.

— Moja Zosiu, schowaj te żarciki na później, a przez litość przestań otwierać drzwi od kuchni, i dzieci pochowaj, bo one gotowe poleźć tam przed jenerała! — i pobiegł na odwach.

— Duszak zapal lampy!

— Jeszcze widno, panie kapitanie!

— Co się ty wdajesz w ekskuzy? Pal do miljon furbeczek, kiedy każę; czy to z twojej kieszeni idzie na światło?

Ledwie zapalono światło, tak na odwachu jak i w mieszkaniu naszem, aż tu jakby za danem hasłem wchodzi dziekan.

— A przecie, przecie! — zawołał rozweselony ojciec — tak się nie godzi, zapomniałeś dziekanie o mnie, i wszyscy znajomi! Tak się nie godzi!

— Daruj, panie Andrzeju! Bóg widzi że nie miałem czasu: zresztą wiesz, że moje dla ciebie życzenia są zawsze jednakowe, ja zaś przekonany jestem o twojej dla mnie łasce i wyrozumiałości — i przy tych słowach nuż się całować na wszystkie strony ze łzami prawdziwej i szczerej życzliwości.

Za księdzem wtłoczył się zaraz otyły poczthalter, za nim burmistrz z żoną i dziećmi, dalej pisarz magazynu i inni znajomi z miasteczka. Ojciec przybyłych ściskał, dziękował, lecz jakoś lustrację wciąż miał na pamięci, bo wszystko to robił z roztargnieniem i nieuwagą; nawet chciał burmistrzowę pocałować, a gdy ta odsunęła się z przestrachem: — „At dalipan! co się też w starej głowie mieści — zawołał porucznik, uderzywszy się w czoło. — Przepraszam kochaną panią, przepraszam najmocniej“. Co chwila wychodził na odwach, i pytał czatującego: „A co, nie widać? Uważaj teraz na trąbkę pocztową, mosanie uważaj“! Znów powrócił do gości, przyjmował ich jak mógł, a matkę błagał aby się niemi zajęła.

Snadź stary dziekan uważał to zakłopotanie porucznika, bo zbliżywszy się do niego, zapytał:

— Coto panie Andrzeju masz na sercu, bo widzę bardzo roztargniony jesteś?

— Tak, tak dobrodzieju, nie na sercu, lecz w sercu mam mola! Nieszczęście mnie spotkało: ot lustracja dzisiaj ni ztąd ni zowąd, jenerał przyjeżdża, a tu...

— Panie kapitanie! — wrzasnął żołnierz wpadając do pokoju.

— Do broni! — zawołał porucznik, pochwycił kaszkiet i wybiegł jak szalony. — Żwawo do broni, wiara!

Wybiegli tedy, i ja za nimi. Pozostałe towarzystwo oniemiało z podziwienia na taki okrzyk komendanta, burmistrzowa nawet mdleć zaczęła, ale ją uspokojono, że tu nie będzie strzelania, tylko lustracja jenerała.

— Ot! bo to moi państwo, gdy francuzkie nacje w 12 roku przechodziły, ja małą byłam dzieweczką w domu rodziców w miasteczku Końskich; pamiętam jak dziś...

— Dobry wieczór pani Dobrodziejce! — zawołał wchodzący sekretarz z magistratu, stary kawaler i podobno przyjaciel pani prezydentowej — dobry wieczór! — I dalejże składać całusy na czerwono-sążnistej rączce.

— Nie przeszkadzaj panie Stanisławie! Dobry wieczór! Widzisz, ja tu księdzu kanonikowi opowiadam o tym strzale w pokoju za Francuzów.

Lecz dziekan wysunął się już za komendantem, korzystając z przybycia sekretarza, zaś pani prezydentowa słowo w słowo wyrecytowała już po tysiąc razy powtarzaną anegdotkę swemu przyjacielowi.

Tymczasem komenda stanęła szeregiem, porucznik z dobytym pałaszem na skrzydle prostował linję, a w chwilę zaturkotało bliżej i bryczka wjechała w bramę. Nowoprzybyły spostrzegłszy oddział prezentujący broń, kazał stanąć, zsiadł z bryczki śmiejąc się do rozpuku, i zbliżył się do komendanta.

— Co to panie Andrzeju? po dawnemu chcesz mię przyjmować! Przez Boga! ja już dymissjonowany pułkownik, nie róbże sobie tych zachodów!

— Bukowski! Bukowski! niechże cię uściskam — zawołał porucznik i wystąpił z linji. — To prawdziwa dla mnie niespodzianka! Niechże ci Bóg nie pamięta, coś mi ty swoim listem narobił!

— Jakim listem u Boga? kochany panie Andrzeju: ja żadnego nie pisałem...

— Oho! wymawiasz się, ale to się nie uda. Pójdź, pójdź, do mieszkania, to zaraz ci pokażę czarno na białem!

I pociągnął ex-pułkownika do mieszkania, a żołnierzom kazał wrócić na odwach.

Gdy. przyszli do pokoju, dopieroż się witać zaczęli jak dawni przyjaciele, aż echo po całym

domu roznosiło takie dowody prawdziwej przyjaźni.

— Mój kochany! pokażno list odemnie, i wytłumacz improwizowaną musztrę, bo nic z tego pojąć nie mogę.

Pobiegł ojciec do biórka, szukał dość długo, poprzewracał wszystkie przedmioty tam znajdujące się i nareszcie z tryumfem zaniósł list pułkownikowi. — Masz, czytaj! — rzekł podając mu takowy.

Pułkownik spojrzał na list, potem na podpis, wzruszył ramionami i wyrzekł obojętnie:

— To nie mój podpis i nie moje pismo!

— Jakto pułkowniku, toś nie ty pisał? Któżby u djabła śmiał cię podpisywać... Fe! nie żartuj...

— Daję ci słowo honoru, nic o tem nie wiem: ani o jenera'', ani o twojej nieporządnej komendzie, o której list opiewa.

— A to oszust! a to fałszerz, mosanie! — wyrzekł gwałtownie porucznik. — Nie daruję, jak mi Bóg miły nie daruję! Co to drwić sobie ze mnie i szastać podpisem tyle szanownego człowieka! Dojdę, jak Boga kocham dojdę sprawcy, i ukarzę przykładnie.

— Zaczekaj poruczniku; kto wie, czy i nie przyjedzie jenerał. Może ktoś życzliwy a nieznajomy ostrzegł cię, choć niewłaściwie pokrywając się mojem nazwiskiem.

— Może, może — powtórzył ojciec, i zamyślił się. Aż tu naraz jak urznie kapela pod oknem, aż się wszyscy wzdrygnęli na tak niespodziany odgłos. Ojciec wybiega do sieni, i spotyka się oko w oko z gronem postrojonych kobiet i mężczyzn, dążących do bawialnego pokoju.

— Witam, witam łaskawych gości! No proszę, to i pani Kozerska z córkami, i państwo Słomscy! A czy ja też zasłużyłem sobie na taką łaskę.

— Tak, tak panie kapitanie — odezwała się rozbierając pani Kozerska — to ja tak odpłacam za wyrządzoną mi psotę w przeszłym tygodniu: widzisz, jakie my wspaniałomyślne!

— Tysiączne dzięki, tysiączne, moja mościa dobrodziejko! Dopieroż dla mnie zaszczyt — powtarzał ojciec witając przybyłe panie, zdejmując z nich futra, i prosząc do salonu. Tak był zadowolony, tak szczęśliwy, że nie zważał wcale jak trzeci już żołnierz wołał: — „Panie kapitanie, kareta jedzie pocztą: jenerał! jenerał!

To słowo jenerał wyrwało go z zapomnienia, pochwycił znowu kaszkiet i wybiegł do oddziału.

— Gdzie, gdzie kareta? Słyszysz Duszak, daleko?

— O! już pewno w ulicy będzie, bo szybko jechała, a z latarniami, aż łuna bije: to pewno jenerał.

— Żywo wiara, do frontu! — krzyknął kapitan. — Żydzie precz z muzyką! precz!

Lecz orkiestra i jej dyrektor rudowłosy Mordko, ani słyszeli tego rozkazu, tylko rżnęli od ucha jakiegoś marsza. Stary szarpał każdego po kolei za suknie, potrząsał nielitościwie dyrektora, który w tej operacji nawet marsza grał *tremblante*; lecz wszystko to nie pomogło, więc klął na czem świat stoi i byłby nawet porozpędzał ich przemocą, gdyby nie nowy okrzyk: „Już jedzie — już nadjeżdża, panie kapitanie!“

Rozstrojony porucznik, z niepodpiętym kaszkietem, w jednej rękawiczce, z wydobytym pałaszem pobiegł prawie nieprzytomny do bramy, i stanął na skrzydle, szepcząc: „Panie! miej mię w swej świętej opiece! Niech się dzieje wola Twoja“.

Wielu ciekawych z gości wysunęło się na dziedziniec; a z sąsiednich domów słudzy, mieszczanie, zwabieni odgłosem muzyki, zainteresowani takim hucznym zjazdem z pocztowemi trąbkami, biegli co żywo do bramy. W chwilę nadjechała kareta w bramę, a ojciec krzyknął — „Prezentuj broń!“ — i to tak głośno, że kareta się zatrzymała. Żołnierze szczęknęli bronią, a przybyły otulony futrzanym płaszczem, wyskoczył żwawo z karety i zbliżył się ku oddziałowi.

— Jak się macie dzieci!

— Zdrowia życzymy Jaśnie Wielmożnemu jenerałowi! — mruknęła wiara.



— Żydzie! precz z muzyką precz! —

(Str. 96.)

— Kto tu dowódca? — zapytał jenerał stojącego na lewem skrzydle Gomułki.

Lecz ten wymówił jakieś słowo niedosłyszane z nadzwyczajną trudnością. Jenerał powtórzył zapytanie jeszcze głośniej, lecz odebrawszy również stlumioną odpowiedź, przysunął się do żołnierza, podniósł mu brodę do góry, i z uśmiechem mówiąc:

— Co u djabła! tak się upiąłeś pod szyją, iż głosu wydać nie możesz! — i przy tych słowach własnemi rękoma rozpiął mu haftki kołnierza. Podczas tej operacji odwinął wysoko podniesiony kołnierz, a przy świetle latarni wyraźnie poznałem Wolickiego. Widać i inni to spostrzegli, bo zaraz stary pleban przybiegł do ojca i szepnął mu w ucho:

— Jak mi Bóg miły —. Jędrusiu, to Wolicki a nie jenerał!

— Na bok dziekanie, nie przeszkadzaj. — Jednak uwaga ta zrobiła jakieś na nim wrażenie, bo widać bylo z całej twarzy pewne wahanie się i potrząsanie głową: potem zapewne odrzucił stanowczo wątpliwość, bo stał prezentując pałasz.

— Na ramię broń! — komenderował Wolicki. Oddział poruszył karabinami.

— Na lewo w tył! marsz! marsz!

I tą razą zrobiono obrót dość gładko. A kiedy żołnierze maszerując oddalili się, Wolicki zawołał:

— Panie komendancie!

Ojciec pośpieszył prezentując broń ciągle.

— Słucham rozkazów, panie jenerale!

— Ponieważ nie ma tu porządnej austerji, bądź więc łaskaw przenocować nas u siebie! — A po chwili dodał: — Wymówek nie przyjmuję, ja przywykły do niewygód. Komenda w dobrym stanie, zadowolony jestem: dalej, prowadź do siebie!

Po tych wyrazach, gdy już wszyscy z głosu rozpoznali ex-majora Wolickiego, śmiać się poczęto w najlepsze. Ojciec sam napół był przekonany, lecz nigdy przypuścić nie mógł, aby podobnie chciano go oszukiwać; prowadził więc mniemanego jenerała bardzo niespokojny.

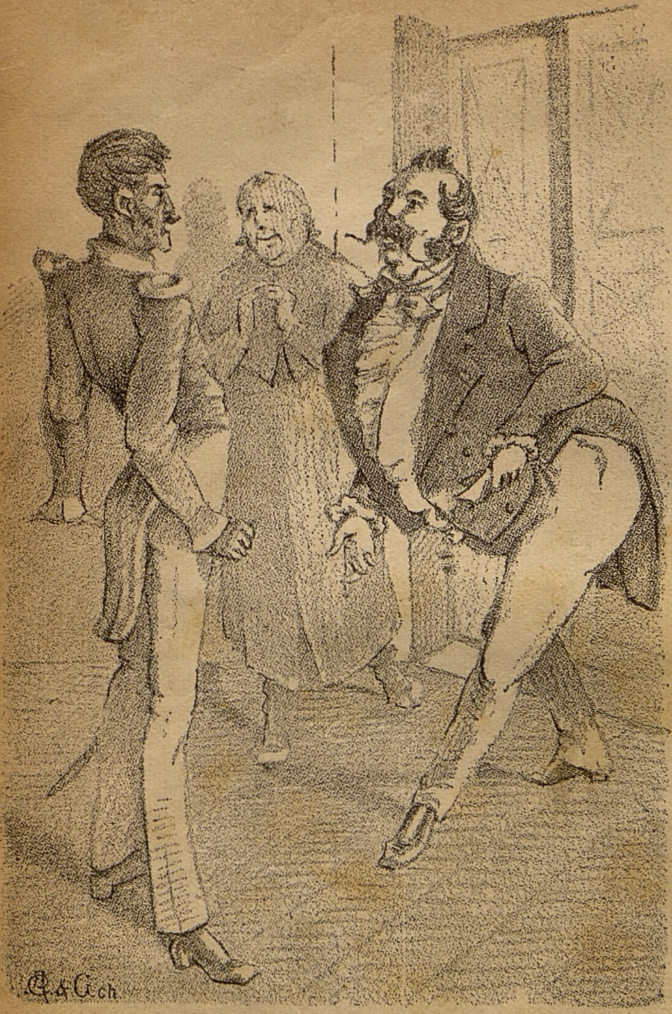
Tymczasem orkiestra, która w czasie odbywającej się parady, przez ciekawość zapewne zbliżyła się do miejsca komendy i umilkła, naraz ożyła znowu hucznym krakowiakiem.

— Co to jest? zapyta Wolicki.

— Tak, to jest panie jenerale.... jest to... jest niespodzianka dla....

— Dziękuję ci, dziękuję panie poruczniku! Właśnie też najlepiej krakowiaka lubię: stokroć dziękuję. Ale, ale, zawołać sierżanta.

— Duszak, Duszak! — powtórzył ojciec, a do siebie szepnął: żeby oni miljon furbeczek kartaczów zjedli z krakowiakiem. Wnet nadbiegł zadyszany starowina, wciąż prezentując broń. Jenerał wyjął pugilares, odliczył dwanaście złotych,



— Wystawcie sobie jego zadziwienie i gniew, gdy w wchodzącym poznał otyłego majora Wolickiego... (Str. 99.)

i oddając przybyłemu, rzekł: — Masz, rozdaj komendzie, niech wypiją za moje zdrowie i zdrowie waszego kapitana, dzisiejszego solenizanta.

Tego porucznik już nie słyszał, bo jak dwudziestoletni młodzieniec wpadł do salonu, i przybiegł prosto do żony:

— Ach Zosiu! Zosiu! — zawołał uradowany — sprawdziła się twoja przepowiednia: jenerał tu stanie. Przez Boga! staraj się też Imość należycie wystąpić, aby przecież wiedział, że i my jak ludzie żyjemy.

Matka się śmiała serdecznie, i z nią już całe towarzystwo, uwiadomione o mniemanym jenerale; ojciec tylko sam w nic nie wierzył. Uszczęśliwiony zaszczytem jaki go spotkał i dobrym obrotem sprawy, wybiegł szybko do sieni wprowadzić gościa.

Wystawcie sobie jego zadziwienie, gniew i osłupienie, gdy w wchodzącym poznał otyłego majora Wolickiego, wyświeżonego, w czarnym fraku, z ogromnemi żabotami i uśmiechem tryumfu na ustach.

Komendant stanął jak wryty; przez kilka chwil mierzył majora ognistym wzrokiem od stóp do głów, nareszcie rzucił się gwałtownie ku niemu, krzyknąwszy:

— A co to do miljon furbeczek, drwiny ze mnie, ha? — i przybliżył się twarzą do samych

prawie oczu majora, wyciągnąwszy ręce za siebie.

— Ależ, kochany poruczniku...

— Co tam ależ, ależ!... Wiesz, to zniewaga władzy, mosanie, to drwiny z całej armji! Co sobie ty myślisz, żem ja taki błazen, z którego każdemu wolno żartować, hę? Oho! jak mi Bóg miły zdam raport do naczelnego wodza, zdam: to straszne rzeczy. A wiesz czem to pachnie?....

— Mój mężu! panie kapitanie! daj pokój — wołali ze wszystkich stron goście i otoczyli obydwóch.

— Co daj pokój! To hańba! To, to to... do miljon furbeczek, to... obraza nie do darowania!

— Daruj! przebacz kapitanie! — zawołał Wolicki przysuwając się do ojca, chcąc go ucałować. Lecz porucznik odepchnął go ręką gwałtownie, rzucał się na wszystkie strony z rozognioną twarzą, w nawpół rozpiętym mundurze.

— Nie daruję! nie daruję! W sztuki się dam porąbać, a nie daruję takiej obrazy...

— Ależ panie Andrzeju — odezwał się trochę zaambarasowany Wolicki — to odwet za siostrzenicę, wszak cię uprzedziłem.

— Co mi za odwet? To sobie asan rób odwet na mojej osobie, a nie na urzędzie! Piękny mi odwet: i list podrobiony, i pieczątka pocztowa. Ho ho! za daleko się posunąłeś!

— No, nie dąsajże się już poruczniku, błagam cię! Nie spodziewałem się, abyś był tyle obra-

żony; miałem to za żart niewinny. Zresztą, jak mię tu widzisz, i jak mi Boga trzeba przy śmierci, choć kocham cię jak brata i więcej nawet, kiedy chcesz, dam satysfakcję, gdzie i kiedy rozkażesz.

— Panie Andrzeju! zreflektujno się — zawołał proboszcz, potrząsając go za ramię — wielki-bo z ciebie gorączka! Jakże można tak z gościem postępować? Nie znasz maksymy: „gość w dom, Bóg w dom“. Wstydź się stary tych dąsów! Człowiek poczciwy, w zaufaniu twojej przyjaźni, zrobił figiel prawie niewinny, a ty się rzucasz jak małe dziecko i grozisz!

— No, no — wtrącił Bukowski — Jędrusiu! pogódź się z majorem. Widzisz i ja już o podpis listu nic nie mówię, choć mógłbym się obrazić. Patrzaj, takie ładne damy cię proszą: daj pokój!

I w istocie całe grono wystrojonych piękności, zatrwożone takim nieprzewidzianym obrotem sprawy, podsunęło się do kapitana z prośbami; a zdala słychać było piskliwy głosik burmistrzowej: „Przez miłość Boską! żeby się nie bili, bo ja zemdleję, naprawdę zemdleję!“

Ojciec też widocznie ochłonął z pierwszego gniewu: z czoła powoli znikały marszczki, oczy traciły ognisty zapał gniewu, a w miejsce wybuchów złości, zaczął robić wymówki:

— A godziłoż się robić mi tyle kłopotów, majorze! I ty miałeś serce, i twoi wspólnicy nie uprze-

dzić mię!... Eh! nie spodziewałem się tylo złośliwości u was!

— Widzisz, kochany poruczniku, to odwet za siostrzenicę, jak poznaję teraz, wcale niewłaściwy; lecz co się stało, nie odstanie, więc uściskajmy się po koleżeńsku i niech ci choć na ostatku powinszuję, jako pierwszy i najszczerszy przyjaciel!

Dopieroż jak się zaczęli ściskać, całować na wszystkie strony; dopieroż jak ryknie kapela polskiego i to w całem znaczeniu tego wyrazu, (bo rudobrody dyrektor nie ciągnął smyczkiem, lecz prawdziwie krajał struny), to aż starzy w objęciach spłakali się jak bobry, i całe towarzystwo ożywione na nowo podobnym obrotem sporu, zbiegło się do pojednanych, witając, ściskając, dziękując z gwarem nie do opisania.

— Przynajmniej panowie, którzy tu jesteście, dajcie mi słowo honoru, że ta awantura przy was zostanie na zawsze — odezwał się ojciec — bo o nic mi nie chodzi, jak tylko o ten wstyd przed ludźmi i komendą, żem się dał tak pociesznie ułowić.

— Dajemy! dajemy! — zawołali chórem otaczając starego. Wniesiono też wino, nalano kieliszki, i wiwat na zgodę z towarzyszeniem kapeli, odbił się w tysiącznych echach od ścian pokoi i podwórca.

Oh! bawiono się też ochoczo aż do dziewiątej zrana. Starzy i młodzi pili, tańczyli na zabój, wcale się nie oszczędzając; porucznik nawet wywijał walca z burmistrzową, której nigdy nie lubił. A ileto kolei obszedł kwartowy kieliszek, a ileto razy powtarzały się zdrowia solenizanta, gospodarstwa, dam, i owo staropolskie „kochajmy się“, to trudnoby policzyć. Dość, że nigdy nie pamiętam huczniejszych imienin i weselszej zabawy w naszym domu, chyba na mojem weselu, o którem kiedyś się dowiecie.

Na drugi dzień, gdy wszystko ucichło, a dom wyglądał jak miejsce popasu dawnych Litwinów, porucznik wstał późno, i nie mógł zapomnieć wczorajszej musztry. Chodząc zamyślony po pokoju, zbliżył się do krzątającej się matki, i stanął zafrasowany przed nią.

— Patrz Zosiu, że to człowiek całe życie musi się uczyć! Wiesz, dopiero dzisiaj wpadłem na myśl, jak ja to byłem nierozsądny i wierzyłem byle bazgraninie niby Bukowskiego; a przecież o lustracji zawiadomiłby dowódca, byłby urzędowy rozkaz... Tfu! malowany komendant i djablo malowany!

— Zapomnijże już o tem mój mężu, i niech ci się snem wyda cały ten wypadek...

— Eh Imość! mam cię w podejrzeniu, żeś o tem wiedziała doskonale, i bronisz swych wspólników.

Nie myśl, żebym tak mało miał być domyślnym! Widzisz kochanie, człek dużo puszcza mimo siebie dla świętej spokojności; wiem, żeś i ze stołkami po swojemu zmajstrowała...

— I to być może — odrzekła matka — lecz i to prawda, żeś komendę rozruszał, sam miałeś przez kilka dni zajęcie, i jam swobodniej przygotowania robiła. Tyś przywykły do czynnego życia, widziałam, że się potężnie nudzisz; cóż więc dziwnego, pomyślałam: pogniewa się trochę to prawda, lecz się pogodzi, rozerwie kilka dni, i troszeczkę nauczy, jak to mało trzeba wierzyć w swoją przenikliwość.

— Ktoby was tam przegadał! Marnujecie talent retoryczny na kazania dla mężów, a szkoda, bo to groch na ścianę... Lecz dajmy temu pokój!

Biesiadnicy święcie dotrzymali słowa: improwizowana musztra dla obcych tajemnicą została, tylko kiedy niekiedy gdy przyjechał Wolicki, zapytywał z uśmiechem porucznika:

— A co Jędrusiu! nie przyjedzie tam jaki jenerał?

— Żartuj zdrów, majorze! Przecież to nie skończony interes z nami: przyjdzie koza do woza, kochanie, przyjdzie!...

— I zawoła meee... — kończył zwykle Wolicki.

Czy było co z tej kozy lub nie, dowiemy się w dalszym ciągu kłopotów komendanta, których miał jeszcze podostatkiem, bo komuż na nich zbywa? Życie ludzkie jest bezbrzeżnym ogrojcem kłopotów, jest łańcuchem splecionym z łez i utrapień, łączącym kolebkę słabiutkiego niemowlęcia, z również szczupłą a ostatnią kolebką starca — wiecznie ponurą trumną.

W Warszawie, dnia 8. grudnia 1853 r.

PANNA PUŁKOWNIKÓWNA.

OPOWIADANIE.

I.

Kilka lat upłynęło od owych imienin i niespodziewanej lustracji jenerała, a kilka lat, jak wyrzekł znakomity nasz powieściopisarz, dzisiaj kilka dziesiątków znaczy. Jam ukończywszy już szkoły wracał do domu na nieograniczone wakacje, z patentem starannie w trąbkę zwiniętym i pielęgnowanym przez całą drogę. Było to w początkach lipca; przed świtem jeszcze ostatniego dnia podróży, ruszyłem z popasu w znajomą mi dobrze okolicę. Teraz, wcale innem okiem spoglądałem w około siebie, niż przed siedmią laty, gdym raz pierwszy wybierał się do szkoły. Dzień też był piękny: pokropiona nocnym deszczykiem ziemia, spulchniała widocznie, nabierając sił nowych dla wykarmienia godnie swej licznej dziatwy. Bujne niwy złocistym kłosem pokryte, z wiszącemi perełkami rosy, błyszczały tęczowo, obla-

ne purpurową szatą wschodzącego słońca; lekki powiew wiatru, fałdując gładką powierzchnię zboża, nadawał jej kształt wolno biegnących bałwanów, od końca do końca stajań. Ptastwo śpiewało wiecznie świeżą nutą, dziękczynną piosnkę dla Stwórcy; cała natura tak urocza i uśmiechająca się, doskonale harmonizowała z usposobieniem mej duszy, w owej chwili pełnej życia, zapału i uwielbienia dla świata całego. O! bo może rozbudzić takie uczucia widok tej pięknej krakowskiej ziemicy? Na każdej piędzi znać szczodrą rękę Opatrzności, która chciała ustroić pieszczone swoje dziecię, ten istny Egipt polski. Cóżto tu przecudnych pagórków umajonych różnobarwnem kwieciem, co to za świeża zieloność drzewek rozsianych między niwami, co za rozmaitość obrazów, co krok przedstawiających się w odmiennym stroju! A te jasne drożyny wijące się między górami, a te przyświecające wskróś gaje, przyczepione od niechcenia po wznioślejszych miejscach; a te ocienione bujnem drzewem młynki po łąkach, i wreszcie rzędy wierzb oskubanych z gałęzi na wiosnę, pokrytych w lecie piękną wikliną i tak smętnie nachylonych nad wodą: zdają się płakać swej straty, i żalić na niewdzięcznych gospodarzy. Tam każdy krzaczek. każda trawka lub kwiatek mówią do ciebie śpiewną nutą krakowiaka, nęcą półtęsknem, półwesołem „dana moja dana,“ i każą się

kochać na zawsze całą duszą i sercem. Rzewnaż bo to nuta krakowskiej piosenki! To nie zagraniczne walce, kadryle lub kaczucze! Tych my nie czujem sercem, choć uwielbiamy melodyjne tony wpadające w ucho; najmniejsza zaś zwrotka krakowiaka, ledwie posłyszany jęk tej pozornie wesołej śpiewki, znajduje odgłos w naszych sercach, poruszając wszystkie tętna naszego uczucia; słuchamy go nie uchem, lecz całem jestestwem, całą mocą rodzinnej miłości. W miarę rozwijania się wszystkich zwrotek wesołych, tęsknych lub rzewnych, dusza nasza cieszy się i boleje na przemiany: gra z niemi jednakiemi tony, jakby stanowiła instrument nigdy nie rozstrojonych i wspólnych im dźwięków.

Nie dziw więc, że w tak pięknej krainie, i osad gęsto jak mrowisk po lasach. Spojrzyjno z podniesionego miejsca na ten obszar kilkumilowy proszowskiej okolicy! Co to tam folwarków, wiosek, miasteczek? Zda się, to jedna olbrzymia siedziba rozrzucona tak długo i szeroko. Wszystko się łączy prawie; wieś z wioską, dwór z dworem, cmentarz z cmentarzem; kościoły co kilka kroków niby, a laski? — to ogród angielski z mnóstwem sadzawek i olbrzymich ulic. Tu ziemia zanadto wdzięczna, tysiąckroć odpłaca rolnikowi podjęte koło niej starania. Na kilkunastu zagonach chłopek więcej zbierze dobytku, niż gdzieindziej na ty-

luż morgach. Wioski też choć małe, grunta do nich należące szczuplutkie, dzielą się jeszcze na folwarki i osady, oddzielne gospodarstwa stanowiące; bo kto raz przewrócił tę pulchną i czarnokruczą skibę, już więcej porzucić jej nie może. Dziedzictwa wiekami przechodzą z rąk do rąk jednej familji; a jeśli którego z właścicieli wypadki zmuszą wyjść w inną okolicę, nie przestanie tęsknić do swojej siedziby i zachęcać dzieci, aby w krakowskiem kiedyś majątki kupowały.

Para maleńkich koników zaprzężona do lekkiego wózeczka, ciągłym truchtem umykała dalej ku domowi. Stary Jakób śmigał i śmigał nad głową krótkim biczykiem, przerywając milczenie zwyczajną furmanom z końmi rozmową i szarpaniem jedynym lejcem, skręcające z kolei. Nie będę wam tu opisywał marzeń przechodzących pełną nadziei duszę; nie powtórzę tych uczuć serca, tych wspomnień dzieciństwa, gdym znajome strony zobaczył: bo każdy prawie z czytelników przechodził w swem życiu podobną próbę, gdy z patentem ukończonych szkół do domu ojcowskiego powracał; każdy zna tę radość niezmyśloną młodego człowieka, co wyszedłszy już z pod opieki szkolnej, czuje się swobodnym, jak ptaszek ręką litościwą uwolniony z klatki. Droga wydawała mi się nieskończoną; konięta pogrzały się widocznie, stary Jakób wyglądał karczemki, by popaść, ja zaś dąsałem się

co chwila, że tak długo jedziemy, a jeszcze dwie mile do domu.

— Mój Jakóbie — rzekłem do niego — zajedziemy też aby na wieczór?

— Jak Bóg da, mój paniczku! — odpowiedział uśmiechając się stary.

— Eh, bo się wleczemy i wleczemy jak ze smołą; nie moglibyście też zaciąć koników, Jakóbie?

-- Co nie, to nie, paniczu; i tak zię zagrzały setnie, a owsa nie ma teraz na przednowku, to nie dziwota, że słabe. Bywało paniczu tak-rok w jesieni, jakem z mamą panicza jeździł do Krakowa, to szły jak ogień!...

— A teraz niech idą choć jak woda — dodałem zniecierpliwiony.

— Jużto widzę natura ojca panicza — przemówił Jakób zżymając się — i on też rychtyczek taki. Jedź, a jedź, krzyczy, rzuca się, wysiada, odrzeka, że nigdy z Jakóbem nie pojedzie, a przecie taki bierze mię zawsze... — Od siebie łysa! lezie kieby nie widziała; od siebie! — dogadywał stary.

Nie ma rady, pomyślałem: chłop uparty jak kozieł, trzeba, zdawszy się na Opatrzność Boską i siły dwojga szkapiąt, wlec się powoli. Usadowiłem się tedy jak mogłem najwygodniej, i zacząłem dumać. Przebiegłem myślą przebyte lata

w szkołach, te uciechy, swawole, utrapienia nieodłączne każdego człowieka; westchnąłem pomimowolnie za temi uroczemi chwilami życia, a przeszedłszy myślą na ostateczny egzamen, i nie mając co lepszego do zajęcia, rozwinąłem mój patent, widomy owoc siedmioletniej nauki. Droga zbliżała się ku górce, ziemia rozmiękniętą od deszczu coraz utrudzała jazdę, to też stary Jakób zszedł z wózka, a oparłszy rękę na drabince, postępował obok popędzając koniki. Jam przebiegał stopnie od religji aż do kaligrafii: wszędzie celujący, tylko coś koło łaciny ten dostateczny raził moje oczy. Źle będzie — pomyślałem — ojciec się najniezawodniej zgniewa, zwłaszcza on, co to łacinę ma przedewszystkiem.

— A co to panicz ogląda? — zapytał Jakób przypatrując się patentowi. — Mój Boże, jakie to galante pisanie z orzłem.

— To mój Jakóbie patent, czyli świadectwo, żem już nauki ukończył!

— A, a, a, rozumiem — pomruknął stary — musiałci się paniczek tęgo pocić, kiedy mu takie ładne świadectwo wydali! A ja słyszałem od mamuni przeszłego roku, że paniczek łepsko się spisywał.

— Tak, tak mój Jakóbie, starałem się wprawdzie jak mogłem, ale to zawsze jest niesprawiedliwość. Widzicie, jeden profesor co się nazywa

Kudelski, był zły na mnie i nie dał mi celującego z łaciny.

— O to niedobrze paniczu!... A stary jegomość to taki jak ksiądz nasz pleban; jakci się zejdą z sobą, jak zaczną gadać i gadać po łacinie, to człek aż głupieje: będzie się gniewać stary!

— Wiem ja to dobrze, wiem, ale cóż poradzić? Miał złość do mnie i miał, bom mu raz jego krewnego zapisał za niespokojność na karteczce: podobno go tam oćwiczyli za to. Ale wy tam tego nie rozumiecie, Jakóbie!

— Dlaczego nie? Panicz myśli, że ja chłop, to głupi jak tabaka w rogu! Przecie się to chłopakiem sługiwało w Krakowie u ks. prefekta, co do niego nasza wieś należała; nasłuchałem się też rozmaitych rzeczy, a bili też bili, mój mocny Boże!

Nareszcie pokazała się wioska, za nią dębowy lasek, trzy krzyże na rozdrożu, a za niemi kopułka dzwonnicy, biała smuga Wisły, i dalej jeszcze sine wierzchołki Tatrów. Serce zadrżało na ten widok dobrze mi znany; zeskoczyłem z wózka i co sił starczyło pędziłem ku białemu domkowi, rysującemu się jasno na szarem tle miasteczka. Gdym przybiegł w opłotki i cwałował po niebrukowanych ulicach, zapewno wzięto mnie za warjata, lub uciekającego przed natarczywą pogonią. Lecz wtedy nic mnie tam nie obchodziło;

mnie tak spieszyło się powitać ukochanych rodziców, twarz tak pałała pomieszaną radością i szczęściem, żem w tej chwili zapomniał o świecie całym, a nawet o łacinie.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ wyrzekłem, wpadając do pokoju, i rzuciłem się w objęcia matki. Na okrzyk „Jaś przyjechał!“ zbiegło się wszystko co żyło w domu: Małgosia, a teraz już Małgorzata, z potężną łyżką w ręku, weterani z odwachu, siostrzyczka, po kolei wyrywali mię z rąk do rąk, witając, przypatrując się i dziwiąc zmianie, jaka we mnie zaszła po tak długiem niewidzeniu.

— A jak też wyrósł i zmężniał mój Janio — odezwała się matka, patrząc na mnie tym wzrokiem miłości i szczęścia, jakim tylko matka na swoje dziecię patrzeć może.

— Mój Jasiu — przemówiła siostra z nieśmiałą minką, przybliżając się do mnie — jak ja cię też wyglądałam i wyglądałam tak dawno! A co mam nowych lalek z ubiorami! Pójdźże ze mną to ci pokażę, tylko się już bawić nie będziesz ze mną!

— Dlaczego? moja Julciu.

— Bo widzisz, tata powiedział, żeś ty został człowiekiem, to już z dziećmi bawić się nie możesz! Prawda to Jasiu, żeś ty już człowiek, co? — i przy tych słowach spojrzała badawczo na mnie dużemi błękitnemi oczyma.

— Tak, tak, moja Julciu, ja człowiek, ale się jak dawniej z tobą pobawię, tylko uporządkuj swe lalki.

Z prawdziwą radością pobiegła do swojego pokoiku, a ja tymczasem rad nie rad musiałem wypić kilka garnuszków kawy, zjeść ze trzy obiady naraz, wszystko w skutek wmawiań matki, że musiałem się wygłodzić.

Ojca nie było w domu, nie powrócił bowiem jeszcze z kościoła. Z dziecinną prawie ciekawością oglądałem zakątki mieszkania, dziwiłem się mocno, że wszystko tak pomalało: stołkom i stołom zdawało się ktoś nogi poobcinał, bo były za nizkie dla mnie, piec jakoś się przysiadł, okna zniżyły; a gdym to matce oświadczył, uśmiechnęła się naiwnie i zaprowadziwszy mię do szafki na której przed dwoma laty położony krzyżyk wzrost mój oznaczał, przystawiła pod miarę, a pokazując na ośmio calowy może przedział:

— Mój Jasiu, wszystko jak było tak i jest, tylko tyś podrósł znacznie, więc rzeczy dawne mniejszemi ci się zdają. Pamiętaj więc, żeby i umysł twój równemuż z ciałem uległ powiększeniu. A pokażże mi przecie swój patent.

Z wielkim tryumfem rozwinąłem ozdobny arkusz i podałem matce. Przebiegła szybko następujące po sobie stopnie, i gdy spostrzegła dostateczny z łaciny, pokręciła głową, mówiąc:

— Czemużeś się też nie postarał o celujący; wiesz, że ojciec najwięcej na nią zważa.

Opowiedziałem już znaną wymówkę, prosząc, żeby wstawiła się za mną do ojca i złagodziła ile możności gniew jego, bo — dodałem — ja się bardzo boję.

— Nie bój się, nie bój, poradzimy temu — odrzekła całując mnie w głowę.

Niebawem powrócił porucznik. Wybiegłem na jego spotkanie, ze czcią ucałowałem drogą rękę rodzica; on zaś podobnie jak wszyscy przycisnąwszy do łona, długo, długo przypatrywał się mojej postawie bujnej jak trzcina, i tej twarzy, co wyrażała w pełni siłę dorastającego młodziana. Lecz jakże znowu zmienionym uważałem ojca pod względem powierzchowności! Dwa lata wprawdzie upłynęło od ostatniego naszego widzenia się, a tyle się zestarzał, tyle stracił swojej żywości i energji, jaka przedtem błyszczała w jego oku!...

Ach prawda, jam dotąd nie opisał powierzchowności komendanta. Darujcie mi proszę, zapomniałem zupełnie, że obraz zewnętrzny człowieka, zwłaszcza głównej osoby opowiadania, więcej uwydatnia jego charakter. Powiadam więc, że porucznik już teraz był jeszcze w tym wieku, co starością nazwanym być nie może. Miał około pięćdziesięciu lat, lecz nieco starszym się wydawał. I nie dziw: sterany wojaczką i połączonemi z nią niewygoda-

mi, ranny po kilkakroć, zabrany do niewoli — nie mógł być taki jak ten, co cały swój żywot spędził w błogiej zaciszy domowej, w gronie familji i przyjaciół, wolny od wszelkich kłopotów, otoczony zbytkownemi wygódkami. Kto zwalczając co krok tysiące niewygód i trudów, kto z bronią w ręku o głodzie i chłodzie, na własnych tylko nogach, przeszedł kawałek ziemi z Hiszpanji do krańców północnej Azji: ten nie może wyglądać inaczej jak mój porucznik, ten nosi na sobie piętno wszystkich walk fizycznych i moralnych upłynionego żywota. Liczne też marszczki osiadłe na całej twarzy komendanta, wiązały się, przecinały w najrozmaitszych kierunkach, a między niemi szczególniej odznaczała się rozległa i pokręcona na środku czoła szrama, zadana lancą nieprzyjacielską. Oczy duże niebieskie, choć pozbawione młodego zapału, błyszczały jeszcze dość żywo, włosy blond, pół siwe, prosto spadały na czoło, i w części zakrywały owę szramę. Na całej twarzy jego rozlana była jakaś szczerota i swoboda, odpowiadająca wewnętrznemu usposobieniu ducha, odznaczała się szczególniejszem współczuciem dla wszystkich, tą otwartością staropolską i niezmyśloną wesołością. Kto raz go tylko zobaczył i przepędził z nim jaką godzinkę, już nie mógł zapomnieć owej miłej postawy starego wojaka. Zresztą cała fizjonomia nie miała w sobie nic ude-

rzającego; podobnej twarzy wiele osób napotkać można. Ja sam, choć z najdrobniejszemi szczegółami rysów jego obznajmiony, nieraz spotkawszy w Saskim ogrodzie przechadzających się dawnych inwalidów, tych żyjących pomników Napoleonowskiej epoki, nie mogę wstrzymać się od zadziwienia, dostrzegłszy tyle podobieństwa z moim ojcem. Już to jest prawdą, że niektóre osoby z wiekiem podzielając wspólne życie, doświadczając jednakich ciosów i jednakich chwil szczęścia, których umysł niejako zleje się w jedną istotę, przybierają również fizyczne podobieństwo rysów; co często daje się widzieć na twarzach małżonków, tak że wziąłbyś ich oboje za rodzonych braci i siostry.

— A cóżto Jasieńku, jak widzę wziąłeś się do fajeczki, kochanie — zapytał po chwili.

— Nie, proszę ojca — odrzekłem pomieszany.

— Gdzie tam nie! po co to zmyślać. Czy tego się w szkołach nauczyłeś? A cóżto za cybuszek wygląda z kieszeni tam na prawo? Tak, tak zaczynaj, chwałaż Bogu! Od fajeczki do wódeczki, od wódeczki do karteczek, pójdzie to łatwo. Pokażno ją, pokaż!

Wyjąłem skonfundowany zgrabniutką fajeczkę, którą na wyjezdnem kupiłem, bo jakżeż mogłem się odróżniać od innych współkolegów, co tytoń palili jak huzary.

— A pieniędzy nie ma u mnie; pisało się, że książek potrzeba, że papier podrożał, a to na zbytki mosanie! Prawda że piękna, ale to nie dla waszecia: gramatyka powinna być jeszcze w głowie, nie głupstwa! Ho! ho! — dodał unosząc się — wczas Waści zaczynasz. Ja gdym był w twoim wieku, to ani wyobrażenia nie miałem o fajce. Słuchajno ty paniczu! tylko jeszcze raz coś podobnego zobaczę — zawołał potrząsając fajką — nie będę uważał, żeś aść skończony, a orznę jak ojciec, rozumiesz!

— Niech ojciec będzie pewny, że ja tam wcale do fajki się nie biorę; ot, kupiłem sobie zwyczajnie z fanfaronady — rzekłem całując go w rękę.

— Dobrze, dobrze, zobaczymy! Rozgośćże się tymczasem w swoim dawnym pokoju, boć przecie nie będziesz tu długo popasał; w świat mosanie, w świat; trzeba szukać kawałka chleba, bo on tu sam podobno nie przyjdzie! Tylko jak widzę tyś wielkie jeszcze dziecko; ośmnaście lat skończył, a porządku w głowie za szeląg, ba! na wierzchu mniej jeszcze. Patrzajno kochanie — rzekł wskazując na piersi starego mundurka znacznie poplamione — co to za ochędóstwo! Dalibóg, to cały szpejscetel wypisany. Acan możebyś go nie przeczytał, ale jak choć bez okularów, wszystko ci wyrecytuję: widzisz, tu rosół, tu pieczeń, tu barszcz, tu kawa — i po kolei wyliczał różne potrawy,

oprowadzając palcem każdą z większych plam na surducie.

— To już stary, proszę ojca, przecież mi nie będzie potrzebnym.

— Co to znaczy mosanie? — stary czy nowy, powinien być czystym. Nie znasz przysłowia: „ubogo byle chędogo“, a nie miałeś karty nad łóżkiem przybitej, hę? nie trąbiłem ci w uszy od urodzenia, „że porządek jest duszą wszystkiego“. Widzę dużo się zmieniłeś, a ekskuzy są na pogotowiu; to trzeba zmienić mosanie, o trzeba! Jak starsi mówią, a zwłaszcza ojciec, acan stać powinieneś jak kołek i milczeć bez żadnych a l e. Więc jutro żeby mi karta była nad łóżkiem przybita jak dawniej, bo jeszcze i rózgę każę położyć, rozumiesz!

Lubo znałem oddawna porywczość ojca, i oswojony byłem ze sposobem jego postępowania trochę za surowym; jednak przyznam się, w tej chwili jakiś nieopisany żal ścisnął me serce: stałem jak wryty, nie mogąc ni słowa przemówić na swoje usprawiedliwienie, a łza gorzka pomimowoli zakręciła się w oku. Widząc to ojciec, uczuł zapewne niejakie dla mnie politowanie, bo zapytał po chwili:

— A pokażno mi swoje świadectwo szkolne! Wszyscy mi gadali o twojej pilności i postępie w naukach, niechże się też przekonam.

Drżącą od wzruszenia i bojaźni ręką podałem zwitek papieru. Ojciec rozwinął go z miną najobojętniejszą, przypatrywał się okalającym pismo ozdobom, i zaczął przebiegać wzrokiem następujące po sobie przedmioty, za każdym poruszając głową. Gdy przyszedł do łaciny, oko jego zaświeciło żywszym blaskiem, twarz nieco się zarumieniła, z niecierpliwością ścisnął w ręku trzymany papier i zapytał:

— A kto Waści uczył łaciny?

— Kudelski, proszę ojca.

— Musi to być głupiec jakiś, mosanie! — odrzekł, hamując uniesienie. — Bo jużciż, żeby lepiej miał w głowie, toby się lepiej poznał na tobie i twojej łacinie. No, no, widać już się świat do góry nogami przewrócił, kiedy ty, mój uczeń, z łaciny masz złą kreskę. Muszę też napisać temu panu Kłaczyńskiemu, żeby sobie poszedł jeszcze na naukę do Pijarów wprzód, nim drugich ma uczyć.

— Proszę ojca, on miał złość do mnie, żem jego kuzynka na kartecz....

— Co tam złość, złość — przerwał rozgniewany — prywata nigdy iść nie powinna przed słusznością! Ale dajmy pokój temu, bo ja i innym nie wierzę: tyle tu rozmaitych nauk, o których w życiu nie słyszałem, a żyję chwała Bogu blizko lat sześćdziesiąt: jakieś zoologje, technologje, me-

trje, statyki, figielki; kugielki, a toć tego ze trzydzieści! U nas bywało sześć, a dobrze; tu zaś taka suma, której pewno i połowy nie umiesz. Ho, ho! nie tak bratku, nie tak, tylko wolną znajdę chwilkę, sam cię wyegzaminuję, a zobaczymy, co to Waść umiesz. Nie wierzę temu, nie!

Na to przyszła matka z drugiego pokoju, a widząc mnie tak zasmuconego, i rumianą twarz komendanta, wystąpiła z obroną:

— Mój Jędrusiu, że też ty ciągle już gderać musisz; dopiero chłopiec co przyjechał, zdrożony, zmęczony, spieszył się jak mógł, by uścisnąć swoich rodziców i pochwalić się, że koszta na niego łożone straconemi nie zostały, a tu zamiast uciechy i przyjemności, spotyka gniewy może i niezasłużone. Wstydź się takim być ojcem: wszystko złe tylko widzisz w twych dzieciach, a od dobrego odwracasz oczy!

— Eh moja Imość, gadaj sobie gadaj — odrzekł zupełnie rozbrojony — ty wiesz swoje, ja swoje. Cóżemto Herod, a nie ojciec, czy co? Czy ja to nie radbym dzieciom nieba przychylić, mosanie; a że złe widzę zawsze, to dlatego, że jest złe. Człowiek powinien być dobrym, więc to dobre nie jest zaletą, a własnością każdego: zło zaś trzeba wykorzeniać, bo czego skorupka za młodu się napije, tem na starość trąci! Tylko mi nie becz ty psotniku — dodał zwracając się do mnie. — Pójdźże

pójdź, niech cię uściskam, boś ty przecie już człowiek, nie ten malutki Jasio.

I zaczął tulić mą głowę na swojem łonie, a jam widział również, że oczy jego łez pełne, i czułem spadające na twarz moją.

— Widzisz mój synu, jam stary, a gderanie to wadą starych: więc nie martw się, nie płacz, tylko postępuj tak jak ja chcę, a będziesz szczęśliwym, i mnie uprzyjemnisz kilka chwil jeszcze na tej ziemi. Teraz pójdźmy do mego pokoju, bo mam dla ciebie mały prezencik.

Zupełnie już uszczęśliwiony, obtarłszy oczy, ucałowałem po kikakroć rękę kochanego ojca, podziękowałem i matce za skuteczne wstawienie się, a tak pojednani poszliśmy do pokoju rodziców.

— Jak ci się też podoba ten zegarek? — zapytał ojciec, wyjmując z ozdobnego pudełka nowy srebrny cylinder.

— Prześliczny, prześliczny! — zawołałem pochłaniając wzrokiem błyszczący zegarek — otóżto taki jest zupełnie, o jakim tyle lat marzyłem!

— Więc niech ci służy — rzekł ojciec, podając mi takowy. — Pamiętaj, strzedz go przez całe swoje życie, jako najpierwszy dar ojca, gdy ten uznał cię już człowiekiem. Być może, że później będziesz miał inne bogatsze zegarki, lecz przy nich nie będzie tyle życzeń, tyle szczęścia ojcowskiego, jak przy tym, który ci dziś ofiaruję.

Widzisz tę moję dużą cebulę co wisi nad łóżkiem? — to podobny dar mojego ojca. Lat czterdzieści pięć jakem go dostał, od tego czasu w wielu to byłem nieszczęściach, w wielu potrzebach gwałtownych, i choć głód cierpiałem, okrycie ze mnie spadło — nie pomyślałem nawet o pozbyciu się onego. Pod Saragossą, gdy Hiszpan rannego wziął do niewoli, chciał mi go odebrać koniecznie, ostatek sił wydobywałem na obronę tej drogiej puścizny, i Pan Bóg dopomógł, bo walcząc z nim już siła na siłę, gdy wspólnie osłabieni trzymając się w objęciach, upadliśmy na ziemię, szamocząc się jeszcze, nadbiegła nasza poczciwa wiara, i wyrwała zemdlonego ze szponów zajadłego hildalga. Nigdy on mię nie opuścił, nawet gdym się dostał pod Możajskiem do niewoli. resztką pieniędzy jaką miałem przy sobie, okupiłem natrętnych amatorów. O! gdyby on mógł wypowiedzieć to wszystko, gdzie był, co widział i słyszał, dużaby z tego urosła historja!

Za ojca przykładem jak z rogu obfitości zaczęły się sypać podarki dla mnie. I matka miała jakąś drobnostkę, i stary dziekan, który mię najserdeczniej przyjął, obdarował ślicznym krzyżykiem ze słoniowej kości. Biedaczek nie mógł już odbywać zwyczajnej musztry z ojcem, bo nogi wymówiły posłuszeństwo, głowa pochyliła się ku tej ziemi, która go ciągnęła w swoje objęcia. Stary dziadek

kościelny, co rano prowadził go do kościoła, przy mszy podtrzymywał rękę, gdy trzeba było wejść po stopniach ołtarza, a potem odprowadzał na plebanją, zkąd nie wychodził wcale, chyba na taras przed oknami będący, z widokiem na Wisłę. Gdy zaś chciał znajomych odwiedzić, to parę koników tłuściutkich czekało z maleńką dryndulką, i dziarskim chłopaczkiem, podobno ostatnim wychowańcem proboszcza. Kundusia też wcale nie dała się uprzedzić jegomości w latach. Krzątała się wprawdzie po kuchni, robiła kożuszki na śmietance, gotowala polewkę jak dawniej, lecz wszystko to nie szło tak żywo. Od dwóch lat ogłuchła zupełnie; a że ciekawą była wszystko wiedzieć, co się w parafji działo, turbowała swoję czeladkę ciągłemi, dopytywaniami o nowe zdarzenia. Krzyk też bezustanny rozlegał się po plebanji; bo z wiekiem, gderanie stało się prawdziwą i konieczną potrzebą codziennego życia kochanej gosposi. Młode parobczaki i dziewki śmiali się z Kundusi, która najczęściej przekręciwszy niedosłyszany wyraz, robiła najdziwaczniejsze uwagi. I tak naprzykład, gdy pytała:

— A gdzieżto Tomaszek?

— Proszę pani poszedł do roli.

— Co co? w piersi go boli! A dla Boga to może suchoty! Zagotujże też dziewanny Jagna, niech pije póki może; trzeba mu i kozłowego łoju do-

stać ze spiżarni: leży tam koło okienka na półce. Czegóż stoisz jak malowana, nie słyszałaś jagem rzekła, żeby kozłowego dostać!

— Ale proszę pani on zdrów jak ryba, tylko poszedł w pole — wrzasnęła jej do ucha Jagna.

— E! bo to gadacie Bóg wie po jakiemu: roli, boli; uczę was i uczę poczciwie i wyraźnie mówić, a wy po swojemu zawsze. Co to za roli? — mówi się w pole. — Nie chciała bowiem staruszka przyznać się, że jest głuchą i starą. I gdy mówiono do niej cichszym głosem, zwłaszcza kto nieznajomy, uśmiechała się tylko, kiwała głową, jakby to wszystko rozumiała, a tylko nie chciała odpowiedzieć.

— Jak mi też Jasio wyrósł, wyładniał — zawołała widząc mię u dziekana. — Mój Boże! rychtyczek taki jak mój brat Feliks; żeby tylko kaci go gdzieś w świat nie ponieśli, co było za kawaler był w te czasy! No mój Jasiu, jak uważasz, bardzom się podstarzała?

— Bynajmniej, moja panno Kunegundo — rzekłem do ucha staruszce — osoby podobnego prowadzenia się, nigdy się nie starzeją w naszych oczach.

Uśmiechnęła się mile Kundusia, pomrukując: „Pochlebnik, a taki młody“ i pobiegła żywo do spiżarni, wyniosła pełen talerz smarzonych owoców, które stawiając przedemną, rzekła:

— Jedz, jedz Jasieńku, pewnoś tam na pensji ani widział tak ładnych gruszek: bo to w mieście oni nie potrafią tego: męczą i suszą gruszęta, ale nie tak jak trzeba. Jużto ja nie chwaląc się mam spryt do tego, a choć mówią na Kundzię stara, stara: czy to nie ma starszych odemnie na świecie czy co? A babka Słowikowska, a siostra burmistrzowej, a nasz kanonik nie przymierzając — rzekła ciszej! — Cóżto będzie za bałamut z tego Jasia — dodała po chwilce, wspomniawszy zapewne na mój komplement. — Oho! dziewczęta skakać za tobą będą, boć Kundzia zna się na tem; nie chwaląc się jak to zajrzy na plebanią jaki młodzik np. pocztciarz tutejszy, to jak spojrzę na niego, nie wytrzyma wzroku, nie wytrzyma! Ale to widzisz trzpiotowate bardzo, choć i ręce całuje i mizdrzy się, ja to tam nie wierzę mężczyznom: oni tylko aby rozkrwawić serce, rozkochać i uciec!

Ten zaś młokosik Kundzi, poczthalter rozstrzepany, miał około sześćdziesiąt lat z górą; lubił śliwowicę przedewszystkiem, a że w spiżarni na plebanji jej nie brakowało, wraz z suszonemi śliwkami, to też i oczka gospodyni błyszczały jak djamenty, podług zapewnień pocztciarza.

Słówko jeszcze o komendzie. Przez czas pobytu mojego w szkołach, komenda zupełnie się zmieniła. Trzech tylko zostało dawnej daty reszta

wymarła, przekazując swe miejsce następcom, których jeszcze nie brakło.

W dzień mojego przyjazdu, a raczej tej nocy, przypadła kolejna warta na Duszaka. Zgarbiony z ogromną laską w ręku, przylazł starowina na odwach, i gdy się dowiedział o moim przyjeździe pospieszył mię powitać.

— Panie Jasiu poznajesz też starego?

— Poznaję, poznaję Duszaku. Jakże się miewacie mój kochany majsterku; są tam dla mnie fuzyjki drewniane? — zapytałem uścisnąwszy starego.

— Wolne żarty paniczu: gdzie to tam w głowie fuzyjki teraz — zawołał uśmiechając się Duszak.

— A jak się też miewa Włodarczyk, Kownacki, Gawlik?

— Oho! Włodarczuk fiu! na cmentarzyk.

— Co, umarł?

— I kiedy! a przecieżto na święty Józef będzie temu łat trzy. Niedługo za nim poszli Romsza, Trojański i Wiśniewski; bieda panie, bieda: nas trzech zostało dawnej daty. Kownacki jak pił tak pije, kłóci się z kumoszkami, breweruje jak dawniej; Gawlik we młynie mieszka, miele i je boćwinę: ja zaś, jak panicz widzisz, wyglądam rychło tam staruszka kościstym pałaszem zachrzęści nad głową: chrzyp! chrzyp! pojdź Kuba do wójta!

— Niechże Bóg broni, mój Duszaku — odrzekłem.

— E! co tam w bawełnę obwijać: przecie to siódmy krzyżyk za pasem; nażyło się już dosyć na świecie.

— A nowi koledzy, czy tacy jak dawniejsi?

— Jak niebo do ziemi, mój panie Jasiu! Zwyczajnie jak rekruty.

— Co znowu, rekruty w weteranach!

— A rekruty paniczu: wszystko to z 14go, 15go, 16go roku. Co oni tam wiedzą o Napoleonie i jego armji: żaden nie był w Hiszpanii, Italji, ani nawet w Rosji. My z 6go, 7go i 8go roku, np. ojciec panicza pan kapitan, ja, Gawlik, to co innego. Wszystko to nowe, młode, chłop w chłopa; boć ten mospanie Skorodzki, Wanecki nie mają więcej jak pięćdziesiąt lat.

— I to młode, mój Duszaku?

— Jużciż młode; to nie tak jak my, 67, 70 i 73.

Cały wieczór w towarzystwie poczciwego starowiny przepędziliśmy na wspólnej pogawędce. Obadwaj z ojcem rozmawiali o Hiszpanji, o Somo-Siera, o Saragosie; sprzeczali się o jakieś zamczysko ze dwie godziny, że stało po prawej stronie nie po lewej, potem o ilość armat pod Borodinem, wreszcie skończyli na rewji pod Wolą. Ja słuchałem z uwagą tych sprzeczek starych wojaków, dumałem o tej garstce dziś niedołężnej, co

to kiedyś na czele małego kaprala Francji trzęsła Europą. Nareszcie znużony podróżą i całodziennemi wrażeniami, usnąłem szczęśliwy na dawnem łóżeczku z tą samą myślą swobody, a sen błogi, sen młodości igrał sobie z moją duszą, przedstawiając mordercze walki w Hiszpanji, śmiejącą się postawę ukochanej matki, Kundusię w dużym czepku z żółtemi wstążkami, zegarek srebrny, lalki siostrzyczki, i zgarbionego z drewnianą fuzyjką Duszaka.

II.

Anim się spostrzegł, jak ubiegł tydzień jeden i drugi, wśród uciech rodzinnych i nieprzerwanych rozrywek, które mi wynajdywał poczciwy ojciec.

Odwiedzałem sąsiedztwa, polowałem chartami z majorem Wolickim, gotowałem tytuń i gospodarowałem z ojcem; chodziłem do dziekana na miłą pogawędkę, rysowałem piękniejsze widoki okolicy, a o zmroku codziennie, jeżeli pogoda sprzyjała, razem z rodziną udawaliśmy się na przechadzkę, nad brzegi srebrzystej Wisły. Ojciec całkiem był ze mnie zadowolony. Przy każdej też sposobności starałem się mu dać poznać z mojemi wiadomościami, żeby przecież wiecznie nie miano mnie za dziecko. Stary porucznik słuchał z natężoną uwagą moich dowodzeń, zarzucał kwestje, powątpiewał; lecz w końcu przekonać się musiał, że i te fizyki, zoologje i t. p. na coś przydać się mogą. Zresztą byłem dla niego z największym szacunkiem i miłością, na które zasługiwał raz jako ojciec, drugi raz jako wojak i człowiek z najpoczciwszem sercem. Puszczałem mimo siebie gderania,

umiałem tak zręcznie trafić w jego przekonanie, tak rozbroić gniew pochodzący z nadzwyczajnej żywości: że matka nie przestała oddawać mi codziennie pochwał, jak potrafiłem rozruszać komendanta, który już od niejakiego czasu stracił wiele z tej dawnej swobody i żywości.

To też jednego dnia, gdyśmy znużeni wrócili z polowania, po wieczerzy już, porucznik zapaliwszy ulubioną lulkę, pociągnął mnie przed sień, i kazał siąść przy sobie na ławeczce ustawionej przed gruszką. Już z miny jego mogłem wyczytać, że coś ważnego ma mi powiedzieć, bo z niezwykłą powagą wziął mnie za rękę i patrząc śmiało w oczy zapytał:

— No, i cóż mój synu? Skończyłeś szkoły, to prawda, ale nie koniec jeszcze twego zawodu na świecie; powiedzże mi tak szczerze, otwarcie, do czego też masz ochotę udać się teraz?

Zagadniony niespodzianie, wybąknąłem wahając się, że sam jeszcze o tem nie pomyślałem, i że rada ojca, jako doświadczonego w tem życiu, najwięcejby mi dopomogła.

— Eh! gadasz jak dziecko, mój Jasiu: cóż to ja będę żył za ciebie na świecie? Tu wola twoja najwięcej znaczyć powinna.

Milczałem, a porucznik puszczając wielkie kłęby dymu i pukając ustami przy każdem otworzeniu, obrócił się nagle ku mnie, mówiąc:

— A co? nie miałbyś ty ochoty iść na księdza?

Lubo wcale się nie spodziewałem podobnej ze strony ojca propozycji, jednakże śmiało i stanowczo odrzekłem:

— Nie, proszę ojca. Ja nie czuję się na siłach wydołać tak wielkim obowiązkom, jakie stan duchowny na nas wkłada. Co się tyczy mnie samego, możebym się odważył zostać księdzem. Dzięki twej staranności kochany ojcze, podjętej przy mojem wychowaniu, dzięki tej religji, jaką wpoiłeś w młode me serce, nakoniec dzięki tej wytrwałości i tęgości charakteru w ważniejszych postanowieniach, których nauczyłem się od ciebie: pomimo burz i namiętności młodego wieku, możebym wytrwał w tym stanie, jeśli nie duchem i sercem, to przynajmniej zewnętrzną formą. Lecz ja widzę w powołaniu duchownego inne daleko ważniejsze obowiązki: to jest obowiązki względem bliźnich, tych owieczek przez Boga jego pieczy pozostawionych! Tym nie zdołałbym zadosyć uczynić, bo potrzeba urodzić się już ofiarą, skazaną na stos całopalny dla ludzkości, a jam zanadto słabego ducha: potrzeba zaprzeć się siebie, stracić uczucie własnego ja, a umysł zanadto próżnością świata zajęty. Czuję to, powiadam, że ta szlachetna z życia swojego, duszy i ciała ofiara, jest wielką i godną najwyższego uwielbienia; lecz uderzywszy się

w piersi, muszę powiedzieć sobie z całą otwartością; zasłabyś! upadniesz!

Z wielkiem zajęciem słuchał poczciwy ojciec tej z serca płynącej mowy, a gdym skończył, westchnąwszy głęboko powiedział:

— Dobrze mówisz, mój synu: tyś nie na księdza. Szkoda, marzyłem twoją przyszłość ot taką, jak naszego dziekana; lecz darmo, pod wodę płynąć nie można: nieodpowiedzieć swemu powołaniu duszą i głową, gorzej jest jak wcale nie rwać się do tego. Ale koniec końcem, do czegoż ty masz ochotę?

— Otóż proszę ojca — odrzekłem śmiało — jabym chciał słuchać prawa, bo ten zawód najlepiej odpowiada moim skłonnościom.

— Dobrze, dobrze mój synu, tylko co wyjąłeś mi z ust toż samo — zawołał ojciec ze szczerą radością i uścisnął mię serdecznie. Ten zawód szlachetny przystoi tobie: jurysta, mosanie, dawniej był poważany bardzo: mój ś. p. ojciec a twój dziadek, do śmierci pełnił zaszczytny urząd konserwatora hypotek, a ludzie go czcili, Bóg błogosławił: dziś jeszcze w Krakowie zapytaj o starego W., a każdy ci powie: „to była tęga głowa mosanie, uczciwości człowiek; szkoda że nie umiał pamiętać o sobie, bo podobno dzieciom żadnej fortunki nie zostawił, choćto i akcydensa były potemu.“ Bądź tylko mój synu takim jak twój

dziad, umrzej biednym, a z wdzięcznem wspomnieniem ziomków — więcej nie żądam. Widzisz, nic nie wziąłem od ojca, a chwała Bogu żyję uczciwie, i jaki taki grosz znajduje się w szkatułce. Postępuj tylko jak ci Bóg i wiara święta nakazują, bądź sprawiedliwym i litościwym dla drugich, a będziesz szczęśliwym i bez majątku! Majątek, mosanie, psuje nas prawie zawsze: mając więcej sposobności dogadzania swym namiętnościom, brniemy w nie coraz bardziej, nie czując tego wcale; oswajamy się z występkiem, bo go przykryć możemy garścią złota, nie boimy się złej opinji, bo łatwo zamknąć usta ludzkie naszem bogactwem. Nie marz mój synu nigdy wielkości zmysłowych, pragnij tylko mierności przy spokojnem sumieniu i cnocie; bo powiadam ci, nie zawsze jest szczęście w złoconych karetach i wspaniałych pałacach, nie zawsze spokój i wewnętrzne zadowolenie w sercach tych półbożków ziemskich! Nie pnij się nigdy nad stan twój majątkowy; twoją pozorną blichtrą nie zdołasz oszukać drugich, tak jak siebie samego: wcześniej czy później, prawda wyjdzie na wierzch jak oliwa z wody, i czem wyżej się wspiąłeś, tem niżej upaść musisz. Rozum twój, postępki twoje szlachetne, prawdziwa zasługa, niech cię wywyższą nad innych, bo taka sława pewniejszą jest i trwalszą, niż miljony próżnujących i bezczestnych bogaczów!

Umilkł, a jam z natężoną uwagą słuchał jeszcze. W duszy mojej słowa te brzmiały jak melodyjne tony czarownej pieśni, która wlewając drugie życie w nasze jestestwo, każe zapomnieć obecności. Wszystko to trafiało do mej duszy i przekonania tak łatwo, tak piękne dawało pojęcie życia, żem po raz pierwszy dopiero uczuł stanowisko człowieka na tej ziemi. Umysł przedarł pokrywającą go zasłonę dzieciństwa, a pokazał w świetnie umajonej barwie cel świętego posłannictwa, opartego na prawdziwych zasadach wiary.

— Kiedy więc masz zamiar uczęszczać na kursa prawne w Warszawie, to za kilka miesięcy będziemy musieli udać się tam obadwaj, żeby jakoś ulokować cię w uczciwem miejscu; bo to świat wielki zaraza dla niedoświadczonej młodzieży. A mamci ja tam jednego przyjaciela, nawet krewniaka urzędnikiem w któremś z biór tamtejszych; musi już być teraz emerytem jeżeli żyje, bo znacznie odemnie starszy. Człowiek to uczciwy, bogobojny, choć trochę mantyk. U niego cię tedy ulokuję, a będę spokojny o twoją przyszłość. Przypomnijże mi w niedzielę, abym napisał do niego w tym względzie, to on nas objaśni o wszystkiem. Teraz już chłodno, więc pójdźmy do pokoju; zaś kładąc się spać, nie zapomnij mój synu zmówić modlitwy dziękczynnej do Boga, od którego wszystko pochodzi, i który

wszystkiem kieruje. Jutro poproszę dziekana, aby na tę intencję odprawił mszą świętą, na którą wszyscy pójdziemy.

Tak więc ułożona została moja przyszłość, ale tylko ułożona. „Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi“, mówi przysłowie, tak też i z mojem sądownictwem się stało. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Jeżeli dotąd prowadziłem czytelnika za sobą z ławek szkolnych aż do ostatecznej rozmowy z ojcem, dość ckliwo opowiadając zdarzenia nikogo obchodzić, ani zajęcia wzbudzić nie mogące; jeśli to ja dotąd figuruje na każdej stronnicy: to przyznaję się zupełnie, inaczej napisać nie mogłem. Tu jestem prostym opowiadaczem, więc tylko myśli i uczucia jednej osoby mogę malować dokładnie; innych zaś przedstawiam zewnętrzne objawy tych uczuć, to jest działanie. Cała niniejsza powiastka będzie niejako pamiętnikiem pewnej epoki młodości; więc jeżeli macie chęć poznać historją serca jakich wiele na świecie, czytajcie dalej. Lecz jeżeli spodziewacie się czegoś nadzwyczajnego, ostrzegam, możecie się zawieść. Tu będzie wyjątek z życia kilku osób jednej familji, tak, jak o nim słyszałem z ust samego syna komendanta z szczerą prawdą opowiedziany. Prawda jest mojem hasłem, więc jeśli ją lubicie, proszę za mną.

* *
*

Po pięknych dniach lipca i sierpnia nastał słotny wtedy wrzesień. Siedziałem sobie u rodziców jak u Pana Boga za piecem, nie myśląc o jutrze, nie troszcząc się o nic, bo uprzedzano prawie moje życzenia i chęci, dogadzano pod każdym względem. Pamiętam dobrze, było to we czwartek w wigilją Narodzenia Najświętszej Panny Marji. Deszczyk drobniutki, co to kości przejmuje, padał sobie już od trzech dni, jakby go kto najął: ani sposób gdzie się wyruszyć. Drogi popsuły się bardzo, a trzeba wam wiedzieć, że jak tamtejsze gliny i rędziny rozmokną, choćbyś miał najlepsze konie, nie ujedziesz dziennie więcej jak trzy mile. Nudziliśmy się też wybornie z ojcem. Stary porucznik już trzy razy przerzucił swoją szafkę, wszystko otrzepując z kurzu najstaranniej: zajrzał do zegara, ale ten jak na złość szedł wyśmienicie, bił tyle godzin co było potrzeba; stołki w zwyczajnych szeregach stały w bawialnym pokoju, recepty nie miał żadnej do fabrykacji tytuniu: słowem, wszystko było w zwykłym porządku. Zapaliwszy więc fajkę po obiedzie, chodził zachmurzony po pokoju, głośniej jak zwykle pukał ustami, widocznie myślał o nowej majsterce. Naraz stanął przed zwierciadłem, popatrzył się w nie czas niejaki, rzucił fajkę na obok stojącą komodę, i szybko pobiegł do swego kącika.

— Muszę sobie sporządzić węgierkę — mówił do siebie zcicha, widocznie uradowany — jak raz nie mogła się łepiej podrzeć jak dzisiaj. Słuchajno Jasiu! — rzekł, obracając się do mnie — weźno jaką książkę np. Żywoty sławnych Polaków i przeczytaj co o Zamojskim, a ja tymczasem narządzę mój surducik.

— Wstydziłbyś się też mój mężu zajmować robotą, która ci wcale nie przystoi! Zdejmże ten surdut, to sama go zaszyję lub każę Małgosi.

— Jeszcze tego brakowało! — zawołał z żywością porucznik — żeby Małgosia dotykała się moich rzeczy: jeszcze tego! powtarzał.

— Przecież twoja węgierka nie żadna świętość — przerwała matka — żeby się jej nikt nie mógł dotknąć.

— A właśnie, że świętość, moja imościeńku. Że też to nie możesz się odzwyczaić od tych babskich narowów; od 25 lat chwała Bogu jakeśmy się pobrali, ciągle mi musisz oświadczać się z swoją reparacją, a ja imości powiadam, że choćbyś drugie 25 lat żyła, ani jednego ściega nie dam ci zrobić w tej węgierce! Jak wy tam umiecie sporządzać, niech Pan Bóg broni! Zwyczajnie po babsku, palec ścieg od ściega.

— Ale zawsze lepiej od ciebie, mój mężu, bo jak ty zeszyjesz, to w trzy dni się popruje.

— Eh! co tam imość mię będziesz uczyć! Jeszcześ na świecie nie była, gdym ja lepiej szył od ciebie. A któżto tam w pułku daje rzeczy do reparacji, hę? Sam każdy musi się oporządzać i dobrze jest: czysto, zgrabnie, jakby żadna z was na bal nie wystąpiła, mosanie! Proszę cię raz nazawsze, zaprzestań swoich narzucań. Jużto taka moja natura i przyzwyczajenie, od których na krok nie odstąpię. Zresztą co w tem złego, powiedz? Któż to wie, jaka dola czeka na świecie każdego z nas: dlaczegóż nie umieć tego samemu, coby od drugich prośbą zyskiwać można. U mnie mosanie bieda, a nie prosić nikogo, bo jak ci co dadzą, tysiąc razy wymówią i pewno większe z tego tytułu będziesz miała nieprzyjemności, niż przyjemności przy pomyślnym rezultacie prośby.

Matka umilkła, jam trzymał książkę i czekał rychło zacząć, a stary tymczasem wydobył z szuflady swoje jak nazywał michałki. Byłto płatek granatowego sukna, długości może dwunastu cali, obszyty tasiemką i w środku przedzielony. Po obu stronach, naszyte jedna na drugą małe kieszonki, i założone jak u żaluzji, mieściły w sobie różne krawieckie przyrządy, jakoto: igły, naparstki, wosk, nici i t. p. Porucznik zdjął surdut, obejrzał ranę pod jego pachą, włożył na nos podwójne okulary, i usiadłszy przy oknie, wydobywał nici, dobierał do koloru sukna, woskował, jak najlepszy krawiec.

Potem nadziawszy naparstek, założył pasemko nici na szyję, nawlókł igłę, i wziął się w milczeniu do pracy, rozmawiając z surdutem według swego zwyczaju: „Jak się ty mogłeś rozhulać tak szeroko, mój szaraku! Poczekaj, dam ci łatkę! Ale zkąd wziąść u djabła takiego sukna? Poczekaj, znajdziemy wewnątrz“.

Więc wyrznął kawałek z pod spodu, i przykrajał nożyczkami, a mnie kazał czytać.

Już doszedł połowy swojego dzieła, gdy wpadła do pokoju Małgosia z niezwykłą żywością, wołając:

— Proszę państwa, jakaś młoda pani przyjechała do nas, i schodzi z wózka!

— Co u kroć furbeczek, ktoby to był taki? — pomruknął porucznik i włożył z pośpiechem swą węgierkę napół zrestaurowaną, z zapiętą pod pachą igłą, i wiszącym kawałkiem sukna. Wybiegł szybko do pierwszego pokoju, a matka, ja i siostra za nim. W istocie młoda jakaś kobieta, omatulona płaszczem, w kapturze nasuniętym na oczy, z białą tasiemką u dołu sukni, wymykającą się z pod płaszczyka, przemoknięta zupełnie, weszła nieśmiało do pokoju, pytając miłym głosikiem: „Czy tu mieszka pan kapitan R*?“.

— Tak jest, tu — odrzekł ojciec dość chmurno, gniewając się zapewne, że mu przerwano tak ważne zajęcie — cóż pani żądasz od niego?



— Nawlókł igłę i wziął się w milczeniu do pracy, rozmawiając z surdutem. (Str. 140.)

— Ja chciałabym się z nim samym widzieć — wymówiła pomieszana nieznajoma — mam list do niego bardzo pilny!

— Ja nim jestem, moja pani!

Kobieta odsłoniła kaptur ręką, spojrzała załzawionem okiem na kapitana, tak dziwacznie wyglądającego w podwójnych na nosie okularach, z pasemkiem nici na szyi, i naparstkiem na palcu, że pomimo boleści malującej się w twarzy jej i całej postawie, uśmiechnęła się nieco. Matka prosiła aby zrzuciła z siebie przemoczone suknie, i sama jej w tem pomogła; a następnie przeprowadziwszy do bawialnego pokoju prosiła siedzieć. Nieznajoma wydobyła list z gorsu, i podając go zdziwionemu tem milczącem obejściem się ojcu, wyrzekła z płaczem:

— Ten list objaśni pana o wszystkiem; racz go przeczytać, bo sama mówićbym nie potrafiła!

Ojciec spojrzał w współczuciem na tego dziwnego gościa, pochwycił z niecierpliwością list czarną pieczęcią opatrzony, i niebadając już herbu na pieczątce, nie dumając nad adresem, z chciwością zaczął przebiegać pismo. Tymczasem miałem sposobność przypatrzyć się panience, która z największą niespokojnością i trwogą prawie wodziła nieśmiało wzrokiem po wszystkich otaczających ją twarzach, zdawając się chcieć przeniknąć myśl tych osób, do których los ją przybliżył; tę myśl,

jak ją też przyjmą po przeczytaniu listu. Mogła mieć nie więcej jak szesnaście lub siedmnaście lat. Ciemne włosy do góry środkową pręgą zaczesane, odkrywały wydatne i piękne czoło, pełne szlachetności i powagi prawie nad jej wiek. Oczy duże modre, ocienione długą rzęsą, miały jakiś szczególny i pociągający urok, zwłaszcza w tej chwili, gdy badały nieśmiało otaczające ją osoby. Nosek nieco zadarty klasycznej regularności, usta małe koralowej barwy i doskonały owal twarzy, uzupełniały całość bardzo miłego oblicza, na którem rozlany prawdziwy smutek i żałość głęboka, zjednywały serdeczne współczucie, i kazały kochać osobę, nie znając jej wcale. Może jaki znawca piękności, lub młody a skrupulatny taksator powierzchownych wdzięków kobiecych, zarzuciłby jej nieregularność troszkę wystających kości policzkowych; może uznałby te świeże rumieńce zanadto parafijańskiemi, ale ja w owej chwili wcale nie zwróciłem na nie uwagi. Mnie postać tej bolejącej dziewicy wydawała się zachwycającą; ten wzrost bujny, ze szczupłym stanem, najpiękniejszą figurą kobiety, jaką kiedykolwiek widziałem. Ubrana w czarny kamlotowy szlafroczek z szeroko rozwartemi rękawami, przewiązana na głowie chusteczką takiegoż koloru, i sznurkiem zarzuconych na szyi koralików, dziwnie odbijających przy nadzwyczajnej białości jej cery, i wreszcie z smętną minką i oczami łez



— Mój wielki Boże! — zawołał rozdzierającym głosem, padając na kolana przed siedzącą nieznajomą. (Str. 143.)

pełnemi: zdawała się być tą cudną Peri, tęskniącą za utraconym rajem.

Twarz ojca w miarę dalszego czytania listu przybierała coraz trwożliwszą minę: oczy mimowolnie się mgliły, tak, że nie mógł dalej czytać, bo gęste krople łez jak grad padały na trzymany w ręku papier.

— Mój wielki Boże! — zawołał rozdzierającym głosem, padając na kolana przed siedzącą nieznajomą — więc pan pułkownik nie żyje? Droga panno pułkownikówno, królowo moja! ja twój sługa do śmierci! — i wysilony żalem, zakrył twarz rękoma, skłaniając siwą głowę na kolana zanoszącej się od płaczu panienki.

— Co się takiego stało, co? — zawołaliśmy wszyscy razem z nieudaną trwogą.

Lecz nic się dowiedzieć nie można było, gdyż głośne łkania tłumiły odpowiedź.

— Masz, czytaj głośno — rzekł ojciec podając pismo.

Schwyciłem list z skwapliwością nie do opisania, i otóż co się dowiedziałem:

„Kochany mój i najdroższy przyjacielu!

„Nie dziw się mój przyjacielu, że przypominam ci tu chwilę najmilszą mojemu sercu. Pamiętasz ty przejście gór Samo-Siera? pamiętasz młodego adjutanta, biegnącego na koniu z rozkazem naczelnego wodza, do drapiącegp się na górę waleczne-

go naszego wojska: pamiętasz zapewne i tę chwilę, gdy przeszyty kulą ów adjutant, upadł przy nogach twoich, zalany potokiem krwi, buchającej mu z piersi?

„Co do mnie pomnę to doskonale, tak, jakbym czuł jeszcze twe szlachetne ręce, które niosły mnie do ambulansu pośrod gradu kul, sypanych z nieprzyjacielskich baterył. A pamiętasz Andrzeju owe słowa, które wyrzekłeś przy łożu wracającego do zdrowia adjutanta? Jeśliś zapomniał, to ci je powtórzę dzisiaj: „Panie majorze, do trzeciego pokolenia jam twój duszą i ciałem“.

„Widzisz, ja wszystko to mam przed oczami, ja przedstawiam to dziś twojej pamięci, bo... daruj mej otwartości, bo chcę korzystać z tego.

„Od dwóch tygodni czuję się słabym, i bardzo słabym nawet; czuję, że moja godzina wybije niezadługo, że muszę opuścić tę piękną ziemię, na której chciałbym żyć wieki jeszcze, nie dla siebie wprawdzie, bo ja dość żyłem, lecz dla kochających mnie i kochanych przezemnie osób, których żal wielki opuszczać!

„Mój Boże! a ja mam córkę, tego anioła opiekuńczego mojej starości, któregom wychuchał własnem tchnieniem, wychował żołnierską dłonią, tego anioła mówię, na któregom przelał swą duszę, wolę, życzenia i całą istność. Patrz, moja Stefcia płacze w drugim pokoju, ocierając starannie łezki,

bym nie gromił ustami jej żalu. Patrz, ona przeczuwa sieroctwo, tuli się do mego łona z rzewnością, która wstrząsa dogorywające moje nerwy: chce w tym uścisku ponowić wszystkie minione pieszczoty, i zabrać tyle nowych, by jej na przyszłość wystarczyły. Biedna sierota bez matki, bez krewnych, bez majątku nawet! Jak ptaszek zabłąkany na puszczy, gdzież skieruje lot swój nieśmiały, gdzie znajdzie schronienie przed burzami świata, które zawisły na jej dziecięcem czole? Andrzeju! myśl ta rozdziera do reszty ojcowskie serce. Mój Boże! mój Boże! całe życie spędziłem jak tułacz, nie znając co dom, co spokój, co familja; całe życie pracowałem ciężko na kawałek chleba, odmawiałem sobie najdrobniejszych przyjemności, skąpiłem na wszystkie strony, aby nadal zabezpieczyć jako tako los mej przyszłej dziedziczki: i wiesz com zebrał? 15.000 złotych, 15 i nic więcej!... Lecz bluźnię narzekając, bluźnię przeciw Bogu i tobie. Czyż nie większy skarb znalazłem od miljonów, kochany Jędrzeju, nie większy jak wyobrazić sobie można? Tak jest, znalazłem serca, które kochały mnie jak brata, więcej nawet niż brata: temi zaś jest twoje, i twej zacnej małżonki. W zaufaniu więc tej przyjaźni, pomnąc na owe słowa na początku przytoczone, oddaję ci mój skarb jedyny, moję Stefcię; nie wątpiąc, że znajdzie u was drugiego ojca i matkę, i że zajmiecie się jej

losem, jak losem własnych dzieci. Nie daję tu żadnych rozporządzeń, żadnego nie objawiam życzenia co do przyszłości mej ukochanej jedynaczki: wszystko to zostawiam twemu uznaniu i twemu popędowi własnej woli. Rozrządzaj nią jak swoją, obmyśl los i przyszłość jakie za najlepsze uważać będzie twe serce, a ja z góry się zgadzam najsolenniej bo.... bo, inaczej nie mogę. Kapitalik, jaki pozostanie, i ruchomości, zabierz do siebie lub sprzedaj, jak ci tam dogodniej będzie. Zanadto znam dobrą twą stronę, abym na chwilę mógł powątpiewać o twojej prawości: lecz proszę cię, chroń nadewszystko tej małej spuścizny Stefci, bo wszyscyśmy śmiertelni: i tyś już stary, i zacna twa żona nie pierwszej młodości, a któżby potem chciał opiekować się biedną sierotą? Wiesz, na samą myśl twojej śmierci drżę, przeczuwając moją! Lecz dobry Bóg nie dopuści tej klęski na niewinne stworzenie jego; coś mówi do mej duszy, że moja Stefcia będzie szczęśliwą, i że to szczęście winna będzie tobie.

„Teraz pomówmy o sobie, drogi mój przyjacielu! Na śmiertelnem posłaniu złożony czyż mogę powiedzieć więcej jak to: żem kochał cię i kocham jak nikogo w świecie. Składam ci zatem ostateczne dzięki za te chwile szczęścia, jakie mi przyjaźń twoja uwieńczyła na tej ziemi; przepraszam stokrotnie za wszystkie błędy moje, które ci jakąś

przykrość przynieść mogły, bo wszyscy jesteśmy słabemi i niedołężnemi istotami! Więc przebacz Andrzeju sercem i myślą, a spokojniej dusza moja spoglądać będzie na ten znikomy padół łez i utrapień. Nie smuć się moim zgonem, nie dodawaj żalu swemi łzami ukochanej mej Stefci, bo ja tam z góry zawsze patrzeć będę na was, cieszyć się waszem szczęściem, lub ubolewać nad waszą niedolą. Nie, nie! duch ludzki nie może zapomnieć węzłów łączących go z doczesnością; on przebywa zawsze z miłemi mu osobami, spogląda na wszystkie ich kroki, i ochrania od zguby. I ja też nie rozdzielę się z wami, choć ciało zniszczeje: będę gościł u was, jak ten anioł stróż każdego człowieka.

„Gdy list ten czytać będziesz, już ręka co go kreśliła, zamarła na zawsze. Śmierć sparaliżowała wiecznie te członki, które wysiliły się, by przelać serce na ten milczący papier. Przyjm więc tu ostatnie pożegnanie twojego pułkownika: przyjm je tak, jakbyś zostawał w jego objęciach, patrzał w zamglone śmiertelnym całunem oczy! Pószepnij wieczny odpoczynek za duszę przyjaciela, zwierzchnika i ojca: pożegnaj odemnie swoję rodzinę i dobrych przyjaciół: powiedz im, że ostatnie słowo moje było dla nich, że ostatnie uderzenia pulsu zamarło, pałając miłością nieskończoną i szacunkiem bez granic. Przytulcie moją sierotę do waszego poczciwego łona, zapłaczcie nad jej siero-

ctwem, aby łza prawdziwej przyjaźni i miłości, poświęcona jej biednemu ojcu, spłynęła na niewinną główkę. Oh! widzę was, słyszę łkania przerywane wybuchami żalu i boleści, i to mnie cieszy, bo nie żal umierać, zostawując na ziemi podobne wspomnienia!“

Poniżej już drżącą ręką dopisane były następujące słowa: „Przeczuwam, że dziś skończę! Zaklinam cię więc Andrzeju, pamiętaj też o mojem dziecku; bo nie tyle lękam się zbliżającej śmierci, ile drżę wspomniawszy na przyszłość mojej jedynaczki. Żegnam cię więc jeszcze; do zobaczenia w lepszym świecie, bo przecież się kiedyś zobaczymy!... Módlcie się za mną...

Bukowski.“

Ledwie że mogłem dokończyć czytania, taki żal ogarnął me serce; oczy zaćmiły się, i papier mimowoli wysunął się z pod palców. Nie mogłem zebrać przytomności, pojąć tej katastrofy tak szybkiej i niespodzianej; zdawało mi się niepodobnem, aby człowiek ten, który wylał swoją duszę, z taką rzewnością i bolesną prawdą, którego żywy oddech prawie czułem na mojej twarzy, mógł umrzeć! Nie byłem w stanie wyobrazić sobie pułkownika, którego niedawno widziałem w pełni życia, z całym zasobem wesołości, tak kochanego od wszystkich, dziś już znikłego nazawsze z widowni świata!

Widać, że i sercami innych miotały podobne uczucia, bo przez chwilę nie mogliśmy słowa wyrzec, spoglądając po sobie z wyrazem osłupienia. Nakoniec matka porywając w objęcia zapłakaną Stefcię, zawołała z uczuciem nie do opisania:

— Stefciu, Stefciu! moje kochane dziecię, nie płacz! Boskie to rozporządzenie: trzeba mu się poddać z pokorą i ufnością! Masz oto we mnie matkę, w mężu moim ojca, a w dzieciach naszych rodzeństwo: my kochać cię będziemy bardzo, tak jak kochaliśmy szlachetnego twojego ojca!

— Mój Boże! ktoby się też był spodziewał — przemówił ojciec potrząsając głową — pan pułkownik niestary jeszcze; jak to znikome to życie ludzkie!... No, no, ukój się panno pułkownikówno, otrzyj te łezki i kochaj nas nawzajem za ojca i siebie. Da Bóg, będziemy sobie radzić jak będzie można; widzisz, to moje dziatki jedyne — rzekł wskazując na nas — miałem ich dwoje, przybyło teraz trzecie, i za to składam niebu dzięki. Uważaj dom ten za swój, rządź nami wedle swej woli, a wszyscy słuchać cię będziemy, jak rozkazów ojca twego nieboszczyka pułkownika.

To słowo n i e b o s z c z y k a jakoś nie chciało wyjść śmiało z ust jego! biedny nie mógł go jeszcze wymówić bez pewnego wahania się i żalu.

Otoczywszy przybyłą, długo, długo słuchaliśmy z zajęciem rzewnego opowiadania o ostatnich chwi-

lach pułkownika. Tyle w nich było rozdzierające serce szczegółów, w tak jasnem świetle wystawiona niezachwiana wiara wojaka, i pewność szczęśliwej przyszłości, tak budującemi owe ostatnie nauki i przestrogi, dawane jej na śmiertel[illegible] pościeli: że tylko usta córki zlewając wyrazy z uczuciem, mogły to wypowiedzieć. Ja nie potrafiłbym ich tu powtórzyć, bo to nad moje siły. Dość tylko postawić się w jej miejscu, odświeżyć te uczucia, żale i boleści, jakie przebiegały nasze dusze, gdyśmy szczątki ukochanych nam osób przykrywali ziemią zroszoną własnemi łzami; dość wspomnieć na tę myśl, jaka wówczas rodziła się w naszem łonie, że ich nie obaczę więcej takich, z jakiemi przeżyliśmy najpiękniejsze i najboleśniejsze dni i lata, że nie spojrzymy więcej na te miłe oblicza, które samą miłością patrzyły na nas tak długo: aby mieć wyobrażenie tej przerywanej łkaniami mowy, przywiązanej i kochającej córki. To też i my wszyscy zapomnieliśmy o całym Bożym świecie; uderzeni niespodziewanym wcale ciosem, zasmuceni, siedzieliśmy milcząco; i Bóg wie dokądby stan ten potrwał, gdyby nie oznajmienie Małgosi, że obiad na stole, i zapytanie: „gdzie rzeczy panienki umieścić?“

— Ach prawda — poszepnął sobie ojciec, zrywając się szybko z siedzenia, i ocierając chustką mokre jeszcze powieki — prawda, dość płaczu, teraz trzeba działać! No poruczniku, pokaż co

umiesz: otwiera ci się pole; dowiedź jak się to ceni przyjaźń takich ludzi, jak pułkownik. W imię tedy Boga naprzód!

Wybiegł szybko z pokoju, wydał potrzebne rozporządzenia, furmana opłacił, i wracając do nas siedzących już przy stole, jeszcze we drzwiach powtarzał, żeby ostrożnie znoszono kufry panny pułkownikówny, lub nie wyrzucono czego z pudełka itp.

Milcząco odbył się ten obiad stypowy; każdy zamknąwszy się z swą myślą, nie zwracał uwagi na potrawy, a tem bardziej na Małgorzatę, która sprzątając nietknięte półmiski, mruczala pod nosem: „a któż to widział nic nie jeść! No widzicie moi państwo, wartoż było smażyć się przy ogniu na taki obiad!“ Nareszcie znudzona ciągłem naszem milczeniem, gdy przyniosła rumianą, potężnie wysoką leguminę i postawiła przed matką, odezwala się z gniewem:

— Żeby tam nie wiedzieć co mi było za to, nie odejdę, aż ani k r z t y nie zostanie na półmisku! Bo teżto dawno podobna mi się nie udała legumina: jaka pulchna, gorąca!

Uśmiechnęliśmy się wszyscy na podobny argument, tylko ojciec nie zważając wcale na jej arcydzieło, lecz zajęty swoją myślą, powstał z krzesła, mówiąc:

— Pójdźno za mną do alkierza, uprzątniemy miejsce dla panny pułkownikówny!

— Ale proszę jegomości, legumina opadnie na nic.

— A niech przepadnie do miljon fur b..... A.... a.... przepraszam! — zawołał połykając ostatnią syllabę, i zatykając usta ręką — przepraszam najmocniej pannę pułkownikównę, bo to wojskowe djabl... No i znowu to samo — rzekł do siebie. — Z takiem przyzwyczajeniem niech cię miljon fur b..... A to już skaranie Boskie! — zawołał wreszcie szarpnąwszy wąsa, machnął ręką, zasłonił usta, i szybko uciekł do drugiego pokoju.

Dziewczę ze smutnym uśmiechem zwróciło się do matki.

— Już poznaję pana porucznika doskonale — rzekła — ojciec tak mi go opisywał zawsze, tak wystawiał jego nadzwyczajną żywość, że mimowolnie musiałam się uśmiechnąć. Ale niech też pani poprosi męża, żeby dokończył obiadu: ja się przecież ulokuję sama!

— Nic to nie pomoże moja Stefciu: on jak poczciwy i dobry człowiek, tak więcej jeszcze żywy i uparty; lecz spróbujmy.

Ale gdzietam było perswadować ojcu o odstąpieniu od zajęcia; już poodstawiał liczne swoje sprzęty w sypialnym pokoju, porozrzucał wszystko, i najenergiczniej brał się do przenosin.

— Panie kapitanie! proszę cię bardzo, daj pokój — odezwała się Stefcia stawając na progu.

— Dobrze, dam pokój panno pułkownikówno, dam, jak skończę. Weź się na lewo, Małgosiu! Ostrożnie! do góry teraz! — komenderował ojciec, trzymając silnie jedną stronę biurka. — Ja to już dawno myślałem się wynieść z tego pokoju — dodał po chwili — bo Bogiem a prawdą, nie bardzo mi tu dogodnie było. Imość żona fajki mi nie dała palić, gderała na nieporządek, to i kontent jestem z okazji. Trzeba tu wymyć podłogę Małgosiu, tylko zaraz a czysto, jak to ty umiesz....

— Proszę pana teraz słota na dworze, nieprędko wyschnie!

— Co tobie miljon fur b..... — i znowu zasłonił usta, szarpnąwszy mocniej wąsa — już chyba koniec świata, że ja się tak zapominam; nie gniewaj się tylko panno pułkownikówno — dodał odsuwając żelazne łóżko — już tego więcej nie będzie.

— Ależ mój panie kapitanie, to mię wcale nie gniewa; jam przywykła do podobnych wyrażeń, — owszem miło mi słyszeć to, com słyszała zawsze w domu ojca. Proszę cię więc, nie rób sobie żadnych ze mną ceremonij!

Uśmiechnął się stary podnosząc na nią oczy i pomruknął: „Znać mosanie żołnierskie dziecko, znać“! Lecz w tejże chwili nieostrożnie przysunął się do łóżka, które miał przenieść, tak. że

igła zapięta pod pachą, a o której zapomniał zupełnie ukłuła go widocznie mocno, bo syknąwszy głośno, puścił łóżko ze swojem zwyczajnem „ażeby cię....“

Kobiety wysunęły się na to z pokoju, nie chcąc mu przeszkadzać, a porucznik tymczasem z gniewem zrzucił węgierkę z ramion, i oddając służącej, kazał natychmiast dokończyć reparacji.

— Tylko staraj się Małgosiu, żebyś tak samo przyszyła jakem zaczął; moja kochana, tak samo!

Służąca uszczęśliwiona niezwykłą łaską, poniosła do kuchni zranioną suknię, a ojciec tymczasem nie nadziawszy innej, jak Marjusz na zwaliskach Kartaginy usiadł na przewróconym kufrze, dumając również o znikomości świata tego. Do samego wieczora było krętaniny co niemiara: wszystko co żyło w domu, musiało przyjąć udział w przygotowaniach dla panny pułkownikówny. I ona nawet, choć znużona podróżą, przygnębiona boleścią, mimowolnie przyczyniła się do ogólnej roboty; rozpakowywała swoje tłumoczki, rozstawiała w przeznaczonym jej pokoiku różne przedmioty, a tym sposobem nie miała czasu oddawać się żalom, i uczuć dotkliwie swoje sieroctwo. Właśnie to było zamiarem matki, by odwrócić od niej ten smutek różnemi zajęciami.

Praca, to najlepszy lekarz na wszystkie boleści nasze; pracując nieustannie, gorliwie, chociaż przy-

musowo, niepodobna nie zwrócić uwagi i myśli do przedmiotów naszego zajęcia. Tym zaś sposobem, jak powiedział Syrokomla, choć chwilkę wykradnie się smutkowi, a taka chwilka jak błysk jasnego promienia słońca wśród burzy, jest drogą dla serca miotanego wewnętrznym, a gorszym w swych skutkach niepokojem. Nic tak nie rozognia ran serdecznych, jak samotność i bezczynność: dusza nasza, skłonna do imaginacyjnych marzeń, i do analitycznych rozbiorów każdego odcienia myśli, oddana sobie samej, tworzy najdziwaczniejsze domysły, przypuszcza najbardziej niepraktyczne następstwa; chce koniecznie ogarnąć dotykalnie cały ogrom swych utrapień, a nie mogąc podołać tej olbrzymiej pracy, mąci się, zaciemnia sama w sobie, targa zuchwale wszystko to, co tam zgromadziły doświadczenie, nauka, miłość, i sprowadza najzaciętszego wroga rezygnacji, rozpacz. Szczęśliwy zaiste i bardzo szczęśliwy ten, kto ma drugie serce na ziemi takie, przed którem odkryć się może, które podzieli z nim jego cierpienia, słodką łzą współczucia przygasi ten pożar, mogący zniszczyć najpiękniejszy plon przyszłości! Kto zaś posiada tyle zdolności, że potrafi znaleźć przyjaciela w kawałku papieru, i w stanie jest przelać zbytek uczyć, jaki przepełnia jego zakrwawione serce: niech chwyta za pióro, niech poskarży się przed niem, niech pisze myśli bez

ładu, tak jak cisną się do głowy i duszy, a stworzy dzieło, co trafi do uczuć i serca innych nieznanych mu współcierpiących. Poeta piszący głową, który wysila i nagina imaginację i myśli do form, choć obrobi swój przedmiot podług znanych i nieznanych prawideł poezji, nie będzie wszakże poetą. Czytając jego że nie powiem utwory, ale lepianki, przyznamy mu dobrze obrobioną całość, nie zaprzeczymy talentu, nie wynajdziemy najmniejszej wady w stylu, wyrażeniach i obrazach: a dlaczego powiedz mi, rzucamy książkę z pewną niechęcią, jakbyśmy czuli jakowyś zawód? dlaczego zapominamy za chwilę o niej tak, jakbyśmy jej wcale nie czytali? Oto dlatego, że nie było tam serca, nie było prawdy, tylko kłamane uczucia kształtnie przystrojone. Serce lubi prawdę; gdzie jej nie ma, nie ma i serca, bo serce sercem się pojmuje.

Nie mówimy tu o takich, co nic nie czują; dla nich tam wszystko jedno: prawda czy kłamstwo, dobre czy złe, jasne lub ciemne; oni nie rozumieją jednych i drugich! Bo proszę was, jak można znać ciepło, nie doświadczywszy zimna?

Znowu się rozgadałem po swojemu, i muszę podobnie jak pan porucznik, gdy miał wystąpić z furbeczkami w obec panny pułkownikówny, zatkać usta ręką i zawołać: a! a! a! przepraszam, zapomniałem się.

Nazajutrz rano ni ztąd ni zowąd zajechał Jakób przed okna, ojciec usiadł do wózka, pożegnał całą rodzinę, i ruszył wykonać ostatnią wolę zmarłego z wielkiem podziwieniem nas wszystkich, i zdumieniem Małgorzaty, która nie była w stanie wytłumaczyć sobie, jak pan kapitan mógł pojechać bez zrazów.

Wieść o przybyciu pułkownikówny, lotem błyskawicy rozniosła się w miasteczku i po całem sąsiedztwie. Przez kilka następnych dni nie mogliśmy się opędzić wizytom, które jak grad sypały się co godzina. Najprzód pani burmistrzowa, niezmiernie ciekawa zobaczyć, jakto pukownikowskie dziecko wygląda, z całą czeredą swawolnych dzieci, w nowej jedwabnej sukni, zawitała w parę godzin po odjeździe ojca. Choć przyszła z wewnętrznem uprzedzeniem o pańskości Stefci, choć pierwsze wyrazy wyrzeczone przez nią nosiły cechę jakiegoś szyderczego lekceważenia, i niewytłumaczonej zazdrości; jednak zobaczywszy pułkownikównę, poznawszy jej słodziutki charakter, i tę niezmyśloną uprzejmość z jaką przyjmowała grzeczności burmistrzowej; gdy nadto z udanem może zajęciem wysłuchała jej opowiadania o owym pojedynku za Francuzów: zmieniła swe zdanie, bo wychodząc szepnęła do matki odprowadzającej ją aż przed sień:

— To wcale przykładna panienka, wcale, i bardzo się cieszę, że m o j e miasteczko takim skarbem wzbogacone zostało.

Po niej nastąpiły odwiedziny państwa kontrolerów, pisarzów, dzierżawców z Sadka i innych znajomych; a wszyscy odjechali z dobrem usposobieniem dla młodziutkiej sieroty. Przyjechał też niebawem i Wolicki z większemi niż zwykle żabotami, i wyżej posuniętemi pod oczy kołnierzykami. Bywalec, dowcipniś choć starej daty, zdołał jednakże rozśmieszyć panienkę swojemi komplementami bez miary, i pociesznemi anegdotkami, których miał zapas niewyczerpany. Tak kręcił się i nadskakiwał z miną pretensjonalną, tak strzelał buremi oczyma na przedmiot swoich zabiegów, że z początku śmiejąc się serdecznie z niego wraz z Stefcią, a później, porównawszy jego grację i śmiałość w obejściu, z moją studencką nieśmiałością i niezgrabnem uszanowaniem dla niej, uczułem pewną zazdrość w sercu, i jakąś niechęć objawiającą się w każdem ruchu i słowie. Postanowiłem sobie, bądź co bądź, nabyć tej lekkości i zgrabności w obcowaniu z kobietami, aby nie stać niżej od tego starego majora, którego choć lubiłem dawniej, teraz pragnąłem prędkiego odjazdu. Może to nie była prosta zazdrość i chęć postępu, może to inne uczucie przebijało się już w tej myśli, lecz wtenczas jam nie zwrócił na to

uwagi. Matka nadzwyczaj była zadowolona z różowego humoru majora, bo widziała jak rozweselił nieco ukochaną Stefcię; kiedyniekiedy dorzuciła słówko, które on łapał starannie, i rozwijał właściwym sobie sposobem. Miał szczególniejszy dar prędkiego zapoznania się z każdym; i umiał tak szybko zbadać charakter, usposobienia wewnętrzne, upodobania pierwszy raz widzianej osoby, i w tak odpowiedni sposób trafiał do ich przekonania, że po kilku godzinach obcowania, już był dla nich tak dobrze znajomym, jakby zjedli z sobą z dziesięć beczek soli. To też i panna pułkownikówna ujęta jego uprzejmością, ośmielona wesołem obejściem, mimowolnie żywiej z nim rozmawiała, pozwalając sobie nawet niektórych żarcików niewinnych z jego wieku, tak niezgodnego z młodzieńczemi nadskakiwaniami.

— Jak też pani mię uważa? — zapytał major mógłbym ja się ożenić jeszcze?

— A dlaczegóżby nie — odrzekła z uśmiechem Stefcia — przecież serca nie siwieją razem z włosami.

— Eh, proszę pani, czy to takie włosy siwemi się nazywają — przemówił z żywością, gładząc dobrze szpakowatego czuba.

— Nie siwe panie majorze, nie siwe, więc jakież? może jasno-blond?

— Doskonale! — zawołała matka — pan major jasny blondynek teraz, wybornie! — i wszyscy śmiać się poczęli. Napróżno major się tłumaczył, wymawiał, dowodził; napróżno wyrywał włosy i pokazywał, że nie siwe: nic to nie pomogło, został jasnym blondynkiem na zawsze.

Po odjeździe majora zaproponowała matka odwiedziny proboszcza. Sędziwy starzec niewymownie się ucieszył z naszego przybycia. Znał bardzo dobrze pułkownika Bukowskiego, wiedział już o jego śmierci, przybyciu Stefci, i odjeździe ojca, gdyż ciekawa Kundusia nie omieszkała uwiadomić go o wszystkiem. To też uściskał ją serdecznie, mówił tak pięknie i z serca o tym koniecznym długu śmierci, której każdy okupić się musi, tak umiał wlać balsam religijnej pociechy w zbolałą duszę sieroty: że odetchnęła wolniej, oblicze jej zajaśniało błogiem przekonaniem lepszej przyszłości, czekającej nas na drugiej stronie żywota. Kundusia ubrana w nowy czepek z dużemi żółtemi kokardami, ciekawie spoglądała na przybyłą, wynosząc coraz nowsze przysmaczki, na jakie tylko jej spiżarnia się zdobyła; zapytywała Stefcię o różne gospodarskie zajęcia kobiety, jakoto: robienia konfitur, powideł, smażenia owoców i t. d., a widząc, że zna się na wszystkiem doskonale, uznała właściwem objawić jej również niektóre sekreta, doświadczeniem swojem nabyte.

— No, no, jagem rzekła, to wcale panienka rozumna; ktoby się tego spodziewał po miejskiej pannie: no, no — i pokręciła głową. — Ażebyto moja siostra Jagusia żyła, toby rychtyczek taką musiała być gospodynią.

Dziekan rozmawiał z matką o przyszłym odjeździe moim do Warszawy, a my tymczasem pobiegliśmy do ogrodu, obejrzeć owe cuda ogrodnicze starego proboszcza. W istocie ogród choć mały, utrzymywany był w największym porządku: wszystko tam znalazłeś, co tylko potrzebnem się okazało do kuchni, wygody i przyjemności. Były kwiaty i ogrodowizny, owocowe drzewa, winogrona, melony, arbuzy, truskawki itp. Prześliczna altana, ocieniona dzikiem winem i powojem, z białemi słupkami brzeziny, przynęcała do siebie zalotnie. To też i dziekan z matką przyszli do nas na kawę, i Kundusia zaglądała często pytając, czy czego nie potrzebujemy; a tak swobodnie, z weselszą myślą, pod pięknem niebem, przepędziliśmy aż do wieczora.

Żegnając nas ksiądz proboszcz, zapowiedział częstsze swoje odwiedziny, polecił mi przychodzić po kwiaty dla Stefci, którą bardzo polubił, a stara Kundusia patrząc za odchodzącemi, szepnęła do niego:

— Patrzcie moi państwo, ten Jasio znalazł sobie bogdankę! A jagem rzekła ładna to będzie

para: bo wszystko mi się widzi pokochają się strasznie! Już Kundzia choć stara zna się na tem dobrze!

W kilka dni powrócił ojciec. Interesa poszły mu najpomyślniej; z wielkiem zadowoleniem Stefci, nie sprzedał ani jednego płatka z pozostałych ruchomości, wszystko kazał wpakować na fury, spisawszy skrupulatnie, i przywiózł ze sobą, aby droga panna pułkownikówna, jak ją zawsze nazywał, miała po ojcu pamiątki.

Czas niejaki jeszcze zszedł na pomieszczenie przybyłych świeżo sprzętów do użytku Stefci służących, bo inne kazawszy porucznik starannie opakować, złożył do oddzielnej szopy. Ustawiono tedy fortepian w bawialnym pokoju, jak można najdogodniej, nawet z poświęceniem szeregowego porządku krzeseł; zawieszono bielutkie firanki w drugiem oknie sypialnego pokoju, postawiono szafkę z książkami Stefci, stoliczek jej tualetę. i różne drobnostki kobiece. Nad łóżkiem pojawiły się wizerunki świętych Pańskich, i kanarek z mosiężną klateczką znalazł miejsce w oknie, i wazony kwiatów dwoma rzędami, roztaczały balsamiczną woń w około. Pokój wcale inną teraz przybrał powierzchowność: wszędzie znać było ten delikatny gust kobiety, że wszedłszy tam ogarniało cię uczucie pewnego poszanowania, jako w przybytku poświę-

conym niewinności, i uczuciu nieziemskiej swobody.

Powoli, powoli, dzięki staraniom matki w wynajdywaniu różnych zajęć dla Stefci, znikał smutek z jej czoła, umysł zdawał się oswajać z teraźniejszością; wróciła wesołość i żywość panienki. Młodość, czas, modlitwa, praca, zwyciężyły boleść. Bo taki jest na świecie porządek rzeczy: rozkosz i smutek mijają szybko, zostawując czasem tylko ślady swojego przejścia. Ślady te z początku żywsze, przytomniejsze, ściemniają się powoli, mącą z teraźniejszością, zacierają w pamięci, jak te przedmioty pięknego krajobrazu, co oddalając się od naszego wzroku, nikną i nikną w przestrzeni mgły pomrokowej, i w końcu zlewają się z niebem. Z całego gmachu naszych pamiątek zostaje ruina tylko, z której najlepszy architekt nie mógłby odgadnąć całości. A wspomnienie gdzie? — zapyta niejeden. Otóż wspomnienie, odpowiem: to pamięć oczu, to obraz na którym wypełzły farby, zostawując szkic niewyraźny. Dawno zdarzone wypadki, które silnie wstrząsały naszym umysłem, duszą i sercem, niepodobna obecnie przedstawić w wyobraźni naszej takiemi jakiemi wówczas się wydawały. Człowiek co chwila się zmienia, co chwila inaczej pojmuje siebie i swoje uczucia; co dawniej zajmowało go szczerze, co stanowiło jego szczęście, lub boleść, dziś wydaje się niedorzecznem lub śmiesz-

nem, i dziwi nas to samych, jak można było tak myśleć i czuć przed laty.

Życie nasze dotąd spokojne, jednostajne, zupełnie nową przybrało barwę. I nie dziw: taka dzieweczka jak Stefcia mogła przeważny wpływ wywrzeć na otaczające ją osoby. Żywa i wesoła jak czeczotka, umiała dziwnie połączyć te przymioty z powagą i rozsądkiem może nad wiek jej. Wychowana w dzieciństwie przez zacną siostrę pułkownika, która ją dość wcześnie odumarła, nabyła od niej prawdziwej wiary w Boga i wszechmocność Jego, nauczyła się wielbić wszystko co piękne i dobre, miłować wszystkich jak współbraci swoich. Serce jej z natury skłonne do szlachetnych uczuć, jak ta pulchniutka gąbka, pochłaniało wszystkie nauki, wrażenia i czułość, wlewane szczodrze przez ukochaną ciocię. Kierowana znowu rozsądną radą pułkownika, który jak troskliwa ptaszyna o swoje pisklęta, krok w krok śledził jej młodociany umysł, wpajał najpiękniejsze zasady moralności, cnoty i szlachetności, starannie ochraniał niewinne serduszko, ażeby żadne nasionko brudu nigdy go nie skalało: odziedziczyła po nim że tak powiem, tę prawość charakteru, wygórowaną miłość prawdy, i energję do zastanowienia. Z tego podwójnego i tak różnego wychowania, nastąpiła w swych skutkach doskonała całość. Pełna pobłażliwości, uniewinniająca każden postępek drugich,

nie czuła nigdy żadnej niechęci, żadnego gniewu lub obrazy. Postępowanie zaś swoje z otaczającemi ją osobami, umiała z całą otwartością i naturalnością zastosować do ich usposobień, charakteru i pojęć; w każdej choć najnudniejszej na pozór rozmowie, znajdowała przyjemność, potrafiła tak zręcznie ją skierować na jakiś zajmujący przedmiot, tak ożywić nic nieznaczącą drobnostką, że każdy choć najbardziej zarozumiały umysł, musiał jej przyznać tę pewną wyższość, i uczuć pomimowolny wpływ miluchnej dziewicy. To też począwszy od rodziców, kochali ją serdecznie wszyscy, nawet i zazdrosna burmistrzowa.

Pracowita, wesoła, kochająca, musiała zajrzeć codziennie w każdy kącik mieszkania, pomagać matce w gospodarskich zajęciach, bawić się jak dziecko lalkami z moją siostrzyczką, rozmawiać z porucznikiem i Duszakiem o hiszpańskiej wyprawie Napoleona; a przytem z taką dokładnością cytowała daty i miejsca batalij, jak gdyby nie z opowiadań ojca swego, lecz z własnego przekonania je znała.

Naukowa strona umysłu Stefci nie leżała również odłogiem. Pułkownik dobierał jej najzacniejszych i najzdolniejszych nauczycieli, przewodnicząc im swojem doświadczeniem i nauką. To też w tej pięknej główce było wiele, wiele wiadomości, ale i skromności jeszcze więcej: każde zda-

nie wychodziło z ust jej nieśmiało, w całej rozmowie nie było najmniejszego odcienia pedanterji. tak zwyczajnej więcej ukształconym umysłowo panienkom, nie było żadnej chęci popisywania się z swoją nauką. A znała wybornie historję i literaturę krajową, posiadała gruntownie języki francuzki i niemiecki, i nauki przyrodnicze obcemi dla niej nie były. Lecz długo o tem nikt z nas nie wiedział, ani się tego mógł domyśleć, bo starannie ukrywała wszystko, czemby się mogła wywyższyć nad innych.

Pan porucznik z całym zapałem i poświęceniem oddał się swej pułkownikównie: o niczem nie myślał jak o wynajdywaniu dla niej przyjemności, o niczem nie mówił, jak o niej; z tą myślą kładł się spać, z tą wstawał i z tą się modlił. Gdy spotkał kogo ze znajomych, zaraz wyliczał mu przymioty nieocenionej Stefci.

— To złotko, mosanie, czyste złotko — powtarzał — i w głowie pięknie, i w serduszku jeszcze lepiej; kto to weźmie, szczęście zabierze samo! A ciepła mosanie! boć tu jest sumka porządna — mówił klepiąc ręką po kieszeni — piętnaście tysięcy okrąglutkie i czyściutkie jak szkło!

Wszystkie dawne przyzwyczajenia, których nawet matka wykorzenić nie zdołała, składał na ofiarę u nóg swej wychowanki. Już i wąsy przystrzygł tak jak pan pułkownik nosił, bo tak Stefcia

chciała, i węgierki sobie nie restaurował, bo panna pułkownikówna uznała to za niewłaściwe, i tytoniu nie przyrządzał, bo Stefcia powiedziała że kupny jest lepszy i przyjemniej pachnie. Kochała go też za nas wszystkich może. On zaś był ciągle z winnem uszanowaniem dla pułkownikowskiego dziecka; nie poważał się nigdy sam bez jej prośby pocałować pięknego czoła dziewczęcia, gdy spała chodził na palcach, zaglądał przez dziurkę od klucza, podsłuchiwał czy nie wstała, aby powiedzieć przezedrzwi dzień dobry, i oznajmić jaką przyjemną nowinkę. Gdy mu raz wymawiała owe żołnierskie honory, jakie dla niej robił, i te formy uszanowania; rozśmiał się tylko pociesznie, odpowiadając:

— W osobie panny pułkownikówny jest dla mnie sam pan pułkownik; a znam karność mosanie, na tem się zęby zjadło!

— Dajże pokój panie kapitanie z tą panną pułkownikówną — odrzekło śmiejąc się dziewczę — to takie długie imię: chciałabym coś krótszego!

— Nic nie pomoże, moja panno pułkownikówno — odpowiedział robiąc front porucznik — to tak się należy.

— A gdybym ja prosiła o krótsze.

— Tobym odmówił, z przeproszeniem panny pułkownikówny.

— A gdybym jako pułkownik rozkazała? — zawołała śmiejąc się Stefcia.

— To... to... pomruknął zdziwiony ojciec — to być nie może!!

— Właśnie że być może, ja tego chcę, bo będę płakać.

— Dobrze, dobrze moja panno pułkownikówno, rób co chcesz ze mną, a nie płacz, mosanie! — przemówił żywo porucznik i spojrzał na nią z uczuciem.

— Więc proszę mi mówić poprostu Stefciu.

— Nie mogę, panno pułkownikówno!

— Cóż znowu! — przemówiła niby zagniewana — to rozkazuję!

— Tak, to co innego — odrzekł smutnie ojciec — muru głową nie przebiję.

— A widzisz panie kapitanie, widzisz, że musiałoś się zgodzić! Wygrałam zakład! — i poczęła klaskać w rączki podskakując po pokoju.

— Jaki zakład, mosanie?

— Przed chwilą mówiłyśmy o tem z mamą: ona dowodziła, że nie potrafię tego wymódz, ja zaś przeciwnie, że pan kapitan dla mojej miłości to zrobi, i wygrałam, wygrałam! — powtarzała wesoło.

— Eh! — zawołał machnąwszy ręką — ale i panna pułkow....

— Stefcia — przerwało dziewczę.

— Niechże będzie panna Stefcia.

— Żadna panna, bardzo proszę! Pan kapitan zmienia rozkazy.

— No to już i Stefcia, mówił rumieniąc się porucznik — niechże Stefcia również nie zna żadnego pana kapitana, bo chociem porucznik mosanie, ale i ten tytuł zniknąć musi, gdy pułkownikównę z kontrol wykreślamy.

— Ślicznie! Ślicznie! — zawołała wesoło Stefcia chcąc pocałować starego w rękę, którą jej ze wstydem odsunął. — Ojcem będę cię nazywać, kochanym ojcem! — i nie zważając na zdumienie porucznika, rzuciła mu się na szyję, objęła rękami jego głowę, a całując poorane lica, wołała z radością: „Miałam matkę drugą, mam teraz i ojca, mam!“

Porucznik nie wiedział co z sobą zrobić; wszystko to odbyło się tak niespodzianie, tak nie mogło się pomieścić w jego głowie, żeby on, porucznik, miał być nazywany ojcem prześlicznej panny pułkownikówny, że przez chwilę nie bronił uścisków Stefci, i nie pojmował jak tu z tego wybrnąć.

— Tfu! do miljon furbeczek okrętów bataljonów! — zawołał z gniewem gdy Stefcia wybiegła do matki, i pociągnął mocno siwego wąsa. — Djablo się złapałeś! ot i nowy kłopot. Nie ma sposobu, stało się: głupiś stary! — fuknął ude-

rzając się w czoło. — A co sobie też pomyśli pan pułkownik w niebie, żeś tak się zapomniał?

— Ucieszy się niewymownie — dokończyła smutnie wracająca Stefcia. — Złe masz wyobrażenie, kochany ojcze....

Tu wzdrygnął się i zarumienił porucznik, przerywając: — Daj pokój, daj pokój panno pułko........ Stefciu.

— Niechże dokończę przecie kochany ojcze, — mówiła dalej Stefcia, — złe masz wyobrażenie o moim pierwszym ojcu; on tak cię kochał, tak mi kazał cię również kochać, więcej nawet jak siebie, a ty za to niewdzięczny jesteś i gniewasz się na jego córkę!

— Gdzie się tam gniewam, moja panno pułk.... Stefciu, — ktoby się też na ciebie drogie dziecię mógł gniewać — rzekł ojciec przytulając ją do piersi, — na siebie się gniewam, żem pozwolił się złapać.

— Eh! to niepotrzebne wcale! Pójdź, pójdź — powtarzała ciągnąc go za rękę — przedstawię cię mamie: dopieroż się ucieszy! — I śmiejąc się wesoło, i spoglądając przenikająco w chmurne oblicze ojca, poprowadziła go do pokoju matki.

Nie dziw więc że ja w wiośnie życia, z duszą pełną młodzieńczych marzeń, z miłością całego świata, patrząc codziennie na tyle wdzięków Stefci, na te coraz jaśniej odkrywające się przymioty jej

pięknej duszy, mimowolnie, nie wiedząc o tem pokochałem ją całem sercem i zapałem pierwszej miłości. Pomijam tu owe drobniutkie ścieżki, po jakich uczucia wpływają do duszy; nie będę opisywał tych rumieńców na widok ukochanej osoby, tych ognistych i niemych spojrzeń, co to dla obcych niezrozumiałe, a dla kochanków najwymowniejszą rozmową się stają: bo to wszystko tak oklepane, tak znane, nie tylko z doświadczeń osobistych każdego człowieka, lecz i z tysiącznych opisów. Zresztą jeżeli prawdę mam powiedzieć, sam wtedy ich nie rozumiałem; czułem wprawdzie skutki, lecz przyczyny dojść nie byłem w stanie. I nie bardzo usiłowałem je odgadnąć: mnie tak było dobrze przestawać z prześliczną i wesołą Stefcią, tak szczęśliwy byłem najdrobniejszą jej łaską, jaką mię kiedyniekiedy obdarzała, że niepragnąłem nic więcej, nie myślałem nawet o innej rozkoszy nad tę, aby patrzeć wiecznie w ocienione długą rzęsą modre oczęta, starać się uprzedzać każdą jej myśl, każde żądanie wprzód, nim one wyroiły się w nadobnej główce dziewczęcia.

Każdego ranku, gdy jeszcze spała, biegłem do ogrodu dziekana, zwijałem bukiet z najpiękniejszych kwiatów, jakie tam znaleźć mogłem, i kazałem służącej stawiać na stoliczku jej obok toalety, by przebudziwszy się, spojrzała na swoje rówienniczki, tak piękne i niewinne jak ona.

O godzinie siódmej już cały dom był w ruchu: albowiem taki porządek zaprowadziła matka, że rano ubierała się już na cały dzień, bez tych wybrednych neglіżów, które zajmują tyle drogiego czasu na przebieranie się. Za przykładem matki, Stefcia i siostra również rano kończyły swą tualetę. Wszystko było w zwyczajnym porządku; pokoje uprzątnięte czyściutko, schludnie i niepotrzeba było obawiać się rannej wizyty, bo każda rzecz była na swojem miejscu tak, jakby umyślnie na kogoś oczekiwano. Potem chodziliśmy na mszę z ojcem i matką, a wróciwszy, zabieraliśmy się do właściwych sobie zatrudnień.

Stefcia z małą moją siostrą, poruczone miały gospodarstwo drobiu. I trzeba było widzieć te obie dziewczynki, z jakąto radością wybiegały przed sień, niosąc w fartuszkach różne przysmaczki dla swoich ulubieńców, gromadnie czekających na nie. Kury, kurczęta, kaczki, gołębie, znały je doskonale; podskakiwały wesoło, szarpały za suknie, świergocząc i ciesząc się po swojemu; one zaś każdemu poszczególe nadawały rozmaite nazwiska, pieściły się z niemi, rzucając obficie ziarnka i pilnując porządku. A co to było żalów, nawet i płaczu, gdy jakiej czubajki zabrakło nazajutrz, i gdy domyśliły się, że padła pod nożem srogiej Małgosi! Już wtedy nie można było namówić żadnej do skosztowania na et kawałeczka pieczy-

stego przy obiedzie: kiwały smutnie główką. wyliczając nieoszacowane przymioty nieboszczki, i półgłodne wstawały od stołu.

Do południa, każdy gorliwie zajmował się swoją pracą: kobiety szyły, haftowały, siostra się uczyła pod kierunkiem matki lub Stefci, my zaś z ojcem wychodziliśmy w pole obejrzeć urodzaje lub dopilnować robót tam prowadzonych.

Po obiedzie dopiero czytywaliśmy książki w ogrodzie gdy pogoda, a gdy słota, w domu. Ileżto razy splakaliśmy się serdecznie nad nieszczęściem bohaterów powieści; ile razy ucieszyli lub uśmiali z ich dziwacznych przygód, jak np. Robinsona Kruzoe. Zwykle matka wprzód czytała sama każdą książkę, nim ona nam się dostała; nie były to żadne Balzakowskie, ani Sandowskie i im podobne romanse: poprostu powiastki nieoszacowanej Tańskiej, coś z Magazynu dla dzieci, Robinson szwajcarski, Rózia na Tenenburgu i wiele innych w tym rodzaju.

— W tym czasie i tym wieku, jak są moje dzieci — mówiła — lepiej żeby nie znały złego, pod jakąbądź formą ono się ukrywa, chociażby nawet przedstawiane było w celu obrzydzenia sobie występku i unikania go. Umysł ich młody pochopniejszy do tego wszystkiego, co niewolno może kiedyś najniewinniej korzystać z tych sposobów i zabiegów, jakich używali bohaterowie po-

wieści, dlc dopięcia niecnych zamiarów. Młodemu sercu obcem ma być wszystko to, co oburza prawość, szlachetność i cnotę; niech ile możności najdłużej pozostanie w błogiem przekonaniu dzieciństwa i niewinności, niech się nie zraża złością i podłością ludzką, bo to ich całe szczęście, to wiek ich najpiękniejszy, gdy wszystko widzą dobrem i pięknem na ziemi.

Po czytaniu następowała przechadzka w pole, lub nad brzegi Wisły. Tu już moja znajomość botaniki na coś się przydała: rwaliśmy kwiatki, ja objaśniałem ich układ, wyliczałem gatunki i użytki z niejaką dumą nawet, bo miałem tak nadobne uczennice, które z chciwością prawie pochłaniały nauki mało starszego od nich mentora. W wieczór wróciwszy znużeni, słuchaliśmy z zajęciem prześlicznych śpiewek Moniuszki, mazurków Nowakowskiego lub skocznyzh krakowiaków, oddanych z całem uczuciem i wdziękiem przez młodą artystkę. Pamiętam dziś jeszcze te poważne, pewne rzewności i smutku, polonezy Ogińskiego, odbijające wdzięcznie ducha owych czasów, gdy były pisane. Stary mój ojciec chodził po pokoju z smutnie zwieszoną głową, rozpamiętywając owe szybko ubiegłe chwile młodości, w których podobna nuta może inaczej pojmowana, ożywiała jego pierś, i prowadziła w życie później, pełne zapałów i burz, pod osłoną honoru i sławy. Wkrótce

zmienia się ton dźwięcznego fortepianu, wesoła piosnka żołnierska z całą mocą i energją oddana, wygładza z serca dawną tęsknotę. Porucznik się zatrzymuje, slucha, mimowoli marszczki znikają z czoła, oko żywszym zaświeci ogniem, noga do marszu naprzód się wysunie, i stary drżący głos wojaka, łączy się z dźwięczną nutą dziewczęcia:

Idzie żołnierz borem, lasem,
Przymierając głodu czasem,
Suknia na nim nie blakuje,
Wiatr dziurami wylatuje i t. d.

Skończyli. Wzruszenie ogarnęło wszystkich, porucznik w postawie marsowatej zda się gotów przypuścić szturm z bagnetem w ręku, porywa zdumiałą Stefcię w objęcia, tuli do siebie okrywając całusami, i ledwie dosłyszanym głosem powtarza: „Dziękuję ci moje złotko, dziękuję, niech ci Bóg zapłaci za to szczęście, jakiem napełniłaś mą duszę!“ I z tego nieznacznie przypomni sobie jakąś wyprawę, pogładzi wąsa, rozpowiada z takiem zajęciem i żywością, że niepodobna słuchać go obojętnie, i nie czuć jakiegoś uwielbienia dla tej walecznej garstki, co to choć z fałszywą i źle pojętą ideą, narażała tylekroć swój honor i życie, Bóg wie dla kogo i za co!

Takto upływały nam chwile, przerywane kiedyniekiedy odwiedzinami łaskawych sąsiadów, maleńką wycieczką w okolicę lub inną nową rozrywką, bez cienia smutku, bez nadzwyczajnych trosk i

kłopotów. Ojciec nie widział, ani domyślał się mojej skłonności do pułkownikówny. Wszystkie zabiegi, grzeczności, zabawy, uważał tak naturalnemi i właściwemi, że nieraz oddawał mi szczere pochwały, jak umiem pojmować myśl jego, starając się uprzyjemniać chwile ukochanej jego sierocie. Matka, jako kobieta więcej mająca przenikliwości, może i dostrzegła to niewinne i szczere uczucie, budzące się w mem sercu; bo trudno dziecku ukryć przed okiem matki swe myśli, gdy te objawiają się w każdem jego słowie i czynie. Lecz najmniejszem słowem, gestem nawet, nie objawiała tego i nie krępowała niczem dotychczasowych naszych stosunków. Może cieszyła się niemi, może marzyła piękną przyszłość, może... bo któż tam odgadnąć potrafi tysiączne marzenia matek o szczęściu swych dzieci. Dość, że w tym stanie swobody upływały szybko dni, tygodnie i miesiące; nastąpiła smutna jesień, minął czas udania się na kursa prawne, a ja siedziałem w domu rodziców niepomyślawszy o przyszłości, nie naglony przez nikogo do wyjazdu; gdyż ojciec zaprzątnięty swą wychowanką, zdawał się zapominać o wszystkiem, co nie dotyczyło kochanej Stefci; matka zaś, ani razu nie wystąpiła z podobną propozycją.

Ale niestety! wszystko na świecie musi mieć swój koniec! Mały napozór i śmieszny wypadek, odkrył cały ogrom mojego uczucia, pozbawił uro-

czych chwil szczęścia jakich dotąd kosztowałem, i sprowadził burzę na głowy tych, którym życie nie wahałbym się poświęcić.

Było to w początkach listopada. Chociaż wedle wyrażeń ojca byłem człowiekiem, choć ukończyłem szkoły i miałem lat ośmnaście, jednak pustota młodości nie wywietrzała z głowy, figle dzieciństwa, nierozsądek, siedziały sobie w zakątku duszy, i kiedyniekiedy pokazywały się dość śmiesznie w mojem postępowaniu. Otóż jednego dnia po obiedzie, zwabiony pięknością zimowych jabłek, będących w naszym ogrodzie za domem, a których jeszcze nie otrząśnięto, wymknąłem się nieznacznie, i dalejże drapać się na drzewo jak ten dziesięcioletni chłopaczek. Urwałem już kilka postępując coraz wyżej po rozłożystych gałęziach, aż tu naraz zda mi się spojrzeć ku drzwiczkom, i widzę wchodzących do ogrodu matkę, Stefcię i młodszą siostrę, a za niemi z fajką w ustach wolno postępującego ojca. Zimny pot wystąpił na czoło; poznałem nierozsądek mojego postępku, a tu już nie było czasu zejść z drzewa, żeby mnie nie dostrzeżono, bo jak na złość, jablonka stała przy prostej uliczce wiodącej od furtki. Nagle przyszła mi wyborna myśl, ukryć się na drzewie spokojnie, i czekać póki nie przejdą. Polazłem więc wyżej na drzewo, usadowiłem się jak można najlepiej. i z bijącem sercem czekałem ich przejścia. Aż tu

na nieszczęście, gdy byli może na pięć kroków od jabłonki, czuję że gałąź trzeszczy pod mojemi stopy, za chwilę łamie się, a ja z ogromnym łoskotem padłem jak długi przed oczami przelękłej rodziny. Z początku krzyk przestrachu, później serdeczny śmiech doleciał mych uszu. Wystawcie sobie moje krytyczne położenie, gdym czerwony jak pons, z wypchanemi kieszeniami jabłek, podniósł się z ziemi, nie śmiejąc spojrzeć przed siebie.

— A to mi ptaszek, mosanie — zawołał ojciec pół gniewno. — Czyś ty się chciał powiesić czy co?

Ja ani słowa przemówić nie mogłem, tylko stojąc pośrodku złamanej gałęzi, spuściłem smutnie głowę, gdy tymczasem kobiety nie przestając chichotać, usiadły na poblizkiej darniowej ławeczce.

— Ot masz tobie! — mówił dalej ojciec — to młodzieniec dorosły, a figle w głowie: taką prześliczną gałąź złamać! Tfu! do miljon furbeczek, kazałbym sobie za to dwadzieścia porządnych kijów przylepić! Wstydź się drągalu łazić jak kot po drzewach! No i czegóż stoisz jak niemy? Pozbieraj jabłka, uprzątnij gałąź i ruszaj z Bogiem!

Machinalnie wypełniłem rozkaz, i nie spojrzawszy za siebie, zgniewany, zawstydzony, wolnym krokiem przeszedłem uliczkę aż do furtki, nie zważając wcale na wołanie matki i wesołe żarty porucznika. Za progiem dopiero, nacisnąwszy czapkę na uszy, jak strzała puściłem się w bezludną

ulicę miasta, i słyszałem tylko z daleka, jak śmiejąc się porucznik uspokajał kobiety wołając:

— Nie kłopoczcie się o niego, pewno się nie utopi; pobiegł na pole nie ku Wiśle!

Ujrzawszy się samotnym, dopiero rozpuściłem wodze moim żalom. I jak to zwykle się dzieje, zamiast obwiniać siebie, szukałem przyczyn pochodzących od innych. Naturalnie że zwróciłem je ku Stefci, śmiejącej się tak serdecznie z mego niefortunnego wypadku.

Jak ona mogła śmiać się ze mnie — myślałem — ona, dla którejbym wszystko oddał, żeby sprawić jej jakąś przyjemność! Rodzicom to wolno, ale ona? fe! nie spodziewałem się tego po jej sercu! — i zakończyłem ten gorączkowy monolog mimowolnym wykrzyknikiem: Takieto są kobiety, wierz im!

Do późnej nocy wałęsałem się po polach, nie śmiejąc wrócić do domu; nareszcie gdym uważał, że wszyscy spać już muszą, wszedłem cichaczem do mego pokoiku, postanowiwszy naprawdę gniewać się na Stefcię.

Nazajutrz w dopełnieniu tej obietnicy, nie przyniosłem jej świeżych kwiatów, nie powitałem zwyczajnem dzień dobry, nie spojrzałem na nią, tylko chmurny, milczący, zaraz z rana wynalazłem jakiś powód, i wydaliłem się z domu. Nie uszło to uwagi chwilowej mej nieprzyjaciółki, bo

gdy odprowadziła mnie wzrokiem do drzwi, i pytała jak prędko powrócę, znać było niejakie drżenie w głosie, i smutek malujący się w tych drobnych oczętach. Ma się rozumieć, że jej nic nie odpowiedziałem, ani spojrzałem w jej stronę wychodząc, co tem bardziej potwierdziło jej domysł, że się gniewam.

Nie wiem co się tam działo w domu podczas mojej nieobecności, to tylko wiem, że całe popołudnie zdawało mi się nieznośnie długiem, choć chwila powrotu na obiad nie bardzo mnie przynęcała. Z zamyśloną więc twarzą, z bolesnym odgłosem w sercu wczorajszego wesołego śmiechu, wracając ani się nie spostrzegłem, gdy niedaleko mieszkania uczułem na ramieniu rączkę mej Stefci i usłyszałem przenikające jej słowa: „O co się gniewasz tak na mnie mój panie Janie?“

Chociaż z myślą urojonego gniewu, choć z wielkim zapasem ułożonych wymówek, któremi miałem ją obsypać przy pierwszej lepszej sposobności, spojrzawszy w tej chwili na tę piękną twarzyczkę, wymownie odbijającą wewnętrzny smutek, stałem się jak niemy, a słowa gniewu skonały na ustach.

— No i o cóż się gniewasz, panie Janie? — powtórzyła dobitniej przeszywając mnie swym wzrokiem.

— Jakże się nie mam gniewać — odpowiedziałem drżąco — gdy wczoraj miałem tak oczywisty dowód jej życzliwości.

— To dziecińśtwo, mój panie Janie! Nie spodziewałam się wcale, byś pusty wczorajszy śmiech brał na serjo, i tak surowo mnie sądził.

— Ależbo nie godziło się tak żartować ze mnie, zwłaszcza gdy jabym dla panny Stefanji wszystko poświęcił, byle widzieć ją wesołą i szczęśliwą.

— Więc przebacz kochany panie Janie! Bóg widzi, nie miałam najmniejszego zamiaru cię obrazić. Ot widzisz, pustota młodości i nic więcej; nie gniewaj się, nie gniewaj, podnieś to czoło, rozwesel oczy! — mówiła dalej, podnosząc ręką do góry rozdąsaną moją głowę.

- Ja się też wcale nie obraziłem, — odrzekłem nieco wzruszony, — i tylko.... tylko przekonałem się, że jestem dla pani tak sobie, studentem, z którego śmiać się można do woli, i że nie mogłem dotąd zasłużyć na iskierkę jakiegoś..... współczucia.

Dziewczę oblał żywy rumieniec, spuściła oczy, jakby się namyślała przez chwilkę, nareszcie porwawszy szybko obie me ręce, spojrzała tym wzrokiem, co to porusza wszystkie tętna naszego serca, i przemówiła z wyrzutem:

— Więc pan takeś przypuszczał naprawdę?

Milczałem.

— I pan mogłeś pomyśleć nawet o tem. — dodała potrząsając me ręce — wstydź się! Ja całą noc płakałam, myśląc o mojej wczorajszej pustocie. Mało mię znasz jeszcze, och mało!

Drżąc, czułem napływającą krew do głowy, nieprzytomny, nie wiedziałem na którym jestem świecie.

— Panno Stefanjo! Stefciu! — wymówiłem ledwie dosłyszanym głosem i ze łzą w oku: przebacz mi, przebacz, bo ja cię, bo.... cię... zanadto kocham! — dokończyłem zakrywając twarz rękoma.

— I ja...: także... — szepnęło po chwili dziewczę, spuszczając oczy i skubiąc trzymaną rękawiczkę.

— Czy tak, czy tak? — zawołałem uszczęśliwiony z pałającym wzrokiem, i opromienionem niezniemską rozkoszą obliczem. — O! powtórz, powtórz to słowo!

— Tak, kocham cię, — powiedziała już śmielej i porwała szybko pod rękę, prowadząc ku domowi.

Szliśmy milcząco: bo i cóż można było mówić w tej uroczystej chwili, w której tysiąc tysięcy myśli leciało tłumem do głowy, gdzie wszystko zmieszane w ogromny chaos, rwało się, łączyło, nurtowało i przenikało w niepojętych kształtach i barwach nie do opisania. Podobną rewolucją uczuć.

raz tylko w życiu doświadczyć można; więcej się ona nie powtórzy, bo raz tylko człowiek kochać może z tą siłą niezrównaną, i zapałem młodej nieskażonej żadnym występkiem duszy.

Wy! którzyście wprzód, nim to święte uczucie miłości zaświtało, do serc waszych, dotknęli ustami czary przepełnionej rozkoszą grzechu, żałujcie tej szczytnej a bezpowrotnej chwili, bo ona byłaby dla was ową gwiazdą polarną, tą magnesową igłą w dalszej żegludze życia! Onaby przewodniczyła wszystkim szlachetnym czynnościom i wyższym polotom duszy; ona we wszystkich dolegliwościach waszych byłaby tym bezpiecznym portem, w którym skołatany umysł mógłby się schronić przed natarczywością burz świata tego; onaby nakoniec wpoiła w was błogie przekonanie, że śmiało urągać możecie śmierci, gdyż lepsza przyszłość was czeka, której już próbkę mieliście na ziemi!

Porucznik widząc nas wspólnie wracających z zarumienionemi twarzami, na których błyszczało samo szczęście, mówił do matki:

— Widzisz moja Zosiu, już są w najlepszej komitywie; wiedziałem o tem, bo to młodzi jak skorzy do gniewu, tak jeszcze prędsi do przeprosin.

Jakże wtedy pragnąłem samotności! Cóżbym nie oddał za jedną godzinkę wolną, bym mógł uporządkować jako tako swe myśli, i ogarnąć choć cząsteczkę tego uczucia, jakiem przepełnione była

dusza. Lecz gdzież są róże bez kolców, światło bez cieni, lub bez chmur pogoda? Otoż temi kolcami dla mnie był podówczas obiad, i wesołość nadzwyczajna ojca.

— Aha! jesteś nam zbiegu! — mówił uśmiechając się, — wstyd było wczorajszych jabłek, i gniewało się na nas mosanie! Czy to potrzebne takie figle? Widzisz, zmartwiłeś Stefcię, że biedaczka miejsca sobie znaleźć nie mogła!

Jak to tam szedł obiad, łatwo sobie wyobrazić. Jedliśmy nie jedząc, co dawało powód do serdecznego śmiechu obecnym, nie mogącym pojąć naszego roztargnienia.

— Stefciu kochana! kto to widział pieprzyć naleśniki. Jasiu uważaj! kładziesz tyle fasoli na talerz, że nic nie zostanie dla drugich. Co u Boga im się dziś stało? — mówił śmiejąc się porucznik. — Patrzaj, patrzaj żono, podniósł widelec z pieczenią do ust, mięso upadło na talerz, a on pusty widelec wpakował!

— Daj mu pokój, mój mężu — odrzekła matka, spoglądając bystro na nas, i potrząsając głową — widocznie jest rozdrażniony, niech się uspokoi.

Skończył się wreszcie ów nieznośny obiad, zerwałem się prawie najprzód, lecz zamiast podziękować matce, musnąłem ogniście czerwoną rękę Małgosi, która sprzątając nakrycie, uwijała się

koło stołu. Tu już i Stefcia powstrzymać się nie mogła od śmiechu i ja sam musiałem towarzyszyć ogólnym wybuchom wesołości.

— A to straszne rzeczy — zawołał ojciec trzymając się za boki — co ci się stało chłopcze, powiedz?

— Nic, proszę ojca, zamyśliłem się to o tem, to o owem...

— Ciekawym, co ty tam masz do myślenia — chyba znowu o jakich gruszkach, hę?

— Nic, proszę ojca, wcale nie.

I chcąc zwrócić na inny przedmiot rozmowę, zapytałem, czybyśmy co nie przeczytali, bo dostałem śliczną powiastkę pani Tańskiej.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział ojciec zapalając fajkę — czytaj, tylko uczciwie!

Pierwsza i druga stronnica poszła jako-tako, lecz na trzeciej myśl moja pobiegła gdzieindziej: czytałem bez najmniejszego zastanowienia się, opuszczając przecinki, średniki, kropki: przekręcałem nielitościwie wyrazy tak, że stary nie mogąc powstrzymać gniewu, wyrwał mi z rąk książkę, mówiąc:

— Waćpan dziś do niczego, mosanie! Idź spać i kwita! — a podając ją Stefci, dodał: — Słuchaj jakto Stefcia będzie czytać, to aż miło słuchać nie tak jak ty: me, me, me, jednym głosem jak baran!

Usunąłem się na bok skonfundowany; lecz zadowolniony poczęści, że swobodnie będę mógł myśleć o sobie. Stefcia z początku czytała z uczuciem; porucznik zdawał się cały przelać w zmysł słuchu, bo wlepiwszy swe oczy w twarz pułkownikówny, siedział bezwładny, połykając każde słowo wychodzące z ust jego wychowanki. Lecz powoli, powoli, zaczęła się mieszać, przekręcać wyrazy, niestosować głosu do opisywanych tam uczuć: słowem, myśl jej również uleciała za obręb książki. Porucznik to się podnosił, to sykał, to poprawiał na krześle, widocznie zniecierpliwiony; nareszcie zerwal się szybko i zakrywając dłonią czytaną stronnicę, przemówił z żywością:

— Nie! coś się w tem święci! To niepodobna. i ona tak samo czyta. Daj pokój, daj pokój Stefciu! — a obracając się do matki, dodał: — moja Zosiu, co im się mogło zrobić? może ty wiesz kochanie, powiedz, bo ja gubię się w domysłach. Mówią, że się gniewają, prowadzili się tak pięknie pod ręce, to chyba pozór? Oni się gniewają i tylko dla oszukania nas tak twierdzą. Oho! mosanie, nie oszukasz starego lisa, nie!

I gdy matka nic nie odpowiadając uśmiechnęła się na tę zarozumiałość ojca, on tymczasem porwał mię za rękę, przyprowadził przed Stefcię wołając:

— Przeproś zaraz! przeproś ty zuchwalcze!

Naturalnie że parsknęliśmy oboje śmiechem, spojrzawszy sobie w oczy, a porucznik odskakując bił się ręką w czoło, mrucząc: — komedja, mosanie, istna komedja!

Wtedy dopiero matka wystąpiła w roli pośredniczki, pogodziła zwaśnione umysły proponując spacer w pole, dla obejrzenia kopiących się kartofli.

Ileżto przez całą drogę nagadaliśmy sobie pięknych rzeczy, ile to przypuszczeń, widoków na przyszłość snuło się w tych młodych głowach kochanków, to już wypowiedzieć trudno! Lecz jak każde szczęście jest zamałe dla nas gdy je osiągniemy, żądając coraz większego; tak i w tych rozmowach wmieszać się musiało natrętne pytanie: „co z tego będzie?“ Uradziliśmy tedy, by znalazłszy sposobną ku temu chwilę, objawić naszą miłość rodzicom: to jest ja ojcu, a ona matce; tymczasem zaś kochać się szczerze, okazywać sobie nawet niejaką obojętność w ich przytomności, i starać się ile możności podobać rodzicom, by łaskawszem okiem patrzyli na nasze uczucia. Podobne żądanie bardzo sprawiedliwie wydać się może zbyt prozaicznem, lecz że tak było przyznaję, bo dzisiaj już nikt nie umie czekać tak, jak bohaterowie średniowiecznych czasów; dziś wiek rachuby, a my byliśmy jego dziećmi.

W istocie przez cały następny tydzień, mało co zajmowaliśmy się sobą, wynagradzając tę udaną

oziębłość wymownem spojrzeniem, tajemnem ściśnieniem ręki, lub jednem cichem słówkiem, które starczyło za wszystko. Gorliwość moja w ujęciu ojca przybrała nieograniczone rozmiary; reparowałem z nim zegar, robiłem ćwiczenia łacińskie, uczyłem się nawet rozmówek, by zagadnąć czasem jego ulubionym językiem, słuchałem z zajęciem już kilka razy powtarzanych przez ojca dykteryjek, prowadzilem dyskursa filozoficzne z zadziwiającą trafnością: słowem, osiągnąłem cel moich zabiegów. Porucznik bowiem nie mógł się wydziwić tej nagłej zmianie i pewnej rezolutności w odpowiedziach, ani pojąć tego, jak nazywał taktu, w całem mojem postępowaniu. Przypisywał wszystkie odmiany ostatniemu wypadkowi w ogrodzie.

— Chłopiec się utemperował, mosanie, glupstwo napędzilo rozumu do głowy; dobrze, dobrze mój synu, lubię takie serce, lubię podobną mowę, kontent z ciebie jestem zupełnie. A to wiele znaczy mosanie, bo wiesz, oszczędny jestem w pochwałach dla drugich. Pomyślmy o twoim wyjeździe, bo byłby już czas kochanie!

Właśnie też najwięcej się bałem owego wyjazdu: ani przypuścić moglem, że musiałbym pozostawić samą Stefcię, która kochała mię tak bardzo, że nie mógłbym patrzeć w jej śliczne oczy, które były dla mnie całym światem, słyszeć jej

głosu dźwięcznego, który przenikał moją duszę, i znajdował w niej tak wierne odbicie.

Ale inaczej myślała Stefcia: ona choć młodsza odemnie, jednak wychowana pod okiem rozsądnego ojca, pojmowała zdrowo nasze położenie, i nie wachała się powiedzieć, że wcale nie podziela mych rozkosznych marzeń o przyszłości.

— Ojciec twój — mówiła — ani matka, nie pozwolą teraz na nasz związek. Choć nie tak dawno przebywam z nimi, jednak znam ich doskonale; zresztą widzę to sama, że mamy nierozsądne żądania. Proszę cię, tyś młody jeszcze, niedoświadczony w życiu praktycznem, ja toż samo dziecko, cóżbyśmy zrobili z sobą, cobyśmy przedsięwzięli dla naszego bytu?

— Więc chyba mię nie kochasz? — odrzekłem zadąsany.

— Jak możesz tak myśleć, Jasiu! Przysięgam ci na pamięć najdroższego ojca, na wszystko, co tylko kocham, że niczyją nie będę nigdy, jak twoją!

Ucałowałem tylko jej rączęta, przepraszając za tak niewczesne powątpiewanie, i dowodziłem gorąco: iż moja nieskończona miłość dała mi tyle odwagi i wytrwałości, że pracując usilnie, potrafię przy Boskiej pomocy zapewnić wygodny byt jej i sobie.

— Wierzę twym słowom, mój Jasiu, wierzę — odpowiedziała smutnie — lecz pewna jestem odmowy ze strony ojca. On choć nas tak kocha, choć chciałby każdemu nieba przychylić, jednakże zanadto wielki uroił sobie przedział między nami. Widziałeś sam, co go to kosztowało, nim pozwolił się nazywać ojcem; cóż dopiero będzie, gdy się dowie, że ty oświadczasz się o moją rękę. Dalej, przyznaj sam, nie masz żadnego stanowiska na świecie, majątku nie posiadamy oboje, bo ten mały kapitalik należący do mnie nic nie znaczy w porównaniu z przyszłością, jaka się przed nami otworzy.

— A matka czyż nie przyczyni się za nami — przerwałem — matka co nas kocha nad życie?

— Prędzej mój Jasiu, ojciec samby zezwolił, niż matka; ona zbyt rozsądna, by w tem żądaniu nie widziała nic więcej, prócz dziecinnych zachceń.

— Eh! wszystko to są twoje urojenia, kochana Stefciu, zbyt czarno spoglądasz na całą sprawę; ja, przeciwnie, jestem przekonany, że się dobrze uda i będziemy szczęśliwi.

— Oby to Bóg dał! — dokończyła Stefcia — wtedy większa byłaby dla mnie radość, jako nieprzewidziana; jednakże, czy tak czy owak się stanie, jestem spokojna: znam twoje serce, i wiem, że wcześniej czy później my się połączymy! Wszak

młodzi jesteśmy oboje, cóż znaczą dla serc kochających się stale, dwa lub trzy lat przewłoki?

— Nie mówmy już o tem, moja Stefciu, nie zrażaj mię swoją przewłoką, tylko jutro wyznaj przed matką, a ja ojca biorę na siebie.

Całą noc tedy przeleżałem, myśląc o jutrzejszej rozprawie. Ułożyłem sobie cały porządek rozmowy; powtórzyłem go, kategorycznie rozebrałem, prawie nauczyłem się dosłownie. Widząc taką przychylność dla mnie ojca, ani wątpiłem o pomyślnym rezultacie. To też już naprzód odpowiadałem sobie za niego, według moich zamiarów, wyobrażałem radość, jaka mię spotka, układałem wcale poetyczny obraz naszej przyszłości, i różne, różne następstwa, które tak cudnie umie roić nasz umysł, gdy mu pozwolimy puścić nieograniczone wodze i przebiegać całe lata w sekundzie, zostawiając na boku rozsądek i lodowate oblicze rzeczywistości.

Nazajutrz, gdyśmy udali się jak zwykle do kościoła, dopieroż modliłem się gorąco, jak nigdy może. Poznałem wtenczas, że nic tak jak miłość prawdziwa i czysta, nie zbliża człowieka do swego Stwórcy. Kochając kobietę jako cudowny utwór Boga, uwielbiając ją, czcimy tylko w niej i kochamy tę Boską potęgę i niepojęte źródło wszelkiej piękności. Zaiste, wielkie to jest i z zadziwiającą przezornością obmyślane urządzenie Wszech

Pana, zaszczepiać w serce zmiennego w dziełach swych człowieka iskierkę tej świętej sympatji, która go zwróci ku Niemu i da próbkę zaziemskiej szczęśliwości.

Nareszcie po nieskończenie długich godzinach śniadania, po wzajemnych spojrzeniach dodających odwagi, wysunąłem się do ogrodu, gdzie właśnie ojciec zajmował się otrząsaniem reszty owych nieszczęsnych jabłek. Gdym wszedł i stanął przed porucznikiem z zafrasowaną postawą, poznal zaraz, że chcę go o coś prosić, bo spojrzawssy na mnie z miną zachęcającą odezwał się:

— No i cóż powiesz, mój Jasiu?

— Mam do ojca wielką a wielką prośbę — odrzeklem pomieszany.

— Mówże więc — odparł siadając na darniowej kanapce, z pełnym koszykiem jabłek — słucham!

Pomimo długiego przygotowania, pomimo tak przychylnego usposobienia ojca, nie wiedziałem od czego zacząć.

— To o co chcę prosić, kochany ojcze — przemówiłem całując go w rękę — stanowi całą moją przyszłość, całe nadzieje, całe szczęście.

— Dobrze, dobrze, odpowiedział nieco zainteresowany — mów: czy chciałbyś już wyjechać do Warszawy, hę? bo i ja o tem myślalem przed chwilą.

— Nie, proszę ojca, zmieniłem zamiar.



— Czyś ty chłopcze zwarjował — zawołał porucznik, i zerwał się gwałtownie z kanapy. (Str. 193.)

— Jakto? już nie masz chęci uczyć się prawa? odrzekł zdziwiony, — jakoś zmienny jesteś, mój synu! Ale to nic nie przeszkadza, wiesz, że nic tak nie pragnę, jak twojego szczęścia; a może... — dodał po chwili z uradowaną twarzą — może zdecydowałeś się iść na księdza, co?

— I to nie — mówiłem zapłoniony.

— Cóż więc u kata mosanie! Gadaj sam bo pewno nie zgadnę.

— Kiedy nie śmiem, kochany ojcze.

— To musi być coś złego, mosanie!

— Wcale nie, tylko się boję, żeby się ojciec nie gniewał.

— Eh! co się mam gniewać znowu — odrzekł zniecierpliwiony — nudzisz tylko, a nie gadasz; kończże już, albo mi daj pokój, bo nie mam czasu!

Postałem chwilkę zamyślony, wreszcie rzucając się na kolana przed nim i całując spracowaną rękę, wymówiłem z największem drżeniem, zaledwie słyszanym głosem:

— Ojcze kochany, proszę cię serdecznie, pożeń nas oboje ze Stefcią, bo my się bardzo kochamy!

— Czyś ty zwarjował, chłopcze? czy dopiero myślisz? — zawołał porucznik zrobiwszy wielkie oczy; za chwilę zerwał się gwałtownie z kanapki, aż koszyk przewrócił, a jabłka potoczyły się na wszystkie strony.

Milczałem klęcząc na ziemi, jakby piorunem rażony.

— Słyszysz ty! — wrzasnął, chwytając mię silnie za ramię i podnosząc z kolan — odpowiadaj zaraz!

— Nie, proszę ojca — bąknąłem spuszczając oczy — tylko ją bardzo kocham.

— Co? ty! ty ją kochasz — wołał porucznik trzęsąc mię obiema rękami — ty? I śmiałeś to powiedzieś mnie? ojcu?

A gdym ja ciągle milczał, nie wiedząc co z sobą zrobić i co odpowiedzieć, ojciec poruszał głową na prawo i lewo z dziwnym uśmiechem ironji, szarpał wąsa nielitościwie, nakoniec zbliżywszy się ku mnie, pochwycił za ramiona i biorąc pod brodę nachyloną mą głowę, spojrzał ogniście w oczy z gniewem i oburzeniem nie do opisania.

— Słuchajno, niegodziwcze! pomyślałeś ty, zastanowiłżeś się nad tem, coś wyrzekł? A wiesz ty, kto jest ta Stefcia, którą poważyłeś się kochać, hę? wiesz? Ona pułkownikówna, bogata, piękna, cnotliwa; a ty co? — hołysz, smarkacz i głupiec, rozumiesz! — i wyciągnął ręce za siebie nachylając twarz swoją ku mnie, tak, że czułem jego ciężki oddech, palący tchnieniem gniewu.

— To straszne są rzeczy, jak Boga kocham. Co się w tej głowie mogło wymarzyć, mosanie, to nie do uwierzenia!

I znowu kołował po ścieżce, i znowu potrząsał głową z założonemi w tył rękoma. Mnie łzy się puściły z oczu, w głowie zrobił się odmęt bezdenny, z którego ani próbowałem się wydostać.

— Płaczesz, mazgaju, teraz, a żenić się chciałeś: i proszę cię, powiedz mi, cobyś ty robil na świecie?

— Proszę ojca — rzekłem nieprzytomnie, pamiętając wszakże ułożoną rozmowę — za te pieniądze, co ojciecby wyłożył na moje utrzymanie w Warszawie, i za posag Stefci, wziąłbym dzierżawę i pracował bez....

— Widzisz go, jaki on gospodarz za cudze pieniądze! A zarób sam, zapracuj w krwawym pocie czoła, to będziesz chodził dzierżawami! Tymczasem od Stefci i od jej piętnastu tysięcy, wara! mosanie, wara! bo do miljon furbeczek...... zobaczysz!..... Ktoby się spodziewał tego po takiej trusi, mosanie, żeby jak żmija podpełzal pod nogi ojca, i wpoił żądło w jego styraną wiekiem głowę. A jak się to lizał, nadskakiwał, układał: a jakto ani napomknął o wyjeździe! Oho! poradzimy, mosanie, na to skuteczne lekarstwo, odetniemy zbutwiałą gałązkę od drzewa! wywieziemy zarazę, tak, wywieziemy kochanku!

— Ruszaj do domu mój amorowy paniczu, pakuj manatki co żywo, bo jutro do dnia marsz w drogę, rozumiesz! A jak on to sobie ułożył,

żeby mu dać pieniądze, które mam wydać na niego, jak to wymędrkował! Poczekaj, kochanku! nic nie dam i odwiozę; pracuj jak ja pracowałem! Dalibóg, że nie dam!

I porzuciwszy fajkę, trzęsąc się od gniewu, pobiegł do domu.

— Słyszałaś ty, Zosiu! — zawołał wpadając do pokoju matki — słyszałaś, co nasz kochany synek sobie wykoncypował? A to zbrodnia, mosanie, niesłychana zbrodnia!

— Co takiego? — zapytała spokojnie, snać już uwiadomiona od Stefci.

— Wieszże ty, że on mi się śmiał oświadczyć o pannę pułkownikównę!

— I cóż to za zbrodnia?

— Więc to nie zbrodnia, kobieto, nie? — krzyknął porucznik odskakując w tył, z zadziwionym wzrokiem. Przez Boga, Zosiu! czyś ty z kamienia, czy co? że ciebie nic nie gniewa, nie zadziwia?

— Uspokój się, mój Jędrusiu, wszystko za bardzo serjo bierzesz; nie jest to zbrodnią przecie. daj pokój, — ja wiem o wszystkiem.

— A to już przyjdzie mi zwarjować z wami, mosanie! No, no, imość taki majsterek; nie wiedziałem, dalibóg, anim się spodziewał — mówił z szyderczym uśmiechem chodząc po pokoju. — Darmo! wszyscy się sprzysięgli na mnie, darmo!

Biedny ty jesteś, poruczniku: opuszczony, zhańbiony, przygnieciony, toż się doczekałeś miłej starości!

— Nie wyrzekaj, Jędrusiu, wstrzymaj się — zawołała matka biorąc go za ręce — zreflektuj się, to ci opowiem wszystko.

— Co imość pleciesz, zreflektuj się, zreflektuj! Cóż to ja smarkacz, lub jaki raptus? Nie bój się, widzę zdrowo jeszcze, chwała Bogu.

Po chwili milczenia, porucznik wybuchnął znowu gniewem:

— To mi synek! to mi pociecha, mosanie! On śmiał podnieść oczy na to dziecko, on tak mię zmartwił! Panie Boże — zawołał składając ręce — daj mi przeżyć tę chwilę, bo widzisz jak mię to boli, jak to nurtuje po mnie. Odwróć tę klęskę!

— Słuchaj, mój mężu — przerwała matka — porzuć wyrzekania; to dzieci, jak przyszło prędko do głowy, tak prędko wywietrzeje. Ja dopiero przed chwilą dowiedziałam się o wszystkiem od Stefci; biedna dziewczyna kocha go bardzo.

— Co, i ona ci to powiedziała?

— Tak jest, ona sama i...

— To być nie może! nie wierzę, mosanie. Chyba sobie uroiła, ale i to nie, nie — mówił potrząsając głową.

— Ależ tak jest, Jędrusiu, cóż w tem dziwnego? Przypomnij sobie tylko młode lata, czyś i ty nie kochał podobnie?

— Pewno że nie, mosanie!

— Oto mi piękna nowinka! więc i mnieś nie kochał?

— Ej! nie podchwytuj, moja imość, za słówka: ty co innego: nie byłaś pułkownikówną, a ja byłem porucznikiem, rozumiesz!

— A czy to miłość idzie po stopniach oficerskich, i szlify nosi?

— Tak, idzie, idzie, i nosi — powtarzał zaperzony — a imość nie peroruj, ani wydrwiwaj, bo jak mi Bóg miły....

— Więc cóż myślisz zrobić? — przerwała matka.

— Wydziedziczyć i wypędzić na cztery wiatry!

— A z czegóż to wydziedziczyć? — zapytała uśmiechając się.

— Ze wszystkiego, mosanie; nic nie dam i wywiozę! Małgosiu! Małgosiu! — zawołał uchylając drzwi od kuchni — ruszaj natychmiast do Jakóba i powiedz, żeby do dnia przyjechał, rozumiesz!

— Rozumiem, proszę pana, ale kura...

— A niech się przekuruje do miljon furbeczek okrętów.... Ty idź, kiedy każę. Ażeby na trzy dni obroku zabrał! — wołał za strwożoną sługą.

— I gdzież go zawieziesz, mój mężu?

— Gdziebądź, byle z domu! Imość przysposób bieliznę i rzeczy, do dnia w świat.

— Teraz, posłuchaj mię, mój kochany: przeciw oddaleniu jego nic nie powiem, dobrze robisz, samabym ci to poradziła; lecz na Boga cię zaklinam, nie dręcz go, nie martw, bo on i tak już ma za swoje. Widzisz i dziewczyna się martwi: płakała przedemną bojąc się o niego.

— To dopiero niegodziwiec! — przerwał gniewnie porucznik — patrzaj, co to kłopotów narobi. Już ja mu dam pamiątkę, zobaczy!

— Ty zawsze swoje; właśnie, że tym sposobem rozdrażnisz ich, i gotowi się pochorować. Wam starym zdaje się, że młodzi mają tak jak wy postępować; młodość pali, trzeba ostrożnie gasić, bo zamiast stłumienia, zgubić można oboje!

— Eh! co tam się imości marzy — zawołał żartobliwie — a cóż to, umarł kto z miłości, hę?

— Ale może umrzeć! Powtarzam ci, załagodź to wszystko: oddal go, lecz zostaw jakąś nadzieję.

— Nigdy, nigdy, żadnej! — wykrzyknął porucznik. — Jeszczeby tego brakowało, zastanów się kobieto co mówisz: wiesz kto ona, a kto on? coby to ludzie powiedzieli!

— Kiedy się bardzo kochają, powiadam ci.

— Facecje moja imość, koszałki opałki w młodej głowie i nic więcej!

— Zobaczymy, byleś tylko nie żałował tego. Co do mnie, nie widzę w tem nic nadzwyczajnego: to dobre dzieci jakby dla siebie. Niech tylko on zapewni sobie byt jakiś na świecie, niech nabędzie doświadczenia pemiędzy ludźmi, to jabym wcale się nie sprzeciwiała. Kilka lat mogą czekać, są młodzi jeszcze...

— Tralala, tralala! jak z nut imość wyśpiewujesz. Nic z tego nie będzie powtarzam, głowy mi nie susz tylko, pakuj na jutro i kwita; ja rządzę nim, ja ojciec!

Matka umilkła, czekając sposobniejszej chwili zapewne dla rozpoczęcia nowego ataku; ja zaś siedząc w drugim pokoju i słysząc całą rozmowę, nabrałem niejakiej otuchy, bo przekonałem się, że matka jest za nami, i prędzej czy później zdoła pokonać upór porucznika. Marzenia moje, przed godziną tak piękne i urocze, jakże zmieniło jedno słowo ojca! Smutno zaiste, smutno spoglądałem po wszystkich kątach pokoju, żegnając w myśli owe szczęśliwe chwile, spędzone na łonie miłości! Nie mogłem się nawet widzieć ze Stefcią bo znikła gdzieś z siostrą, a szukać ich nie śmiałem. Płacząc układałem tłumoczek, nie patrząc na przedmioty; myśl moja tak była rozerwana, tak odurzona tym nieprzywidzianem odjazdem, że nie wiedziałem co robię, i jak robię. Popakowałem precz halsztuki ojca, sukienki i lalki siostry, akta ko-

mendy, i Bóg wie jakie fatałaszki, które matka później powyjmowała, układając bieliznę. Ojciec umartwiony do żywego, pobiegł do proboszcza snać oznajmić mu o wszystkiem, a matka tymczasem zawołała mię do swego pokoju, gdzie już zastałem szlochającą Stefcię, z główką pochyloną na kolana naszej jedynej przyjaciółki.

— Słuchaj mój Jasiu! — mówiła matka po wielu słowach pociechy — jedziesz do Warszawy, jedziesz w świat sam, bez tej opieki rodzicielskiej, jakąśmy dotąd kierowali twemi postępkami. Będziesz od nas zdaleka, wśród ludzi obcych ci zupełnie, którzy cię może nie pojmą i nie ocenią według zasługi. Pamiętaj więc, że zostawiasz nas wszystkich osieroconych i patrzących na każdy krok twój; pamiętaj, aby w twojem życiu nie było żadnej plamki, za którąbyś się musiał wstydzić przed sobą samym i nami! Wiara przedewszystkiem w Bogu i Jego Opatrzność, modlitwa mój synu niech gości w twej duszy i kieruje całem postępowaniem; żyj prawdą i uczciwością, nie zważaj na innych wyśmiewających szlachetne uczucia i prawość: ty postępuj tą drogą, na jaką wprowadziła cię ręka rodziców. Kochaj nas zawsze jak dotąd, kochaj i szanuj najbardziej ojca, bo to najzacniejszy i najlepszy człowiek w świecie; choć prędki, uparty, jednakże zanadto cię kocha, i ręczę ci, jutro już innem okiem na ciebie spojrzy.

Kochaj Stefcię, kochaj mój Jasiu: ona godna jest tego, a ja cię upewniam, że do siebie należeć będziecie, jeżeli tylko godnym się okażesz jej szlachetnego serca. Pisuj do nas co miesiąc, tylko szczegółowo, wszystkie myśli, wszystkie wrażenia wiernie odbijaj na papier, i przysyłaj nam łaknącym twojej rozmowy. Z nich poznamy twe życie, pochwalimy co dobre, a wytkniemy błędy w listach do ciebie pisywanych.

— Dobrze kochana matko! — zawołałem ze łzami — bądź pewna, że nie zapomnę nigdy tych nauk, które mi dziś powtarzasz; bo i jakżeż mógłbym was zapomnieć, was co po Bogu najbliżsi jesteście mojego serca.

— Wierzę ci mój Jasiu, wierzę, i również zapewniam, że co miesiąc regularnie odbierać będziesz nasze doniesienia o wszystkiem, co nam się tu przytrafi; powierzać ci będziemy myśli i uczucia nasze tak, jakbyś tu był z nami. Ale pamiętaj też starać się o przyjaźń szlachetnych i uczciwych ludzi; ze wszystkimi bądź grzecznym, z serca, nie powierzchownie, lecz ostrożnym w doborze przyjaciół, bo nic tak nie psuje młodego jak złe towarzystwo! Starszych szanować nadewszystko, bo oni dla samego wieku godni są tego; w każdym starcu przedstaw sobie ojca, a w każdej podeszłej kobiecie — matkę, która cię tak kocha, i która sercem przebywać będzie z tobą! Teraz

pożegnaj Stefcię, pożegnaj siostrzyczkę, i idź spać, bo pewno do dnia wyjedziecie. Pomódl się też za nas, poproś Boga o szczęśliwą przyszłość, i ufaj, że On cię nie opuści! Jutro jeszcze się zobaczymy, ale Stefci pewno ojciec nie pozwoli pożegnać się z tobą.

Rzewneż to było pożegnanie, milczące, smutne, jakby z przeczuciem wiecznego rozstania. Przyrzekliśmy sobie wobec matki wierność, przeszli pamięcią wszystkie spędzone chwile, wszystkie uciechy i wszystkie marzenia przyszłości. Matka uspakajała rozdrażnione umysły, wlewała nadzieję, zachęcała do wytrwałości i przedkładała, że to oddalenie jest koniecznem dla naszego szczęścia. Jej dowodzenia były tak jasne, tak mówiły do serca i rozumu, że potrafiły rozpromienić zasmuconą duszę małą iskierką nadziei, i złagodzić okropną chwilę rozstania.

Nazajutrz ledwo zajaśniało na niebie, już Jakób zajechał, już i matka wstała i porucznik spokojniejszy widocznie, dokończał pacierzy. Wszystko było gotowe do drogi; kochana matka nie zapomniała o niczem: upakowała sama podróżny tłumoczek, zaopatrzyła w zapasy jedzenia, Małgorzata wstawiła zrazy, bez których, jak twierdziła, obejść się nie mogło. Poszliśmy do kościoła, gdzie sędziwy dziekan odprawił mszę świętą na moją intencję, a potem do niego na pożegnanie. Lecz jakie

było zdumienie wszystkich, gdyśmy tam zastali obie zapłakane dziewczynki, rozmawiające z również zasmuconą Kundusią.

— No, moi państwo, jagem rzekła, ci mężczyźni to z kamienia! Kto widział tak raptem wywozić! Widzicie, pan porucznik jak żywe srybło: sakum pakum i w drogę. Okrutnik jakiś!

Ojciec się trochę zmarszczył ujrzawszy panienki, a jam spojrzeniem przesłał im podziękę. Stary proboszcz pożegnał mię z serdecznym żalem i błogosławieństwem.

— Jedź, jedź kochany mój wychowańcze — mówił drżący od wzruszenia — podobno my się już nie zobaczymy na tym świecie! Taki to porządek: starzy muszą ustępować młodym, nic nie pomoże! Błogosławię ci więc mój synu, jak Abraham błogosławił Jakóba: niech ci Przedwieczny udzieli swych łask na całą drogę żywota, byś dobił szczęśliwie do tego portu wiekuistej chwały, do którego wszyscyśmy wzdychać powinni! Miej w pamięci nauki, które wpajałem w twą młodzieńczą duszę, postępuj podług przykazań naszego Wielkiego Zbawcy, kochaj Boga i ludzi, a będziesz szczęśliwy! Gdy cię troska lub jakie nieszczęście nawiedzi, wznieś swoją myśl do Niego: on nasz ojciec, on nasz dobroczyńca, to cię pocieszy i zmniejszy cierpienia! Widzisz, ja 90 lat kończę, tyle przebyłem prób ciężkich w tem życiu, a nigdy, nigdy

nie zawiodła mię modlitwa: patrzę na śmierć, jak ty patrzysz na życie, które się odkrywa przed tobą. Jestem szczęśliwy, jak tylko szczęśliwym być można na tej ziemi. Pamiętaj na przestrogi rodziców, postępuj za ich radą, bo oni najlepiej ci życzą, i najlepiej wiedzą co dla ciebie może być dobrem. A kiedy usłyszysz że stary proboszcz już zasnął na wieki, zmów jaki wieczny odpoczynek i wspomnij że on patrzy na ciebie tam z góry, i prosi Boga o twoje uszczęśliwienie!

Wzruszenie i łzy nie pozwoliły mu dalej mówić, położył tylko ręce na mojej głowie, ucałował w czoło i podniósł klęczącego. Wszyscy milczący, owiani tem uroczystem tchnieniem mowy świątobliwego kapłana, połykali łzy cisnące się gwałtem do oczu. Stefcia szlochała głośno, bo zapewne stanął jej w myśli drogi ojciec, który podobnież żegnał ją na łożu śmierci.

Już kilkaset kroków uszliśmy ku domowi, a jeszcze widziałem starca siedzącego w ganku i kłaniającego się swą baranią czapką za odchodzącymi. Kundusia z założonemi rękoma, z podpartą brodą, stała przy nim, z wlepionem wzrokiem ku naszemu domowi. I ona nie zapomniała o swoim Jasiu, wsunęła spore pudełko siostrze, aby mi go oddała na wsiadanem.

Lecz nie tu był koniec pożegnań. Przed domem gromadka starców o kijach, zgarbionych w

żołnierskich płaszczach, stanęła odedrzwi na czele Duszaka; poczciwi chcieli mię również pożegnać i pobłogosławić na drogę. Wszystkich nas ujęła ta przychylność staruszków, sam ojciec nawet coś posmutniał, i zdawał się żałować mojego wyjazdu, lecz chcąc wytrwać w swoim zamiarze, gdy Duszak, nie mogąc nic przemówić, ściskał mię tylko serdecznie w objęciach, powtarzając: „niech cię Bóg prowadzi szczęśliwie mój paniczu, niech ci tam błogosławi we wszystkiem“, przybrał poważną i niby zadąsaną minę, mówiąc:

— Cóż u kaduka tak płaczecie, jakby się wybierał gdzieś na wieczne czasy; przecież Warszawa nie Ukraina mosanie: przyjdą święta Wielkanocne, to i przyjedzie; tylko mi go rozżalacie i nic więcej!

— Daj pokój mężu, — odezwała się matka — dzień jeden wiele znaczy dla starych, a cóż rok dopiero? Kto jest pewny jutra? Daj im pokój niech płaczą poczciwcy, dla mnie każda ich łza jest drogą, bo z serca płynie!

Nareszcie wyrwawszy się z objęć matki, spojrzawszy na Stefcię z wyrazem nieopisanej miłości i żalu, ucałowawszy zapłakaną siostrę, wsiadłem na bryczkę z porucznikiem. Jakób zrobił znak krzyża przed końmi, śmignął biczem, i lekki wózek potoczył się po bruku oddalając co chwila drogie sercu mojemu osoby. Dlugo, długo jeszcze

widziałem stojących przed domem i patrzących za nami; długo odbijał się w mej duszy ich płacz i smutek rozstania; nakoniec, gdy znikli mi z oczu, gdy powoli, powoli, chować się zaczęły domki miasteczka, kościółek, jasna smuga Wisły i lasy galicyjskie; znękany, z rozpaczą w sercu, rzuciłem się na wózek, a zakrywszy twarz rękoma, płakałem jak dziecko.

Nie będę tu opisywał całej mojej podróży, nie poprowadzę czytelników po tych błotnistych drogach, brudnych karczmach i najniegodziwszych noclegach: bo to dość wspomnieć każdemu na swoją podróż, aby mieć wyobrażenie tysiącznych nieprzyjemności jesiennej jazdy, gdy to deszcz drobniutki siecze po twarzy, zimno przenika każdą kosteczkę, a w dodatku czeka głodny nocleg, i pijana zgraja hałasujących gości karczemnych. My wprest przyjedziemy do tej ślicznej kokietki Warszawy, co to opasana zielonym wiankiem drzewiny, spogląda na każdego przybysza zalotnem okiem i wabi układną minką rozkoszy, obiecuje wiele, wiele w swojem spojrzeniu, a żąda tak mało, bardzo mało, bo tylko pieniędzy!....

III.

Jeżeli czytelniku nie czujesz pewnego wstrętu do ulic brukowanych, a niewyłożonych gładkim marmurem: jeżeli masz dobre nogi, i zechcesz drapać się po pionowych schodach aż na drugie piętro; to proszę za sobą do Kanonji.

Wejdźmy w pierwszą sień od Jezuickiej ulicy, dosięgnijmy drugiego piętra, i dalejże dzwonić na lewo. Otworzy nam figlarna kuchareczka z czarnemi kruczemi włosami, i takiemiż oczami, uśmiechnie się zalotnie, a gdy spytamy o pana naczelnika Rygorskiego, powie, że jest w domu. Przejdźmy potem przez obszerny bawialny pokój czy tam salon, tylko ostrożnie po narzuconej sukiennej ścieżce, bez zmarszczenia jej, jeżeli chcemy być dobrze przyjętymi od pana Tomasza. Pokój ten o trzech oknach z widokiem na Wisłę, perłowym papierem obity, jest sobie taki, jak wszystkie salo-

ny, podobnej klassy urzędników: duże zwierciadło w ramach w guście rococo, zawieszone między dwoma oknami, niżej kanapa, przed nią okrągły stół z dziwnie sparaliżowanemi nogami, para foteli koło niego z pocztem 10 krzeseł rozrzuconych po wszystkich zakątkach. W rogu serwantka, oszklona, zwierciadłem wyłożona, w której odbijają się jak w kalejdoskopie filiżanki, dzbanuszki, herbatniki, nalewki, stoczki, cukiernice i tym podobne drobnostki. Z drugiej strony, sofa pokryta jaskrawych kolorów kobierczykiem, z czerwoną i pucolowatą twarzą jakiejś amazonki, dalej znowu komoda, jak inne meble mahoniowa, na niej wielka słoneczna lampa, z pięknie ułożoną papierową umbrelką, dwie kanapki pod oknami, i kilka olejnych obrazów starych bardzo, bo prócz ciemnego tła nic na nich nie dojrzysz. W oknach białe siatkowe firanki, a we framugach od góry do dołu, z jednej i z drugiej strony, pozawieszane litografowane wizerunki marszałków francuzkich lekko oprawne. To już i wszystko: bo fortepianu, stolików do kart, nigdzie nie dopatrzysz, a nawet i sążnistych portretów gospodarstwa. Otwórzmy teraz drzwi prowadzące do gabinetu pana eksnaczelnika. Wprost zaraz, uderzy wasze oczy biurko olszowe na palisander pomalowane, zupełnie takie, jakich po biurach używają. Jest tam pulpit zielonem suknem wybity, szuflada pod nim większa,

dwie poniżej mniejsze, i wysuwany blat do pisania, również suknem pokryty. W pokoju jedno okno także od strony Wisły, z zieloną papierową roletą; we framudze na goździku uczepiony, wisi kalendarz z przedziurawionym grzbietem i przeprowadzoną jak zawłoka czarną tasiemką do wieszania; na nim nożyczki duże, a około biurka z jednej i z drugiej strony, po kilkanaście arkuszy konotatek, z porobionemi u góry otworami, również przechylają się ze smutną minką. Obok biurka sofka zielonym safianem wybita, z takąż poduszką; za nią drzwi prowadzące do pokoju żony, a na drugiej stronie łóżko mahoniowe pana Tomasza z czarną niedźwiedzią skórą na podłodze, dywanikiem u góry, na którym dwa ogromne pistolety od lat 10 nietknięte, patrzą srogiemi otworami w stojącą za łóżkiem szkatułkę, przyśrubowaną do podłogi. Kilka krzeseł trzciną wyplatanych, mały stoliczek w kącie z tacką i karafką bez wody, nizkie poręczowe krzesło, podobno safianem pokryte, a przed biurkiem stojące, stanowią cały sprzęt gabinetu. Na ścianie tylko duży obraz Niepokalanego Poczęcia Marji, z zawieszoną na łańcuszki lampą, krucyfiks na biurku z szczątkami świętych Pańskich, oznaczają pobożne usposobienie gospodarza. Pokój ten, choć obity zielonym papierem w kwiaty, choć miał posadzkę gładziutką, wyglądał jakoś niebardzo po-

rządnie, z tej przyczyny, że niewolno było nikomu z domowych wchodzić do niego, a cóż dopiero porządkować! Pełno kurzu po wszystkich sprzętach, łóżko nierówno posłane, podłoga brudna, świadczyły o męzkiej dbałości pana Tomasza. Bo też powiedzmy pod sekretem, że on sam raniutko słał sobie łóżko i paczką piór starannie zamiatał posadzkę.

Teraz przejdźmy koleją całe zatrudnienia pana Tomasza Rygorskiego, byłego urzędnika kontroli a od dwóch lat emeryta. Najprzód przypatrzmy się jego powierzchowności: wysoki, szczupły, w wieku może sześćdziesięciu kilku lat, pan Tomasz już dobrze staro wyglądał. Twarz jego szeroka, krótka, z również szeroko rozłożonemi częściami, wyglądała tak, jakby ją kto wziąwszy jedną ręką za czoło, a drugą pod brodę, ścisnął mocno, i ona w tym stanie pozostała. Włos nizko przystrzyżony, całkiem biały, pokrywał głowę małe zostawując czoło; faworyty również siwe i krótkie, przylegały dobrze do obu policzków pożółkłych od starości; szyja długa, ręce kościste, cała postawa nachylona, dowodziły, że większą część swojego życia spędził nad stolikiem. Jak pobożny, pracowity, sumienny i litościwy, tak również był nudziarz i rygorzysta w całem znaczeniu tego wyrazu. Jego zatrudnienia obrachowane na godziny, minuty i sekun-

dy nawet, dzieliły się na zimowe i letnie. Zacznijmy od zimowych:

Godzina 5 rano: naczelnik się budzi, wyskakuje z łóżka żegnając się, kładzie ogromne trzewiki, zapina surdutowy szlafrok, zażywa tabaki i zaczyna pacierze. Mimowolne uszanowanie i jakieś uwielbienie przejęłoby każdego patrzącego na tego szanownego starca, który dwie godziny prawie, klęcząc w postawie kornej przed obrazem Bogarodzicy, modli się tak gorąco, tak szczerze i z takiem zapomnieniem o wszystkiem co go otacza. Nieraz też pani Tomaszowa zniecierpliwiona długiem nabożeństwem, a mając jakowyś interes do niego, wpadała z furją do gabinetu, trzęsąc gniewnie starego za ramię; lecz on ani się obrócił, ani mruknął, tylko jak ta maszyna kierowana niepojętą siłą, ruszał wargami, przewracając kartki swej książki. Choćby dom gorzał, choćby płomienie paliły na nim odzież, nie wstał wprzód, dopóki naznaczonych modlitw nie dokończył.

— A to już się zamodlisz mój stary — mówiła gniewnie małżonka — myślałby kto że to aniołek, mój Boże, a broił w młodości! No, no, proszę, „modli się przed figurą, a djabła ma za skórą“.

— Proszę cię, moja Urszulko, co ci też przeszkadza moja modlitwa?

— Jakto nie przeszkadza, gdy kawa stygnie, i dziesięć razy ją trzeba odgrzewać.

— To na chwałę Pana Boga ofiaruj: On wszystko przyjmie.

— Ty tam wszystko na chwałę obracasz! Trzeba było tak dawniej mówić, kiedy się to szalało za...

— Przestań, przestań kobieto! już idę, nie bluźnij!

I pan Tomasz wypijał kawę, umawiał się z żoną co ma być na obiad, odbierał polecenie jakiego mięsa przynieść i powracał do siebie ubierać się. Najprzód się umywał a raczej kąpał w ogromnej miednicy stojącej przy piecu, potem zabierał się do golenia: wyjmował z szuflady biurka toaletkę, dobywał trzy brzytwy, pociągał kilka razy po czerwonej i czarnej stronie paska, mydlił twarz systematycznie, ostrożnie, i zaczynał skrobać numerem pierwszym! Dociągnąwszy od ucha do brody, brał drugą, powtarzał tę czynność z drugiej strony twarzy, kładł ją znowu, bo trzecią dopiero kończył główną operację brody. Myślicie, że to koniec. Gdzie tam. Pociągnąwszy brzytwy na pasku, tym samym porządkiem golił pod włos, i znowu dobywał czwartej nazwanej rewizorką, suwał palcem po całej twarzy, szukając niezgolonej kępki, poprawiał skrupulatnie, a otarłszy wszystkie cztery numera, chował przyrządy do biurka. Potem mył się powtórnie i ubierał. Ale, ale! zapomniałem powiedzieć o ręczniku pana Tomasza: ręcznik ten był podzielony na czter-

naście równych części, wyraźnie zagiętych i przeprasowanych; żeby tam niewiedzieć jaki wypadek się zdarzył, on nigdy jednego dnia nie zbrudził więcej jak jednej części, bo takowy musiał na dwa tygodnie wystarczyć. Ponieważ ręcznik był mały, więc i przedziały nie wynosiły nawet szerokości dłoni; możecie sobie przeto wystawić, z jaką to oględnością nasz emeryt się obcierał, żeby nie naruszyć następnego dnia.

Ubiór pana Tomasza był prawdziwie urzędowy; biała chustka zimą czy latem, stojące kołnierzyki po uszy, frak mundurowy z zielonym aksamitnym kołnierzem i wstążeczką u guzika, kamizelka sukienna i szarawary wytarte czarne: to jego zwyczajny uniform.

Około pół do ósmej kończył ubieranie się, zarzucał granatowy płaszcz na ramiona, naciskał z dużem rondem kapelusz, i wychodził do kościoła. Trzeba wam wiedzieć, że pan eks-naczelnik był członkiem jednego bractwa, i członkiem bardzo czynnym; musiał sam, codziennie zimą oczyścić ołtarz, zdjąć pokrowiec, przyrządzić ampułki, a nawet w braku kościelnego, czasami pozapalał świece. Gdy mszy wysłuchał i krzyż ucałował, wychodził pochylony do miasta. Pamiętając na dyspozycję Urszulki, wstępował do jatek po mięso. Niech was to nie dziwi moi czytelnicy, że taki emeryt, były naczelnik, zajmował się podobnemi sprawunkami; już od lat



— Zawiązawszy rękawy płaszcza pakował w nie swoje krzyżówki, potrącając tak obładowanemi rękawami przechodzących. (Str. 215.)

dwudziestu to powtarzał co rano, i tak przywykł do swego Jakóba rzeźnika, że gdy się trafiło, iż dla słabości lub innej nadzwyczajnej przyczyny, nie mógł sam wybrać mięsa, pewno ani się dotknął obiadu.

— Co to za rosół? jaka to żylasta pieczeń? — gderał przewracając widelcem kawałki na półmisku leżące — gdzieżeście też oczy mieli kupując podobne mięsiwo? Oh Jakóbie, Jakóbie! niewdzięczny jesteś!

To też przyszedłszy do jatek, witał się za rękę z owym Jakóbem, częstował tabaką rozpatrując wszystkie części mięsa rozwieszone w jatce, a dobierając od krzyżówki, od mostku, przy kościach, w miarę odebranej dyspozycji od żony, wydobywał jednę i drugą serwotkę z bocznej kieszeni płaszcza, pakował towar, umieszczał pod obie ręce pod płaszczem i mało uczęszczanemi uliczkami zmykał na Kanonję. Zdarzalo się bowiem, że w ludniejszych ulicach spotkawszy kogo ze znajomych, nie mógl mu ręki podać z obawy, aby mięso się nie wysunęło. Później zmienił sposób noszenia, bo zawiązawszy rękawy płaszcza, pakował w nie swoje krzyżówki, i szedł śmielej, potrącając tak obładowanemi rękawami przechodzących, którzy wydziwić się nie mogli grubości sukna, z którego płaszcz był zrobiony.

Ledwo że zdążył położyć mięso w kuchence, już chwytał zwyczajną swą laskę trzcinową z zakrzy-

wioną rączką, oczyszczał płaszcz miotełką, i jak strzała biegł w ulicę. Myślicie że miał jaki ważny interes do uskutecznienia, lub kto na niego czekał?— Nie, zupełnie nie, tylko uderzyła dziesiąta na zamkowym zegarze, a panu Tomaszowi zdawało się, iż spóźni się do biura. Biedny nie mógł zapomnieć, że od dwóch lat był emerytem; dla niego dziesiąta godzina była dotąd hasłem pośpiechu. Żwawo starowina zwijał nogami, zdążając Senatorską ulicą aż na plac przed Bankiem; przybywszy przed kratki gmachu jego dawniejszej władzy, zatrzymał się w swym biegu, i dopiero przypomniał, że tam nie ma dla niego miejsca. Pomimo to, nazajutrz znowu biegł przed kraty, stawał, patrzył z zajęciem po wszystkich oknach pałacu, i tu decydował się stanowczo, gdzie się ma udać.

Otóż w kilka dni po moim przyjeździe do Warszawy, gdy uradzili obadwaj z ojcem, aby mię tymczasowo umieścić w którem z biur rządowych, pan Tomasz obstawał usilnie, abym wszedł na aplikację do tegoż wydziału kontroli, w którem on zaszczytnie lat trzydzieści pięć przesiedział.

— Najlepiej w kontroli, mości dobrodzieju: tam kawaler nauczy się porządku, systematyczności; pewno hulaką nie zostanie, bo rachunki pozna doskonale, i sam się będzie kontrolował.

Ojcu tego tylko było potrzeba: on, co przestrzegał porządku w najdrobniejszych zajęciach, on,

co powtarzał: „że porządek, materja i siła mosanie, świat stanowią“, z największem zadowoleniem uściskal starego pana kontrolera za taką radę, kazał przygotować prośbę, i umówiwszy się z krewniakiem o wynagrodzenie za moje utrzymanie, spokojny, uszczęśliwiony nawet odjechał. Na wsiadanem tylko powiedział mi perorę, tak coś na wojskową instrukcję wyglądającą: że potrzeba zapomnieć o wietrznych amorach, wziąć się do pracy ochoczo, bo z miłości nie będzie chleba; a zresztą dodał: „zobaczymy, jak asań się poprowadzisz“. Pana Rygorskiego prosił usilnie, by opiekował się mną jak ojciec, i ciszej szepnął: żeby się starał wybić mi z głowy niepotrzebne i nierozsądne myśli kochania.

W dopełnieniu więc tej prośby, pan Tomasz ani na chwilkę mnie nie odstępował. Ponieważ nie miałem jeszcze odpowiedzi władzy co do przyjęcia, przeto musiałem towarzyszyć szanownemu emerytowi we wszystkich jego wycieczkach, i właśnie jednego dnia o godzinie 10 zrana, zdążałem za nim w zwyczajną stronę, ku gmachowi dawniejszej jego siedziby. Gdyśmy się już zatrzymali przed kratą i gdy pan Tomasz obejrzawszy wszystkie okna pałacu, pukał po bruku laską, decydując się co ma przedsięwziąść, nadbiegł stary woźny niosąc pliki papierów pod pachą. Eks-kontroler z widoczną radością zahaczył swą rączką

łaski za kołnierz biegnącego szybko woźnego, i zapytał:

— Jak się masz Kuliński?

— Zdrów, do usług wielmożnego pana kontrolera! — odpowiedział żwawo woźny, spoglądając na niego.

— No i cóż tam mości dobrodzieju? — dodał pan Tomasz, wskazując na okna po lewej stronie gmachu.

— Nic, proszę łaski pańskiej osoby, bieda.

— Tak, bieda, źle, wiedziałem o tem — mówił urywając kontroler — cóż, jakże tam idzie?

— Jak z nowemi, proszę pana naczelnika: człowiekowi, aż nóg zabraknie: lataj i lataj, dźwigaj, znoś a tu już starość na karku.

— A widzisz Kulnusiu! za mnie to nie tak bywało, co?

— Oh prawda, święta prawda! Teraz rady sobie dać nie mogą: do domu papiery noś, przynoś, na pocztę idź, po cygara idź, słowem, człek jak popychadło jakie!

— A zaległości nie ma? — zapytał żywo pan Tomasz.

— Eh! gdzie tam, proszę łaski pańskiej osoby, a to tam ze sto numerów leży: dyrektor woła, naczelnik woła, aż uszy bolą. Oh! to nie tak jak za pańskiej dyrekcji, nie! Wielmożny pan siedział jak mól do czwartej i piątej nawet, odrobił wszy-

stko, do domu nie brał, nie, nie — powtarzał stary kiwając głową.

— A widzisz Kunusiu, nie mówiłem, że tak będzie, co, nie?

— A tak, a tak, święta prawda, panie naczelniku.

I Bóg wie dokądby podobnie gwarzyli, gdyby ktoś nie zawołał woźnego, i ten nie był zmuszony go porzucić: jednakże pan Tomasz zdążył dobyć sakiewki i dać staremu złotówkę, który z tysiącznemi dziękami wielmożnemu naczelnikowi składanemi, uśmiechając się lisowato, biegł ku pałacowi.

— A widzisz Jasiu — przemówił zadowolony pan Tomasz — jak to tu człowieka znają: bo też trzeba ci wiedzieć, tęgi był ze mnie rachmistrz. Jakto bywało pomylą się w dzienniku, brakuje pięćdziesiąt groszy: rwetes mości dobrodzieju w całym wydziale, latają, szukają, kręcą się, a ja sobie siedzę cichuteńko; nareszcie przypada Sakowski...., a znasz Sakowskiego, tego tłustego?

— Nie, proszę pana.

— A prawda, boś ty dopiero przyjechał, ale jak tam wejdziesz, to go poznasz: krzykała, rezonat, a mówiąc między nami, głupiutki sobie.... Widzisz, on mię wysadził na emeryturę, niech mu tam Bóg nie pamięta, dodziś-dnia miałbym tam biurko

swoje i lepiejby szło; ale co się stało.... Otóż przychodzi do mnie i prosi: — „bój się Boga Tomaszu, wyszukaj te 50 groszy“! Ja się uśmiechnę i jak wezmę papiery, przejrzę, to i jest. Spytaj tylko o mnie pana dyrektora: a prawda, ty go nie znasz, ale to nic nie szkodzi, poznasz go jeszcze. Zacny to człowiek, mości dobrodzieju, zarazby ci powiedział: „O! pan Rygorski to to nudna sztuka, lecz porządny, pracowity“. — Tak tak, mój Jasiu — kończył zażywając tabakę i uśmiechając się wesoło — znają mię wszyscy, znają. — I pan Tomasz brał mię pod rękę, i znowu tą samą drogą prowadził ku domowi.

Gdyśmy przybyli przed teatr, spojrzawszy ekskontroler na wielką liczbę stojących z drzewem furmanek, nie mógł ukryć wewnętrznej radości, bo puściwszy moją rękę, i założywszy laskę na plecy, jak strzała wbiegł między fury.

— Po cóż my tam pójdziemy? — zapytałem zdziwiony.

— Po co? po co? a naturalnie po drzewo!

— Kiedy wczoraj pan kontroler kupił dość spory kloc, który na długo wystarczy.

— Ej! co tam wiesz mój kawalerze: czy się to zepsuje drzewo leżeniem? A widzisz tyle fur, więc sprzedać nie mogą, a gdy nie mogą sprzedać, muszą oddać taniej; zresztą cóż to szkodzi potargować. Pójdźże prędzej, zobaczymy!

I pan Tomasz wciskał się między fury rąbanego i sągowego drzewa, wcale ich nie oglądając, bo on wyszukiwał kloców.

— Widzisz! powiedział cicho stawając przed jednym.

— Tak, widzę — odrzekłem głośno — kloc jak wszystkie kloce: okrągły, duży, gładki....

— Ciszej, ciszej przez Boga! oni mają słuch dobry, usłyszą że chwalisz, i drożyć się będą, mości dobrodzieju: to przebiegłe chłopstwo, oho!

Więc zaczął obchodzić furę, dotykać ręką, pukać laską w jeden i drugi koniec kloca, a to wszystko z pewnem skrzywieniem się, niechęcią, tak sobie niby od niechcenia. Obejrzał jeden, odszedł ani się oglądając, ani słuchając zaproszeń kmiotka; powtórzył tę czynność przy drugim, trzecim, dziesiątym i dopiero wrócił do pierwszego.

— A co to chcecie człowieku za ten patyczek? — wymówił obojętnie, trącając laską umieszczone drzewo.

— Bój się wielmożny pan Boga, gdzież też to patyczek? — zawołał smutnie chłopek, — a dyć to panie kloc co się zowie, ani jednego takiego nie ma na targu.

— Eh! co ty tam wiesz człowieku! Nie chwal, bo ja się znam dobrze, mów tylko co chcesz.

— Piętnaście, wielmożny panie!

— Czy groszy? — przerwał śmiejąc się dobrodusznie pan Tomasz.

— Wielmożny pan żartuje sobie z biednego.

— Co tam żartuje czy nie, dam ci ośm złotych.

— Nie mogę, wielmożny panie.

— Kiedy nie, to nie — mówił obojętniej i odchodził do drugiego. Tu powtarzała się taż sama ugoda, znowu dawał za mało, i znowu tym sposobem wszystkie przetargował. Czasami zdarzyło się, że i chłopek zgodził się na podaną cenę: wówczas wiódł go do domu, uszczęśliwiony z taniego kupna, choć przewidywał burzę od pani Urszuli, i narzekania innych współlokatorów, że im miejsce w dziedzińcu zajmuje.

Wróciwszy, zabierał się do czynności urzędowych. Codziennie rano, żona musiała mu spisać najmniejsze wydatki z poprzedzającego dnia; takowe na wązkiej a długiej karteczce kategorycznie ułożone, stanowiły bruljon; z niego wciągał je do dziennika, a później do wielkiej księgi! Nie można zaprzeczyć, że rachunki te były bardzo porządnie prowadzone, z najdrobniejszemi szczegółami, rubrykami, rubryczkami, bilansami miesięcznemi i rocznemi, i z kategorycznie ułożonemi podziałami: osobno były wydatki na bułki rano, osobno na wieczór; osobno same obiady, i znowu oddzielnie kolacje; bo też codziennie poświęcał im trzy lub cztery godzin czasu przed obiadem. Po

obiedzie znowu odrabiał korespondencje, czyli czynności tak nazwane prezydjalne. Szczególniej lubił listy pisywać, a mało odbierać; listów przepisanych na czysto nigdy nie czytał, ufny w biegłość i pewność swoją; lecz że miał wzrok nadpsuty, a okulary nie zawsze go zdołały godnie zastąpić: to często się trafiało, iż pół listu odesłał, a druga połowa zostawała na podkładce papierowej. Stary bowiem, nic nie zważając, pisał precz po podkładce, gdy wiersz się na właściwym papierze ukończył. Dyktował sobie głośno, powtarzając wyraz tak długo, póki go nie napisał: i tak: dobro... dobro... brodzie... brodzie... dobrodzieju! dodawał stawiając wykrzyknik. Zarzynając pióro, krzywił ustami jednocześnie, wolniej lub prędzej, w miarę większego lub mniejszego zacięcia: a gdy ucinał koniec, to tak się skrzywił komicznie, jakby m kto ząb wyrywał. Jużto każden list przechodz przez dziennik, na każdym odebranym pisał dat kładł pod przycisk pod spód, i żeby Bóg wie jak pilny interes, nie tknął go się wprzód, nim kolej na niego nie przyszła.

Raz trafiło się za mojej bytności, że brat jego rodzony, mieszkający w Krakowie, dla załatwienia interesów familijnych wezwał go, aby przyjechał najspieszniej do granicy, donosząc, że nań z rejentem oczekuje. Pan Tomasz list przeczytał, i ani słowa nikomu nie powiedziawszy, włożył go pod

spód przycisku. Upłynęło trzy dni, on nie jedzie, zniecierpliwiony brat zmuszony był przybyć do Warszawy osobiście, i zabrać go z sobą.

— A cóż ty myślisz — odpowiadał na wymówki brata — że ja taki sobie trzpiot jak ty? U mnie mości dobrodzieju porządek; trzeba było napisać bardzo pilno, tobym pojechał!

Pani Tomaszowa, kobieta w wieku, malutka, pękata, swarliwa i zazdrośna o męża, ciągle go prześladowała, i ciągle mu dokuczała różnemi wymówkami.

Dawniej widać, gdy pan Rygorski był w sile wieku, trzymał żonę ostro, i kierował całym domem; teraz zaś osłabiony fizycznie, stetryczały, nie mógł się obejść bez pomocy kochanej Urszulki, i poddał kark swój pod jarzmo małżonki. Ona też nie omieszkała korzystać z swej władzy, i odpłacać sowicie dawniejsze upokorzenia: wtrącała się do każdej rozmowy, przerywała ciągłemi zaprzeczeniami każde jego twierdzenie, i to tak dalece, że nigdy nie mógł dokończyć co zaczął, tylko zgniewawszy się do żywego, porywał kapelusz i laskę, i zmykał zatykając sobie uszy. Musiała też być jakaś mała plamka w dawniejszem życiu pana Tomasza, którą żona zamykała usta mężowi: bo gdy zaczęła mówić: „a latało się dawniej za“.... to stary machał ręką, wołając: „przestań Urszulko, nie bluźnij, daj pokój!“

Jednakże pomimo tych wad starości, byłato sobie poczciwa niewiasta, kochająca męża nadewszystko, ceniąca wysoko jego rachunkowe zdolności, pamiętająca o domu z troskliwością zawołanej gospodyni, szczególniej o wygodach męża. Bez wyższego ukształcenia, ot tak sobie prostym rozumem, pojmowała zdrowo każdą rzecz, kierowała rozsądnie i bogobojnie wychowaniem syna, który właśnie kończył już szkoły, mnie zaś, jako syna dawnych przyjaciół męża, miała na równi z domowemi, dogadzała jak mogła, z prawdziwie macierzyńską pieczołowitością. Życie moje choć nie powiem wesołe, upływało jednak dość mile w towarzystwie zacnych kontrolerów. Z początku, trochę przykro mi było patrzeć na codzienne niesnaski obojga małżonków, nie mogłem przywyknąć do tej zegarkowej punktualności emeryta; lecz powoli, powoli gdym poznał ich charaktery, gdym się oswoił z ich na pozór gniewnemi sprzeczkami, polubiłem oboje bardzo, i tryb życia systematyczny wcale niezłym mi się wydawał. Codziennie wieczorem przychodził stary do nas na pogawędkę; rozpowiadał o swojej młodości, o koleżeństwie z moim ojcem, o jego żywym temperamencie, i o swoich tryumfach biurowych w odrabianiu najzawikłańszych czynności. Lubił, żeby go słuchano z uwagą i zajęciem; a gdy się trafiło, żeśmy ze synem coś ciszej szeptać zaczęli, wstawał ze swego krzesła, przybliżał się

do nas pytając ciekawie: „o czem rada?“ Zwykle bez ceremonji brał mnie za guzik od surduta. przerywał naszą rozmowę, zaczynając coś swojego.

— Bo wy to młodzi nic nie wiecie. Otóż u nas w biurze, w roku.... w roku.... coś 1842, tak, tak. dobrze mówię, w dwudziestym czwartym, był jeden młody sekretarz.... Jakże on się nazywał? Ku.... Kie.... Kra.... Nie, a bodajże cię, tak go znałem jak ciebie mój kawalerze....

— Mniejsza o to — rzekłem — jak się on tam nazywał.

— Ale nie, nie! ja sobie muszę przypomnieć — mówił szarpiąc mię coraz bardziej za guzik — Kor, Kier... a niechże cię, mam na końcu języka... — Tak, Zaleski! Otóż ten Zaleski, mości dobrodzieju, był rodem z Krakowa; a trzeba ci wiedzieć kawalerze, że ja mam rodzonego brata Kazimierza w Krakowie malarzem.

— Wiem, proszę pana.

— Widzisz, a ten Kazimierz brat mój, ma trzy ładne córki; dalibóg śliczne dziewuchy. Jedna najstarsza Paulina....

— Ale nie Paulina — krzyknęła pani Tomaszowa, która już od niejakiego czasu stała za nami, czyhając na sposobność wtrącenia się do rozmowy.

— Nie przeszkadzajno Urszulko!

— Kiedy nie Paulina, mówię ci, bo widzisz mój Jasiu, on nic nie wie: to Józefa!

— Kiedy to się musisz zawsze sprzeczać, a ja ci powiadam że Paulina! — przemówił mlaskając niesmacznie ustami pan Tomasz.

— No i widzisz go, będzie mnie gadał, mnie, co ich znam od tylich berbeci — mówiła unosząc się pani Tomaszowa, i pokazując dłonią na łokieć od ziemi.

— Niechże będzie już i Józefa, gdy tak chcesz.

— Nie niech będzie, ale tak jest.

— A nie kłóćże się kobieto, nie przerywaj!

— Co nie przerywaj! Widzisz go, jaki stryj: bratanek nie zna.

— To mówże sama, mów, kiedyś taka mądra, bo by tu do obrazy Boga przyszło! — zawołał rozgniewany pan kontroler, porwał kapelusz i w nogi.

— Widzisz Jasiu, co to za sprzeka stary, a jakie to dawniej było! Ho ho! ani mu palca zakrzyw; zwyczajnie sobie jak nudziarz; bo też powiedziawszy prawdę, on już i tu ma nie tęgo — dodała wskazując palcem na czoło — Nie, nie: dawniej to co innego.

— Ale Teresa! zagrzej też kamionkę z wodą na nogi, bo tam przemarznie latając, i podbiału zagotuj!

Takim sposobem kończyła się zawsze rozmowa z nami: starzy się pogniewali rozchodząc, lecz wróciwszy pan Tomasz, zapomniał już o

sprzeczkach, całował żonę w rękę z pewną gracją, i upomniał o regularność konotatek; ona zaś, z największą troskliwością wypytywała go o kaszel, czy mu pomaga kwiat bzowy, i o inne drobnostki, oznaczające żywe zajęcie się zdrowiem małżonka.

Mało kto ich odwiedzał, i to jeszcze starzy emeryci z żonami. Rozmowa męzka szła o biurze, o polityce, o zmianach, o śmierci znajomych osób; kobieca zaś, o dzieciach, płótnach, babach, plackach, sługach, a często gęsto i o sąsiadkach nieobecnych, które dostawały jakąś łatkę za różowy kapelusz, lub jasną jedwabną suknię, wcale dla starej nieprzyzwoitą.

* *
*

Listy z domu odbierałem regularnie co miesiąc; ojciec utyskiwał na brak funduszów, zalecał oszczędność i pracę, więc ani było myśleć o wyjeździe na nadchodzące święta Wielkanocne. Za to listy matki i Stefci wynagradzały mi wszystko, pisywały zwykle w jednym liście, snać bez wiedzy ojca. Donosiły najdrobniejsze szczegóły z życia domowego, każdy ich wyraz tchnął prawdziwą szczerotą i miłością; ubolewały nad uporem ojca, który zezwolić nie chciał na mój przyjazd, opisywały swoje zajęcia, i różne wybryki żywości porucznika. „Wiesz—pisała Stefcia —dostałam tytuł acanny od twojego ojca: przed kilką dniami oświad-

czyłam się z chęcią uczenia Julci muzyki; porucznik się zgniewał niesłychanie:

— A co to mosanie! masz być guwernantką mej córki, hę?

— Tak jest — odpowiedziałam śmiejąc się — przecież godna jestem tego zaszczytu.

— Ale nie o tem mowa, moja panno: wiem, żebyś potrafiła; lecz zaraźby ludzie powiedzieli: sprowadził pannę pułkownikównę, żeby mu dzieci uczyła! Nic z tego nie będzie, co jej tam po muzyce, niech lepiej umie chleb piec, koszule szyć, nie grać: to nie dla niej, mosanie!

A gdym nie przestała nalegać, dowodząc, że dziewczyna ma chęć wielką, okazuje zdolności, i że mię wcale nie obchodzą mowy ludzkie; zgniewał się na prawdę i krzyknął:

— Co mi tam acanna będziesz tłumaczyć! Ja lepiej wiem co robię: bo kiedy ciągniesz mię za język, to ci powiem, że wcale mi się niektóre rzeczy w postępowaniu twojem nie podobają! Kto to widział, żeby panna pułkownikówna beczała jak jaka mieszczanka, nad odjazdem takiego nieprzymierzając dzieciucha jak Jasio? Jeszcze się zachciewa guwernantkować mej córce! Dalibóg, co to w głowach tych młodych się roi, no, no? — Lecz spostrzegłszy mój rumieniec na podobne oświadczenie. jak mię zaczął przepraszać, całować. jak zaczął klękać przedemną, to ja musiałam się

wstydzić za siebie, że mogłam pomyśleć o jakimś gniewie na tego zacnego człowieka.

— Widzisz kochana Stefciu, ja już taki prędki jestem, jak djabeł: a przypomniałem sobie Jasia i twoje płacze, więc się wymknęło głupstwo. No, no, już tego nie będzie, moja kochana córeczko. nie będzie.

Wystąpiłam znowu z muzyką, ale słuchać mię nawet nie chciał, powtarzając: — „póki żyję nie pozwolę!“

Nie zważałam na wszystkie perswazje, tylko rozpoczęłam pokryjomu naukę; chcę Julcię wyuczyć naprzód owej żołnierskiej piosnki, co ją najlepiej lubi, i tę jak zaśpiewa mu na imieniny, zobaczysz, pozwoli, bo ja go znam doskonale.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.